

Janusz St. Pasierb

CZAS OTWARTEJ

WYDAWNICTWO DIECEZJALNE

PELPLIN

1992

PRZEDMOWA AUTORA

Dwadzieścia lat mija od ukazania się w Poznaniu w zasłużonym wydawnictwie Pallottinum pierwszego, ilustrowanego rycinami Marii Hiszpańskiej-Neumann, wydania tej książki, do której napisania skłonił mnie Andrzej Jastrzębski. Czuję się do niej ciągle przywiązany, bo jest ona rodzajem pamiętnika z dawnych lat, gdyż weszły do niej zapiski jeszcze z lat sześćdziesiątych. Pod nieraz dyskursywną powierzchnią jest to książka bardzo osobista, pełna soborowego i posoborowego entuzjazmu i jakoś młodzieńcza, choćby przez fakt, że odbiło się na niej wyniesione ze studiów teologicznych zamiłowanie do cytowania autorytetów, ważnych i ulubionych tekstów.

Trudno mi ocenić, jak obszedł się czas z *Czasem otwartym*. Chciałbym jednak zwrócić uwagę na ważną „okoliczność miejsca”: ukazując się obecnie w Wydawnictwie Diecezjalnym w Pelplinie, napisana tutaj ongiś książeczka wraca po latach do siebie.

ROZPOCZĘCIE

W dawnych solidnych czasach książka taka jak ta nosiłaby tytuł: Rozważania na kanwie roku liturgicznego. Miałaby okładkę z krzyżem i palmą i byłaby, co najważniejsze, p o r z ą d n i e napisana. Kupowaliby ją księża i „pobożne dusze”.

Na księży liczę tak czy owak w ~~duchu~~ solidarności „czarnej międzynarodówki”, chciałbym jednak, żeby książkę mogli także jakoś znieść ludzie nie czytujący zazwyczaj pobożnych książek. Nie oznacza to chytrego zakamuflowania prawdziwego celu, lecz jest przyznaniem się do nieumiejętności napisania solidnej pobożnej książki, przeznaczonej do czytania od deski do deski. Zdając sobie także sprawę, że nikt właściwie nie ma już dziś głowy do systematycznej lektury (poza — oczywiście — miłośnikami powieści kryminalnych), umyśliłem sobie napisanie książki, do której można by wsiąść w biegu, jak do ślamazarnego tramwaju w Rio, podjechać trochę i wyskoczyć, kiedy przyjdzie ochota.

Z czytania Pisma Świętego, z innych lektur, z przygotowania kazań i rekolekcji, z rozmów z ludźmi, z siedzenia w domu i wędrówek po świecie rodziły się szkice tworzące dziesięć rozdziałów tej książki. Powstawały w różnym c z a s i e — i stąd, w pewnym sensie, tytuł całości — i w różnych sytuacjach, także przeżytych osobiście; własna przeszłość jest wszak, jak napisał Ernst Cassirer w *Eseju o człowieku*, jedną z form „pamięci symbolicznej”. To samo zresztą, wiek wcześniej, wyraził Norwid w *Post scriptum*:

Nie tylko p r z y s z ł o ś ć wieczna jest —
nie tylko!...

I przeszłość, owszem, wieczności jest dołą:

Co stało się już, nie odstanie chwilką...

Wróci Ideą, nie powróci s o b ą .

ądzę, że forma luźnego eseju odzwierciedla najwierniej życie
li i nieustannie zmieniający się kształt idei poddanych działa-
czasu, który fizycznie ogarnia człowieka, będąc równocześnie
duchową własnością.

a dużo pewnie znalazło się tutaj cytatów, ale prowadząc tego
aju zapiski, jak ustrzec się przed pokusą konfrontowania
, co się samemu myśli, z tym, co nierównie piękniej i trafniej
iedzieli inni? Jak nie podzielić się tym, co odnalezione, budzi-
achwyt lub protest? Wszystkie cytaty sprawdził i cały tekst
względem redakcyjnym gruntownie przejrzał Andrzej Jas-
ski, wobec którego poczuwam się do szczerzej i głębszej
ęczności.

CZAS ZAMKNIĘTY
I CZAS OTWARTY

Wszystko ma swój czas...
Jest czas rodzenia
i czas umierania,
czas sadzenia
i czas wyrywania tego,
co zasadzono,
czas zabijania
i czas leczenia...



Człowiek dzisiejszy coraz intensywniej przeżywa czas. Jego oczy wlepione są we wskazówki sekundników, stoperów, szybkościomierzy. Pochłonięci tym są wynalazcy, sportowcy, konstruktorzy samolotów, samochodów i statków. Trwa wyścig z czasem. Kto będzie pierwszy na mecie, na rynku, na Wenus, na Marsie. Trwa wyścig we wszystkich dziedzinach: w sferze rozwoju społecznego, techniki, medycyny — dla ilu nieuleczalnie dziś chorych nie będzie jeszcze za późno? Urządza się Wyścig Pokoju i trwa wyścig zbrojeń.

Kto będzie pierwszy? W epoce broni atomowej jest to właściwie jedyne sensowne pytanie w razie wybuchu zasadniczego konfliktu.

Tempo, tempo, tempo — skandują tłumy na stadionach. To włoskie słowo, oznaczające po prostu czas albo pogodę, stało się synonimem szybkości. Zrywamy się szybko, przelykamy szybko śniadanie, pędzimy do pracy. Może tylko w pracy — jako nieliczni na świecie — my, Polacy, nie uwijamy się zbyt szybko, ale już do domu gnamy, by zacząć prawdziwe, to jest prywatne życie albo drugą pracę. Są w naszym kraju prawdziwe oazy czasu zwolnionego, jakich już niewiele w Europie — dość pomyśleć o kojącym biegu naszych pociągów. Ale i to pewnie się skończy, cała ludzkość bowiem walczy w tej chwili o czas jak sprinter. Czyżbyśmy czuli intuicyjnie, że jako gatunek nie mamy już przed sobą wiele czasu, czyżby w ten podświadomy sposób wyrażało się zagrożenie atomowe?

Za szwedzkim poetą Arturem Lundkvistem pytamy:

Czy ciągle jest jeszcze czas,
czas dla człowieka i świata?

(przekład
Zygmunta Łanowskiego)

A może spieszymy się nie tylko dlatego. Może walczymy o czas, żeby mieć coś na własność, coś bardzo cennego, choć często nie wiemy, co z tym skarbem począć; nie potrafimy go oprocentować, cieszymy się nim jak biedak trzymający w pończosze nieużyteczne pieniądze.

Myszę, że dla ludzi żyjących dawniej, których całe życie związane było z określoną przestrzenią, z miejscem, gdzie człowiek rodził się, żył i umierał, czas nie posiadał tak dramatycznego wymiaru jak dla nas. Wówczas czas był także widzialny, ale oglądanie go — uspokajało. Powoli przesypywały się ziarenka piasku w klepsydrach, powoli wędrował cień po tarczach słonecznych zegarów.

A dziś? Dla kogoś z pokolenia wielkich migracji, dla mnie osobiście, najbardziej przejmującym doznaniem jest świadomość wykorzenia. Nie urodziłem się tam, gdzie mieszkali moi dziadkowie, nie mieszkam tam, gdzie mieszkali moi rodzice. Mój dom rodzinny? Z domu, w którym się urodziłem, pozostały tylko dwie tuje. Trwają one zresztą także w jednym z najdawniejszych moich wspomnień. Musiałem mieć wtedy jakieś pięć lat. Widzę te dwa posępne drzewa, cyprisy pochmurnych krajów, jak stoją nad klombem, w pobliżu drzwi do ogrodu. Zebrało się tu kilkoro dzieci. Wszystkie ogromnie podniecone: z klombu świeżo obsadzonego blawatkami ktoś w nocy wyrwał z korzeniami jeden krzaczek. Wszyscy chcą być detektywami, ale ponieważ musi być ktoś podejrzany, więc i tę rolę grają wszyscy. Nawet ja, „syn domu”, muszę wsadzić but w ślad odcisnięty stopą tajemniczego złodzieja...

Widzę tę gromadkę dzieci, z których żadnego nie miałem już nigdy spotkać, ślad buta wyciśnięty na wilgotnej, miękkiej ziemi i siebie: małego, zaaferowanego, niespokojnego, wpatzonego w niewielką czarną jamkę po wyrwanych z korzeniami kwiatach, które mama nazywała macoszками, pierwszych kwiatach zapamiętanych z dzieciństwa.

Przypomniałem sobie o tym zdarzeniu zbierając materiały do tej książki. Wydało mi się ono bardzo ważne i z n a c z ą c e. Byłbym skłonny uznać je za fakt symboliczny i proroczy; patrząc wstecz z perspektywy trzydziestu kilku lat myślę, że wówczas, w ogrodzie mojego dzieciństwa, stanąłem w obliczu objawiającego się losu, który zresztą okazał się przeznaczeniem całego pokolenia, jakiemu pisane były wysiedlenia, przesiedlenia, przeprowadzki i wędrówki. W zamian za pozbawienie miejsca w przestrzeni otrzymaliśmy rekompensatę w postaci żywszej i boleśniejszej świadomości czasu. Bardziej niż nasi przodkowie jesteśmy wrażliwi na czas: na jego wartość, na jego przemijanie i na to, co niesie on z sobą, na rozwój i kształt historii.

Czy ciągle jest jeszcze czas,
czas dla człowieka i świata?
Wszędzie wypatrujemy znaków,
ale nie wiemy, co oznaczają.

Czy mamy czas myśleć i działać?
Musimy przecież wędrować, dążyć naprzód.
Iść dalej w nieznanne i groźne.

Szwedzki poeta, o ile wiem, ateista, w wierszu pisanym w roku 1955 mówił o znakach czasu, o których dziesięć lat później wspomniał sobór powszechny Kościoła katolickiego. Oczywiście, można by wskazać na filozoficzne tło epoki, na rozwój filozofii symbolu, jaki dokonał się dzięki szkole neokantowskiej, głównie za sprawą E. Cassirera, na to, co w rozumieniu człowieka i jego losów dała psychoanaliza Z. Freuda i psychologia analityczna C. G. Junga, niemniej zastanawiające jest, jak wspólne i żywe jest u wszystkich współczesnych pragnienie, by nie tylko ustalać fakty, ale także zgłębiać ich znaczenie.

Idzie tu nie tylko o historię powszechną, o dzieje wspólnot, ale i o własne jednostkowe życie. Zauważamy to w wielu dziennikach i biografjach. Sam Freud pierwszy zwrócił uwagę na sen o ptaku, jaki w dzieciństwie miał Leonardo da Vinci, który, już dorosły, uznał go za zapowiedź swojego losu. Wiele z tych znaczeń objawia nam refleksja religijna. Tą zresztą metodą posługuje się teologia: podczas gdy egzegeza i archeologia biblijna zajęte są ustalaniem faktów opisanych w Piśmie świętym, teologia biblijna i hermeneutyka zajmują się ich znaczeniem dla nas, bo przecież wszystko, co uczynił, Bóg dokonał ze względu na ludzi.

W rozeznaniu tego, co stało się i co dzieje się w naszym życiu, pomaga nam także sztuka: literatura, teatr, film, plastyka, muzyka. Jest wiele słuszności w tym, co przekornie pisze w przekornej swej powieści *Podróże z moją ciotką* Graham Greene: „Nieraz mi się wydaje, że życiu człowieka nadają formę raczej książki niż inni ludzie; to przecież z książek, z drugiej niejako ręki, człowiek dowiaduje się o miłości i cierpieniu. Nawet jeżeli szczęśliwy przypadek pozwala nam się zakochać, to tylko dlatego, że przygotowała nas do tego uczucia nasza lektura, może więc jest rzeczą

naturalną, że ja nigdy jeszcze nie byłem zakochany, skoro w bibliotece mojego ojca brakowało właściwych książek”. W żartobliwej formie Greene stwierdził to samo, co Cassirer w *Eseju o człowieku*, że z rzeczywistością kontaktujemy się nie bezpośrednio, jak się nam często wydaje, lecz przez symbole, w jakie zostaliśmy wyposażeni lub które sobie stworzyliśmy.

W niniejszej książce będzie się często pojawiała literatura, zwłaszcza poezja. Od św. Pawła począwszy, pisarze i poeci powoływani są na świadków Objawienia, cytaty z nich występują już w Nowym Testamencie nie w charakterze ornamentów, ale jako świadectwo o Prawdzie, która jest jedna i która wypowiada się nie tylko w księgach uważanych *ex professo* za święte. O. Chenu pisał niedawno o literaturze jako o *locus theologicus*. Świadomość Boga i człowieka w naszych czasach jest bardzo żywa w literaturze, w sztuce w ogóle. Prawie nikt dziś nie czyta traktatów teologicznych, mało kogo pociąga teologia pojęciowa, ale wszyscy oglądają filmy Bergmana, Pasoliniego, Bunuela — współczesnych nam teologów obrazu. W książce niniejszej co krok można będzie znaleźć odwołanie się do literatury artystycznej i to nie tylko „religijnej” z tematu; jestem głęboko przeświadczony o profetyckim charakterze sztuki. W wielu epokach, tak było także do niedawna w naszych czasach, właśnie artyści, a nie teologowie, mieli dar **w i d z e n i a** świata i czasu. Sztuka jest także czynnikiem soterycznym i eschatycznym przez to, że wymierza sprawiedliwość widzialnemu światu. Rilke w wierszu na *Starożytny tors Apollina* napisał:

...każde miejsce tego głazu
widzi cię. Musisz twoje życie zmienić.

Ibsen powiedział, że być poetą, to znaczy być swoim własnym sędzią. Ta samowiedza i krytyka oznaczają „nowe i głębsze zrozumienie, nową interpretację życia”. Któż jest poetą? „Świat ma swoich poetów — odpowiada Newman — tak jak ma swoich świętych, nie wiedząc o tym nawet. Ale tylko w ocenie ludzkiej milczący Miltoni są Miltonami pozbawionymi chwały; w ocenie Boga, który patrzy w serce, milczący Miltoni są tak pełni chwały jak Milton,

który nie milczał, ale napisał *Raj utracony*". Dlatego też wielki kardynał stawiał zdumiewające żądanie, by każdy chrześcijanin był poetą: „U chrześcijan poetycki pogląd na świat jest obowiązkiem — musimy wszystkim rzeczom nadawać zabarwienie wiary, musimy widzieć Boski sens w każdym zdarzeniu i ponadludzką dążność. Nawet otaczający nas przyjaciele jaśnieją niezmiernym światłem — już nie jako ułomni ludzie, ale jako istoty obdarzone łaską Boga, naznaczone Jego pieczęcią i przygotowane do przyszłej szczęśliwości. Można dodać, że cnoty właściwe chrześcijaninowi mają charakter szczególnie poetyczny — łagodność, szlachetność, współczucie, zadowolenie, skromność, nie mówiąc o cnotach religijnych...”

Książka niniejsza chce dowartościować sztukę, a zwłaszcza poezję w sferze refleksji religijnej, gdzie zwykle się było ją traktować lekceważąco, jak rodzaj zabawy w słowa, lub podejrzliwie, jako zjawisko nieprecyzyjne i dlatego niebezpieczne doktrynalnie. Zapomnieliśmy bowiem o dwóch sprawach: po pierwsze, że poezja nie zajmuje się tylko wyrażaniem „uczuć”, bo można i „myśl okulbaczyć i wjechać na sam Akropol”, czego nas, Polaków, powinien był nauczyć choćby przykład Norwida; a po drugie, że najcenniejszy depozyt, jaki kiedykolwiek został powierzony mowie ludzkiej, to jest Objawienie, został zamknięty w różnorodny kształt literacki Biblii. Miał rację Erazm z Rotterdamu, gdy nazywał Chrystusa poetą, gdyż posługiwał się On porównaniami i przenośniami, tak jak to czynią poeci. Zapomnieliśmy o tym po trochu wszyscy i pogodziliśmy się z suchym, abstrakcyjnym językiem teologii, który, o zgrozo, usiłował się nawet wedrzeć na ambonę, na miejsce proklamacji żywego Słowa Bożego. Potrzebna jest niewątpliwie teologia pojęciowa, ale co najmniej równouprawniony jest idący z Biblii poprzez patrystykę teologiczny nurt posługujący się poetycką obrazowością. Dowartościowujące go w jakiś sposób niniejsze rozważania przerywają może zagadnienie, ale takie jest dobre prawo pierwszej reakcji, że może ona, dla uwypuklenia, pozwolić sobie na przesadę.

Tyle o „metodzie”. C z a s występujący w tytule wyjaśni się w trakcie czytania. Związany jest on w pewnym sensie ze wszystkimi

sposobami pojmowania czasu: biologicznym, psychologicznym, społecznym i historycznym; mniej z fizycznym, określonym przez Newtona i Einsteina, leżącym w innej strefie zainteresowań. Nie będzie tutaj jednak żadnej filozofii czy teologii czasu. Takową można znaleźć już w *Wyznaniach* św. Augustyna, który w XI księdze napisał był zresztą: „Wyznaję Ci, Panie, że nie wiem dotąd, czym jest czas; a znowu wyznaję Ci, Panie, iż wiem, że mówię to w czasie”. Chroniąc się pod szeroki płaszcz Biskupa Hippony określiłbym swoją książkę jako próbę przedstawienia tego, co myślę nie o czasie, lecz w czasie. Przeważnie teraźniejszym.

Jest w Starym Testamencie pewien wspaniały tekst, który kardynał Cushing cytował nad trumną prezydenta Kennedy'ego. Urywek ten brzmi:

Wszystko ma swój czas...
Jest czas rodzenia i czas umierania,
czas sadzenia i czas wrywania tego,
 co zasadzono,
czas zabijania i czas leczenia,
czas burzenia i czas budowania,
czas płaczu i czas śmiechu,
czas zawodzenia i czas płasów,
czas rzucania kamieni i czas ich zbierania,
czas pieaszczot cielesnych
 i czas wstrzymywania się od nich,
czas szukania i czas tracenia,
czas zachowania i czas wyrzucania,
czas rozdierania i czas zszywania,
czas milczenia i czas mówienia,
czas miłowania i czas nienawiści,
czas wojny i czas pokoju.

(Ekl 3, 1-8)

Co znaczyły te słowa Koheleta, „przemawiającego na zebraniu ludu”, dla jego współczesnych, co znaczą dla nas, oddalonych o dwadzieścia dwa wieki? Zamknięte w kształt poetyckiej medytacji, stapiającej doświadczenie religijne Starego Testamentu i filozofii hellenizmu, wywierają swój posępny czas także na nas, którym dane jest doświadczenie historii nieubłaganej, narzucającej swoje prawa. Wszystko ma swój czas i nie mamy na to większego wpływu: decyduje obiektywny rozwój procesów społecznych i ekonomicznych. Nie mamy tu więcej do powiedzenia, jak w przypadku pór roku i dnia:

Słońce wschodzi i zachodzi,
i na miejsce swoje spieszy z powrotem,
i znowu tam wschodzi.

(Ekl 1, 5)

Nikt ze starożytnych nie opisał większej bezradności człowieka wobec czasu niż Kohelet. Nie ma tu miejsca na wolność. Nie ma tu także - gdyby słowa te pozbawić kontekstu - miejsca na Boga. Nie jest to zbieżność przypadkowa. Może trzeba by tu dopatrywać się dalekiego wpływu najstarszych i bardzo niejasnych mitów greckich, co głosiły, że Czas, Chronos, istniał przed wszystkim, że to on został ojcem Chaosu, z którego, jeszcze przed bogami, zrodzeni zostali Uranos — Niebo i Gaja — Ziemia?

Posłuchajmy jeszcze raz Koheleta:

Słońce wschodzi i zachodzi,
i na miejsce swoje spieszy z powrotem,
i znowu tam wschodzi.
Ku południowi ciągnąc i ku północy wracając,
kolistą drogą wieje wiatr,
i znowu wraca na drogę swego krążenia.
Wszystkie rzeki płyną do morza,
a morze wcale nie wzbiera;
[...]

To, co było, jest tym, co będzie,
a to, co się stało, jest tym, co znowu się stanie:
więc nic zgoła nowego nie ma pod słońcem.

(1, 6-9)

Oto wizja czasu zamkniętego. Jakże trafnie Kohelet wiąże go ze zjawiskami przyrody. Czas zamknięty staje się udziałem człowieka o tyle, o ile stanowi on część przyrody. Jej koło obraca się i obroty ciał niebieskich są nieznużone, jak wieczny pochód pór roku. Zaiste, niewiele jest nowego pod słońcem natury. Narodziny i śmierć człowieka są w tym porządku czymś naturalnym i żadna forma protestu nie ma tu sensu. Religijność archaiczna mieści się także całkowicie w tych ramach. Przez powtarzanie wzorcowych gestów i nawiązywanie w ten sposób do „mitycznego czasu początków” - jak powiada głośny antropolog kultury, Mircea Eliade — ofiarowuje ona człowiekowi jakiś rodzaj optymizmu. Dzięki możliwości „wiecznego powracania” do źródeł czasu człowiek czuje się ocalony przed śmiercią i nicością. Rozwój tego typu religijności kosmicznej i jej rytuału prowadzi jednak nieuchronnie do pesymizmu: „Gdy czas cykliczny [w naszej terminologii: zamknięty; *kyklos* znaczy krąg] nie pozwala już odzyskiwać prasytuacji i odnajdywać tajemniczej obecności bogów, g d y c z a s d e s a k r a l i z u j e s i ę — nabiera grozy: okazuje się kołem obracającym się w nieskończoność i nieskończenie się powtarzającym”. Tak stało się w Indiach i do tego doszli pitagorejczycy, stoicy i platonicy greccy, sądząc — jak powiedział H. Ch. Puech — że „w łonie każdego z cykli trwania, owych *aiones*, owych *aeva* — powtarzają się te same sytuacje, jakie występowały już w cyklach poprzednich i które występować będą w cyklach mających nastąpić, i tak w nieskończoność. Żadne wydarzenie nie jest jedyne, nie rozgrywa się jeden raz (na przykład skazanie i śmierć Sokratesa), ale rozgrywało się i będzie się rozgrywać wieczyście”.

Stary Testament nie mówi jednak o objawieniu kosmicznym. Bóg objawia się tutaj w czasie historycznym, który ma początek i kres. Jest to nie wiecznie powracający czas przyrody, którego diagramem może być tylko koło, lecz wolny, otwarty czas człowieka, który wykreślić można jako linię biegnącą między dwoma punktami. To, co człowieka czyni jako człowiek, na przykład tworząc dzieła kultury, jest wolne i jednorazowe: jedna jest *Odyseja*, jeden Akropol, jeden Szekspir i jeden Beethoven. Wszystkie wydarzenia historyczne, mimo podobieństw, są jedyne i niepowtarzalne. Taki charakter posiadają też osobiste interwencje Boga, teofanie w Starym Testamencie. W chrystianizmie — pisze Eliade — posunięta została jeszcze dalej sprawa „waloryzacji czasu historycznego”. Syn Boży przyjął istnienie ludzkie w określonym historycznie czasie i uświęcił historię, która „objawia się jako nowy wymiar obecności Boga w świecie”.

Liturgia odwołuje się do historii: współczesny chrześcijanin, który bierze udział w czasie liturgicznym, dociera do „onego czasu”, w jakim żył, umierał i zmartwychwstał Chrystus, ale nie chodzi tu o czas mityczny, lecz o konkretny czas, „gdy Poncjusz Piłat zarządzał Judeą”. Nam wolno powiedzieć więcej niż laickiemu religioznawcy, podkreślamy więc, że liturgia jest uobecnieniem całej historii Jezusa, a więc starotestamentowej prehistorii, a także metastorii, którą określamy jako czas Kościoła lub początkową fazę czasów ostatecznych. Tu biblijna koncepcja „czasu otwartego”, nie uwięzionego w kosmicznym korowodzie czasu zamkniętego, uzyskuje swoją ostateczną perspektywę. Te trzy wymiary: przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, posiada nie tylko liturgia, ale i cała rzeczywistość sakramentalna Kościoła. Każdy wielki Znak jest pamiątką jakiegoś wydarzenia zbawczego, jest spotkaniem Boga w tej chwili i uprzedzeniem wiecznego z Nim połączenia. Jedną z antyfon eucharystycznych mówi o tym szczególnie wyraźnie: „O święta uczto, na której Chrystus bywa pożywany, pamiątką męki Jego rozpamiętywania, gdzie duch napęłnia się łaską, a przyszłej chwały załóżek nam jest dany”.

Trzeba z naciskiem powtórzyć, że liturgia nie jest tylko powrotem do historycznej przeszłości, lecz pozostaje w związku z teraźniejszością

cią historyczną. Nie można odnieść do chrześcijaństwa tego, co Eliade pisze o stosunku człowieka religijnego do czasu: „Człowiek religijny nie chce żyć w czasie określonym przez język współczesny jako «teraźniejszość historyczna»; stara się osiągnąć czas święty, który pod pewnymi względami można przyrównać do «wieczności»”, podczas gdy „człowiek niereligijny wie, że (w przypadku czasu) chodzi zawsze o doświadczenie ludzkie, w które nie może się wpisać żadna obecność boska”. W chrześcijaństwie, które jest ekonomią zbawienia, stosunek historii do misterium zbawienia jest szczególny: to misterium dokonało się i dokonuje w historii, a z drugiej strony historia zawarta jest w misterium Chrystusa. Misterium jest darem Boga, historia jest przygotowaniem na przyjęcie, przyjmowaniem i dopełnianiem daru, pisze o. Chenu, a o. de Lubac w książce *Histoire et esprit* podkreśla, że misterium chrześcijańskie nie zjawiało się na świecie w jakiejś sytuacji ponadczasowej, pozahistorycznej. Nie jest więc chwytem taktycznym, że za jedno z najważniejszych zadań chrześcijanie uważają dziś rozumienie historycznej teraźniejszości i pełne zaangażowanie w tworzenie jej kształtu. Chrześcijaństwo nigdy nie chciało być — wedle terminologii Alberta Schweitzera — „religią wyjaśniającą świat”, lecz religią zmieniającą świat.

Czas otwarty — jedyny czas człowieka - otrzymuje w chrześcijaństwie wymiar dramatyczny. Reinkarnacja niesie ze sobą jakąś pociechę, że nieudane życie będzie można powtórzyć, jak repetuje się w szkole tę samą klasę. Znaczy to, że nic nie jest nigdy stracone, że życie nie musi być straszliwym stresem i wyścigiem z czasem, przerażającą loterią, gdzie wszystko można wygrać lub przegrać, na zawsze i nieodwołalnie. Jak to jest w wierszu Wisławy Szymborskiej:

Nic dwa razy się nie zdarza
i nie zdarzy. Z tej przyczyny
zrodziliśmy się bez wprawy
i pomrzemy bez rutyny.

Nowicjusze, musimy uczyć się wiele i szybko. Niewiele można skorzystać z doświadczenia innych, albo inaczej: niewiele

korzystamy z doświadczeń innych, a nawet z własnych. Każdy z nas musi przerobić swoje *pensum* głupstw i pomyłek, radości i nadziei:

Żaden dzień się nie powtórzy,
nie ma dwóch podobnych nocy,
dwóch tych samych pocałunków,
dwóch jednakich spojrzeń w oczy.

Kiedys pojawił się w moim życiu Bóg, miłość, śmierć. Kiedys po raz pierwszy przeżyłem, co to jest religia, poezja, miłosierdzie, sprawiedliwość. Jakaś modlitwa, jakiś wiersz, jakiś obraz, jakaś melodia była pierwszą w moim życiu. Potem było ich już wiele, ale żadne z tych przeżyć nie miało już tej samej gęstości i barwy. Poprzez nie patrzę już na wszystkie inne. Kiedys po raz pierwszy przeżyłem drugiego człowieka. Julien Green opisał takie „objawienie się bliźniego” pod koniec autobiograficznej opowieści *Wyruszyć przed świtem*. Pamięć o ludziach, sprawach, rzeczach, które były nam dane tylko raz... Jak brzmiała tamta piosenka, jak pachnie koniczyna w wiosennym Paestum, jak smakowało *gaspacho* w upalnym Madrycie?

Z dnia na dzień tkaninę tkamy
wzorzystą dla pokolenia.
Chciałbym i blask naszej lampy
ocalić od zapomnienia.

— pisał Gałczyński w *Pieśniach*. Ach, uratować, zapamiętać, zapisać, sfotografować, nagrać...

Co jeszcze w tej chwili mogę ocalić, a co za chwilę już zniknie na zawsze, nie wskrzeszone nawet dzięki szansie, jaką może się okazać zjawiająca się na starość żywa pamięć dzieciństwa i młodości? Straszliwa nagość umierania, w odarciu ze wszystkiego, stopniowo lub nagle. Człowiekowi, który idzie do szpitala, jak niewiele wolno zachować. Mama przed śmiercią kazała sobie zdjąć zegarek, pierścionek, obrączkę — czy jej to przeszkadzało, czy bała się tego,

że po śmierci mogą to ukraść, czy może wiedziała, że i mierzenie czasu, i te ubogie ozdoby nie mają już sensu?

Leszek opowiadał, że przed ciężką operacją, której się poddał, najbardziej przejmujące było to, iż na wózek, którym miano go zawieść na salę operacyjną, trzeba było położyć się już całkiem nago, zostawiając nawet tę resztkę swojego normalnego życia, jakim była własna piżama, zegarek...

Człowiek walczy w imię historii, także własnej. Czas wydaje się tu i wrogiem, i sprzymierzeńcem. Wrogiem, bo zasypuje popiołem to, co było substancją naszego życia, krwią naszego serca; sprzymierzeńcem, bo uwalnia i otwiera nas ku przyszłości. Jest nie tylko procesem rozkładu i zniszczenia. Jest także dojrzewaniem. To właśnie sprawia, że wielkie i małe znaki, duża i mała historia zaczyna tworzyć sensowną całość, która minęła i trwa, i powraca, pełna z wolna objawiających się znaczeń i spełnień. To, co przeczytałem, i to, co przeżyte, to, co było zapowiedziane, i to, co się sprawdziło, jest w nas, we mnie i w tobie. Także w tej chwili: *et nunc manet in te*. Jedyność i niepowtarzalność, jednym słowem wartość czasu nakłada obowiązek: **w i d z i e ć** czas. Nie tylko, jak niegdyś, przesypany się z cichym szelestem w szklanej klepsydrze, nie tylko dziś drgający na szybkościomierzu, pulsujący i śpiewający wysokimi obrotami silnika. Obowiązkiem sumienia jednostek i wspólnot chrześcijańskich jest dostrzegać to, co Husserl nazwał *lebendig strömende Gegenwart* — terażniejszością podobną do życiodajnego strumienia. Mamy nieraz podświadomą tendencję do uważania, że sprawy Boga i sprawy życia znajdują się na przeciwległych biegunach, podobnie jak wieczność i czas. Niezmiennność i wieczność Boga poczytujemy za statyczne trwanie, odpychające nas swoim skamienieniem. Nic fałszywszego! Biblia ukazuje nam Boga jako potężną osobę, której dynamiczne działanie skierowane jest ku człowiekowi. Bóg działa jak zakochany w swoim stworzeniu i ma rację Ratzinger, gdy powiada, że „nadmierna hojność jest definicją historii zbawienia”.

Bóg pojawia się w czasie, który jest zwróconą ku nam stroną wieczności, oszalałamiąc nas bezmiarem swoich wezwań do miłości. Osoby Trójcy objawiają się w różnych porach i różnych fazach powszechnej i naszej osobistej historii zbawienia, aby wejść z nami w przyjaźń. Właściwością osoby bowiem jest samotność i milczenie, jak pisał Maks Scheler, osoby objawiają się przez miłość, która je otwiera. Oto dana nam w czasie pobytu na ziemi szansa związania naszego kruchego czasu z wiecznością, naszego zagrożonego istnienia z pełnią życia.

Nauka o Trójcy, powtórzmy za Ratzingerem, nie jest dziełem filozofii, lecz wyniknęła właśnie z „mozołnego opracowania h i s t o r y c z n y c h doświadczeń”, opisanych w Biblii i danych nam w doświadczeniu życia, rozpoczętego w momencie chrztu „w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego”. Gdy pomyśleć o doświadczeniu najgłębszym, mistycznym, wtedy okazuje się, że wszyscy mistycy przeżywali głęboko tajemnicę Trójcy, związków zachodzących między Osobami, bo „był prawdziwie siebie rozumiejący pojmuje zarazem, że w istnieniu swym do siebie nie należy, że staje się sobą odchodząc od siebie, że jako relatywność odnajduje to, czym jest naprawdę pierwotnie”. Ma rację Ratzinger, gdy pisze: „W tym, co pozornie [w nauce o Trójcy Świętej] krańcowo teoretyczne, wychodzi na jaw to, co krańcowo praktyczne; gdy mówimy o Bogu, okazuje się, czym jest człowiek...” w odniesieniu do Boga.

Objawiający się i udzielający się nam Bóg posługuje się czasem. Znaki czasu nie są oczywiście znakami dawanymi nam przez czas, lecz przez Boga. *Kairos* to w gruncie rzeczy *Kyrios*: czas to Pan objawiający się w czasie. Widzieć czas znaczy dostrzegać Boga.

Czas jako szansa i nadzieja: jeszcze jest czas. Jeszcze zdążę. Mam dużo czasu. — Ledwie to wypowiadam, czuję, że ten nadmiar zwiastuje nudę. Już teraz futurologicy martwią się, co zaproponować ludziom, którzy w wyniku skracania dnia i tygodnia pracy będą mieli w przyszłości bardzo dużo wolnego czasu, o jaki czas tak kurczowo musimy teraz zabiegać. Wolny czas otwiera drogę beznadziejności,

a w najdalszej perspektywie — rozpaczy. Szekspir ustami Makbeta tak mówi o czasie bez perspektywy:

Ciągle to jutro, jutro i znów jutro
Wije się w ciasnym kółku od dnia do dnia,
Aż do ostatniej głoski czasokresu;
A wszystkie wczora to były pochodnie,
Które głupocie naszej przyświecały
W drodze do śmierci. Zgaśnij, wątle światło!
Życie jest tylko wędrującym cieniem,
Nędznym aktorem, który swoją rolę
Przez parę godzin wygrawszy na scenie
W nicość przepada - powieścią idioty,
Głośną, wrzaskliwą, a nic nie znaczącą.

(akt V, sc. V; przekład Józefa Paszkowskiego)

Przekleństwo czasu zamkniętego. To, co jest nieśmiertelnością i wspaniałością przyrody: to, że każdy rok oznacza dla niej nowy rozkwit i owocowanie, jest dla mnie perspektywą przerażającą. Żaden rok nie może być dla mnie taki sam. Każda wiosna musi być boleśniejsza, każde lato pełniejsze, każda jesień bardziej owocna. Nie mogę i nie chcę być ptakiem domowym, którego można wpisać w kredowe koło, a on nie odważy się przekroczyć białej linii. Powołaniem człowieka jest nieustannie — jak mówi Gabriel Marcel — p r z e k r a c z a ć. Także czas. Dlatego czas zjawia się nam najczęściej jako szansa i nadzieja. Mówimy: jeszcze jest czas, mam czas. Zdążę. — Walka z czasem, walka o czas daje efekty: jadąc szybciej, prędzej przybędę na miejsce i zyskam określoną ilość czasu. Jeśli skończę wcześniej tę pracę, będę wolny. To jasne. Cóż jednak zyskuje sportowiec, gdy o ułamek sekundy wcześniej wpada na metę? W co się obraca ta okupiona niesamowitym wysiłkiem chwila? Przecież nie w odpoczynek albo w czas „wolny” lub przeznaczony na co innego. Zamienia się ona w sprawność. Ta część sekundy trwa w jego mięśniach, mózgu, woli, pozostaje w pamięci tych, co to widzieli, słyszeli lub czytali o tym, jako świadectwo

możliwości p r z e k r o c z e n i a czasu przez człowieka. Podbijanie wyśrubowanych rekordów jest potrzebne ludzkości, bo dzięki temu zyskuje ona eksperymentalny dowód, że człowiek nie jest bez reszty i definitywnie zamknięty w czasie, że może nadludzkim wysiłkiem przebijać jego barierę.

Czas człowieka nie jest tylko czasem natury. Im człowiek jest mniej człowiekiem, im mniej w nim kultury, tym bardziej rządzi nim przyroda. Eksperymentalnie stwierdzono, że ludzie nie pracujący umysłowo starzeją się szybciej. Rozwój i stan duchowości decyduje o życiu człowieka. Karl Rahner powiada, że natura objawia się wówczas, gdy człowiek mówi Bogu: nie.

Z innej pozycji niż manichejczycy trzeba więc być nieufnym wobec natury. Ona może nas oszukać, bo ona nie jest całym środowiskiem człowieka. Oszukuje ona jednostki — o tym mówi *Oszukana* Tomasza Manna — i oszukuje narody — przypomnijmy sobie biologizm hitlerizmu. Oto jak w ciągu niespełna dwustu lat zwyrodniało hasło Jana Jakuba Rousseau o zaufaniu do natury i jej praw.

To, co w człowieku jest naturalne, podlega czasowi zamkniętemu. Dlatego można na starość dzieciennieć i w godzinę śmierci można przypomnieć sobie dawno zapomniany język dzieciństwa. Dlatego w agonii wzywa się matki. Świadectwem tego są w sztuce chrześcijańskiej przedstawienia Piety: Madonna trzyma na kolanach martwe ciało Chrystusa tym samym gestem, jak się trzyma dziecko, kołysząc je do snu. *Złotousty* Hermana Hessego tak opowiada o doświadczeniu śmierci: „I wtedy ujrzałem, że to była ona, że matka była przy mnie i trzymała mnie na łonie i że otworzyła mi pierś i wsadziła mi palce głęboko między żebra, aby mi wyjąć serce. Kiedy to ujrzałem i zrozumiałem, nie czułem już bólu. I teraz także, kiedy te bóle powracają, nie są to boleści, nie są to wrogowie, są to palce matki, które wyjmują mi serce”.

Jeśli natura jest matką człowieka, jak dobra matka pozwala mu ona wydorosnąć, stać się osobą i żyć swoim życiem: ludzkim, braterskim, solidarnym. Syci go swoją siłą, niezniszczalną, ciągle odnawiającą się dzięki wieczystym powrotom. Towarzyszy mu

wiernie i dyskretnie. I zjawia się, kiedy słabnie. Ale nie ona ocala człowieka. To on ją zbawia.

Jedna z modlitw mszalnych zawiera określenie: ...*tempus operando redimentes*... Cóż znaczy to „odkupywanie czasu przez działanie”, pracę? Od kogo odkupujemy czas? Od Boga? Ależ On daje nam czas za darmo. Tylko od ludzi trzeba kupować czas na godziny, tygodnie czy miesiące. Jedno jest pewne: czas ludzki kosztuje, czas to pieniądz. Czas jest wymierny ekonomicznie. Musi być uwzględniany w planowaniu. Im intensywniej spędzony, im bardziej naładowany kompetencją i działaniem, tym jest droższy. Czas robotnika jest droższy niż czas clocharda.

Na tej samej zasadzie powinien być „droższy” czas chrześcijanina. Nasze zbawienie rozstrzyga się, póki żyjemy, ale nie tylko o to idzie. Chrześcijanin nie może być bierny w stosunku do czasu jako do wartości, która mu została dana. To prawda, że przychodząc na świat nie stoimy ponad historią, ale w miarę dojrzewania stajemy się odpowiedzialni za jej kształt. Czas dla chrześcijanina jest zadaniem. Jest powołaniem: w nim właśnie musimy zrealizować siebie i próbować ukształtować najbliższy nam świat.

Rzymianie mieli jedno i to samo słowo na oznaczenie czasu i świata: *saeculum*. Od niego pochodzi przymiotnik *saecularis* = *świecki*, na przykład kapłan *świecki*. Do niedawna brzydzono się tym słowem, próbowano mówić: ksiądz diecezjalny, żeby bardziej jasne było, że jest *glebae adscriptus*. Tymczasem określenie „ksiądz *świecki*” zawiera w sobie ideę kapłaństwa zaangażowanego w odkupienie świata i czasu. Zaangażowanie to jest także, a może przede wszystkim, powołaniem *świeckich* chrześcijan. Mówi się dzisiaj słusznie o charyzmacie zaangażowania, który zastąpił charyzmaty występujące w pierwszych wiekach: dar czynienia cudów czy mówienia nieznanymi językami. Elżbieta Sujak pisząc o Teresie Strzembosz scharakteryzowała to następująco: „Charyzmat zaangażowania rozumiem jako wewnętrzną potrzebę działania i poczucia odpowiedzialności, odnoszące się do dostrzeżonych dojmujących potrzeb ludzi i społeczeństwa, działanie na rzecz ładu i dobra z pełnym zlekceważeniem własnego interesu, nawet rozumianego jako

rozwój, stabilizacja życiowa czy pozycja społeczna”. Charyzmat jest szczególnym darem Boga, ale w pewnej mierze k a ż d e życie chrześcijańskie i ludzkie musi być zaangażowane w *redimere tempus operando* — w w y k o r z y s t a n i e czasu dla czynienia dobrze dla pracy, dla twórczości. Wykorzystując czas nadajemy mu cenę nie tylko doczesną.

Chrześcijanin odkupuje czas przez swoje działanie, bo kontynuuje dzieło Chrystusa, który odkupił świat. „Człowiek — powiedział Norwid — to kapłan bezwiedny i niedojrzały” — chrześcijanin przez powołanie do Kościoła powinien stać się kapłanem świadomym i dojrzałym w stosunku do rzeczywistości ziemskiej, istniejącej w przestrzeni i czasie. Czwarta modlitwa eucharystyczna mówi, że Bóg powierzył człowiekowi troskę o cały świat. Rozumieć to można chyba i w tym sensie, że powołaniem człowieka jest troszczyć się, by przez jego pracę, twórczość, ofiarę lub choćby przez godne wytrzymywanie swojego losu świat coraz bardziej przesycany był pierwiastkami Ducha tak, by dojrzewał poprzez czas do wieczności.

I tu wypowiedzieć trzeba pochwałę jedności: życie chrześcijańskie musi być przede wszystkim życiem w pełni ludzkim, życie rodzinne, społeczne, zawodowe i życie religijne chrześcijanina muszą stanowić jedność. Religia nie jest dodatkiem do „zwykłego”, „świeckiego” życia, dodatkiem mającym własną sferę w przestrzeni i czasie, dziejącym się na przykład tylko w kościele lub tylko podczas modlitwy lub nabożeństwa. Zbawiam świat i siebie, gdy jestem inżynierem, poetą, robotnikiem, pielęgniarką, lekarzem, szoferem, profesorem, proboszczem, studentem, gospodynią, tancerką, aktorem, urzędnikiem, zwłaszcza jeśli dzięki temu, co robię, na świecie jest trochę jaśniej i lepiej, gdy świadomie działam na rzecz poprawy duchowej i materialnej sytuacji człowieka i stosunków międzyludzkich, gdy zmniejszam na świecie współczynnik okrucieństwa przez zyczliwość i braterstwo, przez dodawanie ludziom otuchy.

Tak pojęte życie doczesne stanowi także jedność strukturalną z życiem wiecznym. Któż to umierając powiedział: „Już jest wieczność”? Można to powiedzieć już teraz, gdy jesteśmy pośrodku życia.

Wieczność nie jest czymś, co zostanie dosztukowane po śmierci do naszego czasu. Ona już jest, już się dzieje, już rozstrzyga. Jej los jest w naszych rękach. Nie tylko złożonych do modlitwy, ale wyciągniętych do drugiego człowieka, podnoszących, obejmujących, podtrzymujących, karmiących, leczących go, trzymających kielnię, pióro, pędzel, siekierę, skalpel, kierownicę, obsługujących maszyny, sterujących precyzyjnymi mechanizmami. Na tym bowiem polega nasz udział w odkupianiu czasu i objawianiu jego związków z wiecznością. De Lubac w przetłumaczonej na język polski pracy *Katolicyzm* pisze: „*«Wieczne rzeczy» są nieskończenie bliżej niż przeszłość, a nawet niż to, co nazywamy czasem terażniejszym. To jest wieczność przemieszkująca w samym sercu wszelkiego doczesnego rozwoju, który ożywia i któremu nadaje kierunek. Jest to prawdziwa t e r a ż n i e j s z o ś ć, bez której czas terażniejszy stałby się nieuchwytnym pyłem. Jeżeli ludzie są dziś tak tragicznie obcy i nieobecni jedni dla drugich, to dlatego, że najpierw stali się obcy i nieobecni dla samych siebie, gdyż porzucili to coś wiecznego, co jedynie może zakorzenić ich w bycie i pozwalać im na obcowanie ze sobą»*”.

Odkupieni w określonym momencie historycznym, uczestniczący w odkupianiu świata, stanowimy Kościół, który swoje zaangażowanie w dzieło dokonujące się w przestrzeni i czasie podkreślał przez nadawanie cech znaku niektórym miejscom i niektórym odcinkom czasu. Miały one w stosunku do całości spełniać tę samą rolę, co Kościół wobec świata: być sakramentem zbawienia. Cały świat jest święty, bo stworzony i ocalony przez Boga, a jednak potrzebne są na nim kościoły; cały czas jest święty, a jednak istnieje rok liturgiczny, poszczególne dni liturgiczne, a nawet w obrębie doby, od starożytności począwszy, wyróżniono niektóre pory czy godziny jako czas modlitwy.

Najważniejszą, bo odtwarzającą cyklicznie, a więc w kształcie czasu zamkniętego, otwarty czas historii zbawienia, próbą sakramentalizacji (bo przecież nie konsekracji) czasu jest r o k

liturgiczny. Liturgia nie tylko przypomina, ale i urzeczywistnia w ciągu roku to, czego Bóg dokonał, dokonuje i dokona dla ocalenia człowieka. Wielobarwny krąg, mieniący się fioletem Adwentu i Wielkiego Postu, bielą i złotem Bożego Narodzenia, Epifanii i Wielkanocy, czerwienią Zesłania Ducha Świętego i zielenią zwykłych niedziel, obraca się wraz z nami wokół swej osi, którą stanowi Chrystus, będący równocześnie słońcem dla wieńca złożonego z gałęzi, pąków, kwiatów i owoców, uwitego przez uroczysty i radosny pochód pór roku, sprawujących wielkie misterium przyrody. I ona ma nam wiele do powiedzenia. Nie zapominajmy, że poeci biblijni wiążą dziejące się w naturze przemiany z losami ludzkimi. Tak jest, przykładowo mówiąc, u Izajasza (33,9), Jeremiasza (4,28) i Ozeasza (4,3). W Psalmie 114 niebo, morze i góry biorą udział w wydarzeniach zbawczych.

Co roku otwarty czas naszego życia wplata się w te dwa zsynchronizowane ze sobą kręgi zamkniętego czasu. Czy ten wieczny powrót nie jest wrogiem naszej wolności? Czy nie grozi monotonią albo nawet, powiedzmy otwarcie, nudą? Myślę, że nie, ponieważ otwarta historia ludzkości daje obrotom czasu zamkniętego ciągle inne tło, złożone z wydarzeń kulturowych, społecznych, politycznych, ekonomicznych. I każdy z nas co roku jest inny, choćby dzięki temu, że przeżył jeden rok więcej, który jeśli nie nasza pamięć, to kształt naszej osobowości zachowa na zawsze. Misteryjny charakter roku liturgicznego ewokuje i uobecnia nie tylko wydarzenia z dziejów zbawienia ludzkości, ale i z historii naszego zbawienia. Ukazują się one nam wyposażone w moc archetypów i znaków, których sens stopniowo się nam objawia. Każdy przeżyty świadomie rok stanowi szansę posunięcia się naprzód w rozumieniu tych spraw, każdy prowadzi nas — wedle słów Newmana — *ex umbris et imaginibus in veritatem*, z cieni i obrazów do prawdy. I wtedy ukaże się nam mechanizm spotykania się czasu otwartego naszego życia z czasem zamkniętym roku natury i roku łaski; zrozumiemy też, że nasz czas przewija się przez obracające się kręgi czasu zamkniętego, tworząc z nich zwoje spirali wspinającej się ku górze.

CZAS BOGA
I CZAS CZŁOWIEKA

Gdy zaś wrócił
i został sam jeden,
ktoś pasował się z nim
aż do wschodu jutrzeńki,
a widząc, że nie może
go pokonać...



Wieczność i czas nie są związane horyzontalnie, lecz wertykalnie. To, co od strony Boga jest wiecznością — dla człowieka jest czasem. Czas jest kategorią ludzką. Chcąc zbliżyć się do człowieka, Bóg wkracza w czas. Wtedy czas człowieka staje się czasem Boga. Chrystus nazywał taki czas przyjścia Boga do człowieka i do wspólnoty ludzi — „godziną nawiedzenia” i płakał nad swoją ojczyzną, Jerozolimą, że nie umiała rozpoznać tego momentu.

Człowiek nie ma na ziemi zbyt wiele czasu, żeby uporać się ze wszystkimi pytaniami, jakie stawia przed nim sam fakt istnienia. Niektóre z tych pytań są wieczne, inne posiadają przemijającą wyrazistość spraw aktualnych tylko w danej chwili. Niektóre z pytań występują już w najstarszych mitach, jakich sięga pamięć ludzka, i nie tracą one nic na ostrości przez upływ czasu. Choć nieraz ludziom wydawało się, że owe pytania zostały już dawno rozwiązane i odłożone do archiwum, zjawiają się one ciągle niepokojąco świeże.

Takim zagadnieniem, które nie daje człowiekowi spokoju, jest problem Boga. Wiara i niewiara są zjawiskami tak dawnymi jak sama ludzkość. W każdym pokoleniu odradzają się obydwie, choć często w zmiennych proporcjach i różnym układzie sił. Nigdy nie ma na ziemi czasu „samego człowieka”, jak nie ma czasu „samego Boga”.

Świat jest miejscem spotkań Boga z człowiekiem, odkąd i dopóki trwa historia człowieka. Tak sądzimy my, chrześcijanie. Czy jednak nie mylimy się, jeśli idzie o naszą epokę, tę w której żyjemy, kiedy człowiek jak nigdy poczuł się pewny siebie i nie widzi kresu, ani ograniczenia możliwości swojej dalszej ekspansji? Pierwsi kosmonauci informowali, że nigdzie nie widzieli Boga. Równocześnie wierzący zaczęli mówić o „śmierci Boga”.

Laicyzacja i ateizacja nie są już procesami odbywającymi się na zewnątrz chrześcijaństwa. W ślad za Jean-Paul Richterem, Madame de Staël, Gerardem de Nerval i Heinrichem Heinem, głoszącymi śmierć Boga, oraz Fryderykiem Nietzsche i Ludwikiem Feuerbachem, proklamującymi Jego zabójstwo, pojawiła się w samym chrystianizmie teologia śmierci Boga, religijny ateizm czy postulat religii bez Boga.

Wszystkie te zjawiska budzą pełne niepokoju pytanie, czy właśnie nam nie przypadł niesamowity los, polegający na przeżyciu wiecznego Stwórcy. Pani de Staël w studium *O Niemczech*, wydanym w roku 1810, kazała wygłosić następujące zdanie samemu Chrystusowi: „Nie ma Boga... Wszyscy jesteśmy sierotami. Wy i ja nie mamy już ojca”.

Co się dzieje, kiedy umiera Bóg?

Plutarch opowiada, że zarządów Tyberiusza, który panował w latach 14-32 po narodzeniu Chrystusa, grupa podróżnych udawała się z Grecji do Italii. Z powodu ciszy morskiej zatrzymali się oni na jakiejś wyspie i po wesołej wieczerzy mieli już się położyć, kiedy potężny głos zawołał trzykrotnie po imieniu sternika Tammuz, polecając mu, by po przybyciu na oznaczone miejsce ogłosił, że umarł arkadyjski bóg przyrody Pan. Tammuz spełnił to polecenie. Gdy krzyknął: „Wielki Pan umarł” — rozległy się wokół przeraźliwe lamenty i skargi. Wieść o tym dotarła do cesarza, który wezwał do siebie owego sternika, następnie uczonych i filozofów, by dowiedzieć się, co sądzą o tym wydarzeniu. Wszyscy doszli do wniosku, że istotnie wówczas zmarł bóg pasterzy, trzód i lasów.

Co się dzieje, kiedy umiera Bóg?

Uczone kolegia zastanawiają się dzisiaj nad tym zagadnieniem. Głosy pełne udręki i skargi, prawdziwy „lament nad umarłym Bogiem” — zdają się potwierdzać żałobną wiadomość. Niebo przeszywane orbitami statków kosmicznych wydaje się puste. Skończył się czas Boga, czy zaczął się czas człowieka? To przecież w imię uwolnienia człowieka od największej alienacji Feuerbach ogłosił wyrok śmierci na Boga, a Nietzsche ten wyrok wykonał w *Tako rzecze Zaratustra* po to właśnie, by zrobić miejsce dla nowego, wyzwolonego człowieka: nadczłowieka.

Tym bardziej zaniepokojeni są ludzie wierzący, bo wiara oznacza przecież takie „postawienie” na Boga, że gdyby Go nie było, wszystko musiałoby stracić sens. Gdyby chrześcijaństwo miało się nie sprawdzić, my chrześcijanie — jak mówi św. Paweł w 1 Liście do Koryntian — byłibyśmy najnędniejszymi z ludzi. Musimy więc sobie wyjaśnić ów wstrząs, jaki przeżywamy. Problem „śmierci Boga” nie jest bowiem nowym chwytem ze strony „bezbożników”; w tym zjawisku jest coś więcej niż mógłby zawierać modny i efektowny pogląd, ujęty w bulwersującą formułę. Jest i w tym znak jakiś czasu, że tyle wybitnych umysłów przeżywa naszą epokę jako czas śmierci Boga.

Powiedzmy sobie od razu: na naszych oczach rzeczywiście umiera Bóg, jakiś Bóg. Może umiera właśnie n a s z Bóg i dlatego jesteśmy tak wstrząśnięci i zdławieni. Może umiera Bóg przekazany nam przez tych, których kochaliśmy i którym wierzyliśmy jak nikomu na świecie: przez rodziców, kapłanów. Może umiera Bóg, któregośmy sobie z wielkim wysiłkiem stworzyli i którego wizją obdarzaliśmy i obdarzamy innych. Może umiera Bóg naszej formacji kulturowej. Bóg naszych struktur społecznych. Może oznacza to dla nas odarcie z tego, co największe w historii naszej wiary, przeżywanej jednostkowo i w zbiorowości. To boli straszliwie. Agonia n a s z e g o Boga rozsadza nam serce.

Stleją ściany, sprzęty najdroższe,
A ty z ogniem będziesz się żenił.
Zostaniecie tylko we dwoje:
Bóg na niebie i ty na ziemi

— zapisał analogiczne doświadczenie Jerzy Liebert w wierszu *Zaślubiny*. Tak jednak jest ze wszystkim, co n a s z e w tej dziedzinie. „Sądy moje nie są sądami waszymi” — mówi Bóg, zazdrosny o to jedno, żebyśmy nie dawali pierwszeństwa „bogom cudzym”, co znaczy także: naszym własnym o Nim wyobrażeniom. „Falszywy Bóg — pisała w *Świadomości nadprzyrodzonej* Simone Weil — który we wszystkim przypomina prawdziwego, z wyjątkiem tego, że nie można się z Nim zetknąć, zawsze będzie przeszkodą w dojściu do Boga prawdziwego”.

Zmiana obrazu świata spowodowała zmianę obrazu Boga. Tym, co umiera na naszych oczach, nie jest Bóg, lecz nieprawdziwe wizerunki Boga prawdziwego. Nie są one fałszywe dlatego, że stworzone w złych intencjach. Wiele z nich podarowano nam lub stworzyliśmy je sami w najlepszej wierze, wiele jest związanych z jakimś stopniem naszego rozwoju, z wielu człowiek i ludzkość po prostu wyrasta. Niektóre z tych wizerunków, owych „bogów

cudzych”, trzeba niszczyć, tak jak niszczyli posągi bóstw prorocy Starego Testamentu, niektóre wałą się na ziemię same jak Baal, gdy wniesiono arkę, jak wedle apokryfów, bożkowie w Egipcie, gdy przybyła tam uciekająca przed Herodem Święta Rodzina.

I tak musi umrzeć Bóg m a g i i, ustępując miejsca Bogu religii. Magia jest próbą zniewolenia Boga, narzucenia Mu woli człowieka przez dokonywanie pewnych czynów. Mogą to być nie tylko obrzędy, lecz także „dobre uczynki”, jeśli je się pojmuje jako zobowiązanie Boga do rewanżu. Ten rodzaj magii trwa w chrześcijaństwie i jest częstą pokusą ludzi „czyniących dobrze”. Tymczasem Bóg prawdziwy jest wolny i dokonuje wyboru w sposób nieskrępowany. Pamiętam, jak uczono nas, że Bóg dlatego wołał ofiarę Abła, że Kain składał w ofierze zepsute ziemiopłody. Próbowano potraktować wybranie Abła i odrzucenie Kaina jako zagadnienie moralne zasłużonej nagrody i równie zasłużonej kary. Nieprawda. W Biblii nie ma w tym miejscu o tym mowy: Bóg, który jest wolny, wołał ofiarę Abła, choć dary Kaina były równie dobre.

Musi umrzeć — powtórzmy za Pascalem — „Bóg filozofów”, jeśli nie jest Bogiem patriarchów i Jezusa Chrystusa. Myślę zresztą, że on nigdy nie żył naprawdę, ten Bóg-pojęcie, Bóg abstrakcji, nieosobowy i nieżywy, Bóg deistów, konieczny ale podręcznikowy, Bóg obojętny; Bóg Platona, który mógł być tylko kochany przez niższych, gorszych i słabszych od siebie i nie mógłby się poniżyć do miłowania „w dół”, do miłości ku człowiekowi; Bóg Arystotelesa, który nie mógł zajmować się losem człowieka, ponieważ mędrzec zajmując się życiem robaka, nie byłby godny tego imienia: poniżyłby sam siebie.

Musi umrzeć Bóg złej teologii, ów żandarm świata, małostkowy księgowy, zajęty tylko prowadzeniem rejestru naszych win, mściwy upiór, który wchłonał w siebie wszystko, co było najbardziej posepnego i zatrważającego w bóstwach pogańskich, w najokrutniejszych mitach, zazdrosny o rozwój i emancypację człowieka, jak Apollo, który obdarł Marsjasza ze skóry, ponieważ okazał się lepszym od niego muzykiem, zawistny o każdą odrobinę ludzkiego szczęścia i radości jak Artemida, która z Apollinem zabiła z łuku czternaścioro dzieci, z których tak dumna była nieszczęsna Niobe.

A przecież są jeszcze dziś katolickie domy, gdzie nie można się zaśmiać w piątek, bo w niedzielę przyjdzie „za karę” smutek, są ciągle chrześcijanie, którzy uważają na to, by nie zdradzić się ze swoim ludzkim szczęściem, bo może ono sprowokować zazdrość i gniew Boga. Jakże trwałe są takie mity, zwłaszcza jeśli rosły wraz z nami, jeśli razem z nami wyszły z dzieciństwa i jak wampiry karmiły się krwią naszego serca. Nie wiem, jaki obraz Boga zafundowano w dzieciństwie Przybosiowi, temu mistykowi i wizjonerowi, że po latach, w *Zapiskach bez daty*, które otrzymaliśmy po jego śmierci, pozostał o tyle rozgoryczenia do chrześcijaństwa i księży.

Jestem historykiem sztuki chrześcijańskiej, a jakoś nie mogę sobie przypomnieć, jaki pierwszy obraz religijny widziałem w życiu. Może był to Anioł Stróż, z chłopcem i dziewczynką na dziurawej kładce? Wisiał nad moim łóżkiem. Seledynowy przejrzysty welon jego szaty opadał stamtąd w moje sny. Może był to Chrystus z apostołami idący przez zboże? Nie wiem. Natomiast jako mój najwcześniejszy rysunek religijny pamiętam, co nam kazał rysować ksiądz przygotowujący nas do pierwszej spowiedzi i komunii świętej. Musiało to być w roku 1938. Ksiądz opowiedział nam historyjkę ilustrującą doniosłość czwartego przykazania. Finał tego zdarzenia mieliśmy narysować — nie pamiętam już, czy na lekcji czy jako zadanie domowe. Gdy zamknę oczy, widzę ten upiorny rysunek, wykonuje go moja dziewięcioletnia ręka: jest to grób, z którego sterczy dłoń trupa. Bo historyjka była o tym, jak to jakieś dziecko uderzyło matkę i potem umarło, i jego ręka wystawała z trumny, a później z grobu i nic nie pomagało, żadne zakopywanie, choćby najgłębsze. Dopiero kiedy przyszła matka i uderzyła różgą tę trupią rączkę, wówczas ona się schowała, bo rodzice nie powinni być za dobrzy i powinni zazwyczaj bić dzieci, żeby po śmierci nie było takich komplikacji.

Musi umrzeć Bóg socjologii, Bóg struktur i uwarunkowań, Bóg jednego narodu: *Gott mit uns*. Bóg określonej klasy społecznej, Bóg posiadaczy, stworzony na ich obraz i podobieństwo, Bóg faryzejskiego konwenansu. Mało kto oskarżał go z równą siłą, jak Sartre w swej autobiografii: „Przeczuwałem religię, liczyłem na nią, było to lekarstwo. Gdyby mi go odmówiono, wynalazłbym je sam.

Nie odmawiano mi go; wychowany w wierze katolickiej, dowiedziałem się, że Wszechmocny stworzył mnie dla swojej chwały — było to więcej, niż bym ośmielił się marzyć. Ale w następstwie w owym Bogu *fashionable*, o jakim mnie nauczano, nie rozpoznałem Boga, którego oczekiwała moja dusza: pożałowałem Stwórcy, a dawano mi Wielkiego Fabrykanta; obaj stanowili jedno i to samo, nie wiedziałem o tym; służyłem bez zapachu faryzejskiemu Idolowi, oficjalna zaś doktryna obrzydzała mi poszukiwanie własnej wiary. Co za szansa! Ufność i rozpacz uczyniły moją duszę gruntem wybranym, aby posiać w nim niebo; gdyby nie ta pomyłka, byłbym dziś mnichem”. Żeby zniszczyć tego idola, Bóg posługuje się dziś laicyzacją i ateizmem, który oczyszcza pojęcie Boga z antropomorfizmów. „Istnieją dwa ateizmy — pisała Simone Weil — z których jeden jest oczyszczeniem pojęcia Boga”. Nie ma dziś w gruncie rzeczy silniejszego dowodu na to, że istnieje Bóg żywy i prawdziwy, niż współczesny ateizm, zwłaszcza ten namiętny. *Sacramentum luctae...*

Tajemnicę tej walki ukazuje biblijny archetyp patriarchy Jakuba mocującego się z aniołem, jeden z najbardziej przejmujących mitów mówiących o wiecznej metafizycznej przygodzie człowieka. Trzydziesty drugi rozdział Księgi Rodzaju opowiada o niej być może po to tylko, żeby wyjaśnić nazwę miejscowości Penuel („Oblicze Boga”) i nowe imię Jakuba: Izrael („Bóg walczy”), a jednak jest to jedna z kart Biblii, która wywołała lawinę komentarzy patrystycznych, zapłodniła sztukę — mam na myśli fresk Delacroix w kaplicy Świętych Aniołów w Saint-Sulpice, trwa w literaturze współczesnej: dość wymienić *Atlasowy trzewiczek* Claudela i *Falszerzy* Gide’a.

Była to noc przed spotkaniem z Ezawem, który wyruszył przeciw Jakubowi z czterystu ludźmi. Była to noc lęku: „Jakub przeraził się tak bardzo, że aż mu serce ścisnęło” (Rdz 32, 8). Bał się śmierci. Bał się, że Ezaw zwyciężywszy pozabija nawet kobiety i dzieci. Podzielił więc swoich ludzi na dwa obozy,

by choć jeden ocalał, przygotował dary dla Ezawa, wysłał je, przeprowadził swoje żony na drugą stronę potoku Jabbok. Znamy takie krzątania się bez większego sensu, wynikające z próby oszukania własnego niepokoju przez zatracenie się w drobnych czynnościach, które niewiele mogą zmienić. Ale wreszcie nie ma już co robić i zostajemy sami w obliczu próby, w sytuacji granicznej.

„Gdy zaś wrócił i został sam jeden, ktoś pasował się z nim aż do wschodu jutrzeńki, a widząc, że nie może go pokonać, dotknął jego stawu biodrowego i wywichnął Jakubowi ten staw podczas zmagania się z nim. A wreszcie rzekł:

— Puść mnie, bo już wschodzi zorza!

Jakub odpowiedział:

— Nie puszczę cię, dopóki mi nie pobłogosławisz!

Wtedy go zapytał:

— Jakie masz imię?

On zaś rzekł:

— Jakub.

Powiedział:

— Odtąd nie będziesz się zwał Jakub, lecz Izrael, bo walczyłeś z Bogiem i z ludźmi, i zwyciężyłeś.

Potem Jakub rzekł:

— Powiedz mi, proszę, jakie jest twoje imię?

Ale on odpowiedział:

— Czemu pytasz mnie o imię? — i pobłogosławił go na owym miejscu.

Jakub dał temu miejscu nazwę Penuel, mówiąc: «Mimo że widziałem Boga twarzą w twarz, jednak ocaliłem me życie». Słońce już wschodziło, gdy Jakub przechodził przez Penuel, utykając na nogę” (32, 25-30).

Nocą, samotny, w obliczu realnego niebezpieczeństwa Jakub potyka się z tajemniczym Nieznajomym — aniołem? samym Bogiem? Zdumiewająca jest niepojęta równowaga sił — jakże często jej

doznajemy, dopóki trwa noc tego życia — wreszcie człowiek okazał się silniejszy i wymusił błogosławieństwo. Bóg nie jest zawistny, myślę że był dumny z siły Jakuba, iż okazał się taki twardy, odporny, nieustępliwy, że walczył do ostatka. Ale spotkanie zostało tylko odłożone, miało stać się przedmiotem dziedziczenia: człowiek odszedł zraniony przez Boga, spotkanie z Bogiem wpisało się jako problem w jego ciało, duszę. Zraniony przez Boga...

Dona Prouhèze z dramatu Claudela modli się za Don Rodryga: „Mój Boże, proszę Cię za mojego brata Rodryga, mój Boże, błagam Cię za moim synem Rodrygiem.

Dałeś mu już poznać, czym jest pragnienie, ale on nie zdaje sobie jeszcze sprawy z tego, co znaczy być pożądanym.

Uczyni z niego człowieka zranionego, ponieważ raz w życiu zobaczył postać anioła”.

To okaleczenie przypomina o tamtej walce każdemu z ludzi. Nie możemy uwolnić się od tamtego dziedzictwa. Wobec tej sprawy prawie niemożliwe jest pozostać obojętnym. Pewnej nocy odnawia się rana, której istnienia nie podejrzewaliśmy. Odzywa się zaspokojony pozornie przy pomocy namiastek głód Boga. Wierzący i niewierzący, jedni i drudzy jednakowo nie widząc w ciemności Jego twarzy, mocujemy się z Nim. My kuszeni przez niewiarę, oni pociągani przez wiarę...

— Puść mnie, bo już wschodzi zorza.

Jakże bardzo chcielibyśmy wiedzieć o Nim więcej, dowiedzieć się, dopytać, doczytać.

— Powiedz mi, jakie jest twoje imię ?

Trwa straszliwy pojedynek; brak tchu. Gdybyśmy Go nie trzymali tak silnie i gdyby On nas tak mocno nie obejmował, już byśmy upadli.

— Czemu mnie pytasz o imię ?

Ci, którzy uczciwie z Nim walczą, doznają w udręce tego uścisku *sacramentum luctae*: sakramentu walki. Gdyby byli obojętni, nie dotykałyby ich ramiona Boga. Uścisk walki przeradza się — jakże często! — w niewyznawany nikomu uścisk miłości gorzkiej. Namietniejszej niż miłość tych, co zawsze są razem. Rankiem odchodzą poranieni, słońce wschodzi i zaczyna się dzień, nieraz wielkiego ich trudu dla dobra świata, trudu, z którego wszyscy korzystamy.

Czynią dobrze
Ciebie nie znając,
czynią dobrze
— łaski Twoje nie szukając,
uznojeni i w grudniu, i w maju.

Każdym słowem
Twojej prawdzie bluźnią,
jak olbrzymy
w Twojej kując kuźni
kształt, co nas przed Tobą wyróżni.

Umierają
od grzechów czarni
tak jak my
w troskach i męczarni...
A Ty wszystkich nas po śmierci przygarnij.

(Kazimiera Iłakowiczówna, *Niektórzy*)

Odchodzą nieprzekonani albo z głębokim przeświadczeniem, że wierność sprawie jest nie do pogodzenia z Bogiem. Ale nie mogą już odwrócić się całkowicie i można do nich zastosować słowa wielkiego i miłosiernego chrześcijanina, Erazma z Rotterdamu, że ten tylko jest „nieszczęsny kto się tak od Chrystusa odwrócił, że już nie może być dostrzeżony. Bo chociażby i z daleka iść za Zbawcą — to też coś znaczy”.

A my, wierzący? Czy nam nie bywa dane doświadczenie nocy nad potokiem Jabbok? W co przeradza się nieraz uścisk, który na początku był uściskiem miłości? W ciemnościach nie widząc Jego twarzy... W sytuacjach granicznych, w stresach, lękach — jak wierzyć Niewidzialnemu? Dlaczego tak nam trudno, dlaczego mocujemy się zamiast obejmować? A może dzieje się tak dlatego, że sprawy wiary są bardzo podobne do spraw miłości? Że istotną tajemnicą jest fakt spotkania się dwóch osób, dwóch osobowości, dwóch światów? Jak niewiele możemy skorzystać z doświadczeń

innych: każdy ma swoje własne strefy światła i cienia, każdy inaczej spotyka Boga. W tej ciemności nie widać niczego, co Bóg ma nam do dania, nie można dostrzec Jego twarzy, Jego oczu pełnych miłości, widać natomiast wszystko, co trzeba utracić, czego trzeba się dla Niego wyrzec.

Doświadczenie nocy nad potokiem Jabbok mówi, że wiara nie jest podobna do jednego zręcznego chwytu, nie jest pochwyceniem Boga raz na zawsze, lecz jest długą walką, tym, co Grecy nazywali *agon*. Wiara poddana jest — jak każda walka sportowa i każda walka w życiu — prawu kolejnych kryzysów, łapania „drugiego oddechu”, jest tu przyływ i ubytek sił, wzrost i zamieranie. Nie można wiary „ubezpieczyć”, ona musi być ryzykiem i często, nawet w Kościele, ryzykiem samotnym. Każdy tu bywa „pośrodku swojej nocy”. Wiara nasza stale jest zagrożona, „niesiemy skarb w naczyniach glinianych”. Każdy z nas musi powtarzać paradoksalny okrzyk: „Wierzę, Panie, zaradź memu niedowiarstwu” (Mk 9, 4). I co najdziwniejsze, ten stan jest najzupełniej normalny i Bóg zasadniczo nie daje nam innego doświadczenia wiary, jak ów stan chwiejnej równowagi. Piotr był bardzo pewny siebie i dlatego Chrystus przeznaczając go na swego zastępcę, dopuścił, żeby się złamał. Bo wiara jest darem i łaską. „Bóg pysznym się sprzeciwia, a daje łaskę pokornym” — napisał ten sam Piotr o swoim doświadczeniu z podwórza arcykapłańskiego.

A ja się mocuję z Cherubem:

stopy wparte w kamień, skrzydła — jak konary grube.

Słyszę w dzień i w nocy,

jak mu serce nierytmicznie łomocze:

łomot i łomot, i znowu

łomot!

Czoło jego nade mną jak młot,

zamknięte — oczy surowe:

cała pierś w brąz zakowana,

całe serce — jedna wielka rana.

Kołysze się serce pęknięte,

świat zalewa czerwienią,

i — łomot!...

(Kazimiera Iłakowiczówna, *A ja się mocuję z Cherubem*)

Obejmując Boga czujemy, jak bije Jego serce. I oto zostajemy rozbrojeni. Dla nas, ludzi XX wieku, kiedy człowiek jest wymienną częścią społeczeństwa, miłość jawi się jako ostateczne ocalenie tożsamości. Tylko w miłości jesteśmy kimś jedynym, nie do zastąpienia. Ale tu rodzi się nowy lęk: zaczynamy bać się miłości, ten dar jest zbyt wielki. Św. Jan Ewangelista pisał o doświadczeniu wiary swoim i współbraćmi: „uwierzyliśmy miłości”. Ba, ale my lękamy się uwierzyć w miłość. Nie dowierzamy jej, nie dowierzamy ludziom, którzy mówią, że nas kochają. Wietrzymy w tym podstęp, chęć rozbrojenia nas i tym boleśnieszego zranienia. Nie, nie damy się na to nabrać.

Każda miłość jest ryzykiem: można tu wygrać albo przegrać życie. Boimy się miłości także dlatego, że oznacza ona dobrowolną rezygnację z naszej suwerenności. Miłość jest związkiem z drugą osobą, na serio, na zawsze. A jeśli jest to Osoba Ukrzyżowana? Jeśli Ona wymaga, by umrzeć dla siebie, by żyć z Nim?

Oszolomieni tym darem zaczynamy się — jak Anioł — przed Nim bronić:

— Puść mnie, bo już wschodzi zorza.

Zaczyna się mój dzień płaski, dwuwymiarowy, szary. Zaraz zapręgnę się do mojego kieratu, zaraz zacznę żyć prawdziwym życiem, będę wdzięczyl się do ludzi nie zasługujących na szacunek i którzy mnie nienawidzą. Zacznę uwijać się, funkcjonować, walczyć. Zaraz będę jednym z moich współczesnych, nijakim (bo tak bezpiecznie), bezimiennym.

— Czemu mnie pytasz o imię?

Zaraz będę samotny, a mogłem mieć Przyjaciela. Nie będę miał rodziny, a mogłem mieć Brata. Będę bał się śmierci, ponieważ przestraszyłem się Życia. Postąpiłem tak, jakby Ciebie nie było, jakbyś nie żył. A przecież wyszedłeś żywy z śmiertelnych zapasów, choć jako człowiek pozwoliłeś się zmiażdżyć i zamordować. Rhabanus Maurus widział w *sacramentum luctae* tajemnicę cierpienia Chrystusa, który „wziął naszą słabość i przyjął na siebie nasze choroby” (Mt 8, 17).

W niedzielę *in Albis*, pierwszą po Wielkiejnocy 1945, został powieszony w hitlerowskim więzieniu pastor Dietrich Bonhoeffer, który napisał był w liście z 16 lipca 1944: „U Mateusza (8, 17) jest (...) całkiem wyraźne, że Chrystus pomaga nie przez wszechmoc, tylko przez słabość i cierpienie. (...) Bóg (...) jest w świecie bezsilny i słaby, i tak właśnie, tylko tak jest z nami i nam pomaga”.

Bonhoeffer był sam „po stronie Boga w Jego bezsilności i cierpieniu na świecie”, jakże bliskiej teologii św. Pawła, gdzie jest mowa o „słabości Boga”, „głupstwie krzyża” i „głupstwie przepowiadania”. W zmaganiach, jakie ludzie toczą z Bogiem „pośrodku swojej nocy”, owa słabość, owo milczenie mocy Bożej jawi się często jako największe zgorzenie.

— Czemu mnie pytasz o imię?

W roku 1963 rozpoczynałem rekolekcje u Dominikanów poznańskich od rozważenia mitu Jakuba i Anioła. Któregoś wiosennego przedpołudnia, między konferencjami rekolekcyjnymi, poszedłem przejść się po terenach poznańskiej cytadeli. Na grobie jednego z lotników brytyjskich, zestrzelonych podczas wojny czy zmarłego w niemieckim obozie jenieckim, przeczytaliśmy zdanie: „Milczenia Boga mogą być długie, ale nigdy nie są one milczeniami zapomnienia”. Milczenie Boga — oto wielka próba wiary dziś, w epoce kontaktów i informacji. Nie brak dziś ludzi, którzy chcą zmusić Boga do mówienia. Tak postępuje Goetz w *Diable i Panu Bogu* Sartre’a, powołując się zuchwale i bluźnierczo na rany Chrystusa, ale Bóg milczy. Milczy także, gdy Goetz wycina sobie mieczem stygmaty i tak objawia się ludowi. Bóg nie daje się sprowokować.

Gdyby dzieje ludzkości miały być tylko zmaganiem się z problemem Boga, w ciemności i milczeniu — nie byłoby nadziei. Ale Bóg przemówił, objawił i wyraził siebie, stał się nawet człowiekiem, nie przestając zresztą być Wielkim Nieznajomym, *stranger in the night*.

Zła teologia usiłująca być jakąś matematyką o Bogu zabiła w człowieku współczesnym szacunek dla tajemnicy, tak że jeśli powołujemy się na istnienie tajemnic w religii chrześcijańskiej, to jako na okoliczność łagodzącą nasze niedowiarstwo. Wydaje nam się, że gdyby wszystko było jaśniejsze, wierzylibyśmy silniej. Jest to oczywiście nieporozumienie: wówczas tylko w i e d z i e l i b y ś m y więcej. Bez tajemnic nie byłoby wiary. Wiemy przecież z doświadczenia, że o wiele szybciej i łatwiej jest pływać w rzece niż w jeziorze, a najlepiej tam, gdzie woda jest głęboka i nurt silny. Jest wtedy chwilami trochę strasznie, gdy uświadomić sobie, nad jakimi przepaściami wodnymi podtrzymuje mnie nurt porywisty i głęboki, ale niesie on szybko i nieomylnie. Tak jest z wiarą.

Wiele mitologii opowiada nam o braciach bliźniakach tak ze sobą związanych, że śmierć jednego powodowała śmierć drugiego z nich. Wiadomo zresztą, jak trudno jest nawet dzisiejszej chirurgii rozdzielić syjamskie rodzeństwo. Tak jest chyba, w analogicznym sensie, wszędzie tam, gdzie występuje prawdziwy związek dwóch istot, gdzie występuje fenomen międzyosobowego kontaktu i komunii. Tak jest i z człowiekiem w jego relacji do Boga. Człowiek nie został stworzony na to, by być istotą tragicznie samotną. Kiedy się przebudził ze snu niebytu, jego pierwsze spojrzenie napotkało Kogoś, kto patrzył na niego z miłością. Otoczył go od zaraz cudowny świat. Żeby nasycić jego ciało i duszę kimś, kto nie będąc tak onieśmielający, byłby jednak znakiem Jego miłości, Bóg stworzył drugiego człowieka. Adam i Ewa spotykali Boga i rozmawiali z Bogiem, który przychodził do nich w odwiedzinach. Wszystkie te biblijne zdarzenia mają w sobie pogodę i blask „złotego wieku”.

Dysharmonia i rozdarcie wniesione przez grzech zmieniają uścisk, który miał być uściskiem miłości, w uścisk nienawiści, czasem śmiertelny. Dla kogo? Dla tego, kto jest słabszy.

Stary Testament pełen jest doświadczenia, że nie można wpaść w ręce Boga żywego i wyjść z życiem. Kiedy Dawid miał do wyboru,

czy wpaść w ręce wrogów, czy oddać się w ręce Boga, stoczył walkę wewnętrzną, zanim wybrał Boga. Penuel, dokąd udał się Jakub po walce z Aniołem, znaczy: „Mimo że widziałem Boga twarzą w twarz, jednak ocaliłem me życie”.

Wielka miłość krępuje. Wielka miłość pozbawia wolności. A że jest mocna jak śmierć, wydaje się nam nieraz, że może nas od niej uwolnić albo śmierć, albo odejście, bo odejść znaczy „trochę umrzeć”. W tym szamotaniu się, w tej męce zdobywamy jakąś wolność, ale jest to, jak napisała Anna Kowalska na ostatnich kartach swego dziennika, „wolność wygnanych z raju”.

Nie co innego, ale niezdolność sprostanania miłości Boga podsunęła człowiekowi myśl, żeby się od Niego uwolnić. Tak powstała idea śmierci Boga. Że kryzys ten był związany z porządkiem serca, a nie z porządkiem rozumu, świadczyć może choćby to, że narodził się w drugim dziesiątku XIX wieku, w epoce romantyzmu.

Trudno jest zabić kogoś, kto jest tak żywy jak Bóg. W walce wręcz, w splecieniu się z przeciwnikiem, wymierzając ciosy, można je w uniesieniu zadawać samemu sobie. Taka była sytuacja owej nocy nad potokiem Jabbok. Tak jest dzisiaj. Czy nasz czas nie stał się przypadkiem czasem śmierci człowieka?

Czy nie jest nim może właśnie dlatego, że miał być czasem śmierci Boga? „Śmierć Boga i koniec człowieka są ze sobą związane” — napisał filozof strukturalista, Michel Foucault, który zamknął swą książkę *Słowa i rzeczy* zdaniem: „Człowiek jest wynalazkiem. Archeologia naszej myśli łatwo wykazuje jego niedawną datę i być może bliski jego koniec”. Tak, zapomnieliśmy, że to nie człowiek wymyślił Boga, lecz Bóg człowieka. To człowiek potrzebuje Boga, żeby nawiązać do Istnienia, do Życia.

Już w roku 1929 Roger Martin du Gard pisał w swej powieści -rzece, *Rodzinie Thibault*: „Nietzsche zniszczył pojęcie Boga. Na jego miejsce postawił pojęcie człowieka”.

Idea nadczłowieka przeszła następującą linię ewolucji: Jakub Burckhardt i jego *Kultura renesansu we Włoszech*, Fryderyk Nietzsche i jego *Tako rzecze Zaratustra*, Alfred Rosenberg i jego *Mit XX wieku*; od gabinetu humanisty z Bazylei po komory gazowe w Oświęcimiu.

Zdanie Nietzschego: „Mówiąc popularnie: Boga obaliliśmy, a diabła nie”. Właśnie. Na tym polegał błąd. Nie można zostawić przy życiu świadka mordy. Diabeł pozostał żywy i nie tracił czasu, także jako mimowolny świadek Boga:

Pana pysk ulepiony z popędów, łajna, głupoty
wyklucza wszelką wątpliwość.
Jeżeli istnieje diabeł, jest także Bóg;
w przeciwnym razie już byście dawno wygrali.

Mówi to do esesmańskiego Doktora w *Namiestniku* Hochhuta młody jezuita Riccardo, który idzie dobrowolnie do niemieckiego obozu koncentracyjnego na dowód solidarności z mordowanymi Żydami.

Kiedy organizm wyczerpany bezskuteczną walką z wirusami musi się poddać, kończą się skoki gorączki, które ze szpitalnego wykresu czynią pasmo straszliwych gór. Można by odnieść wrażenie, że nareszcie jest dobrze. Temperatura utrzymuje się w granicach normalności, płynie spokojną poziomą kreską. To jest beznadziejność. To już jest agonia.

„Mamże ja jeszcze cel — pytał się w *Zaratuście* nietzscheański Cień — mamże ja przystań, do której mój żagiel wiezie? Ach, tylko ten, który wie, dokąd żegluje, wie zarazem, który wiatr jest dobry i dla jego żeglugi pomyślny”.

Przy końcu pierwszej części musicalu *Hair* Claude śpiewa piosenkę:

Dokąd mnie gna,
dokąd ja idę?
Co mi ten świat
w nagrodę da?
Gdzie jest ten płomień,
za którym gonę,
i jaki wiatr mi w uszach gra?

Nietzsche opisał sytuację człowieka po zabiciu Boga: staje się on łupem samego siebie, jest własną zdobyczą, jest wdrażony sam w siebie i sam dla siebie zagadką. A Nietzsche jeszcze nie znał przecież i nie przewidywał dalszego ciągu. Nie przypuszczał, jakie kształty przybierze wynikająca z tego alienacja i frustracja, jaką groźbę przyniesie coraz realniejsza perspektywa dowolnego modelowania istoty ludzkiej w sensie nie tylko fizycznym, ale i duchowym. Wtedy, w XIX wieku jeszcze wierzono bezkrytycznie w postęp nauki i nikt nie odważyłby się powiedzieć tego, co w *Niepokojach biologa* niedawno napisał Jean Rostand: „Nauka wyjaśni wszystko. Lecz bynajmniej nas nie oświeci. Będziemy jako bogowie, lecz jako bogowie ośłupiali, otumanieni”.

A jednak pomimo że konsekwencje „zabicia Boga” dla samego człowieka mogły wtedy, przed rozbiciem atomu i dzisiejszym rozwojem techniki, wydawać się tak odległe, Nietzsche przeraził się. W liście do Overbecka w 1885 pisał, że chciałby bardzo, żeby mu ktoś udowodnił, że się myli. I dlatego pewnie pieśń Wróżbiarza, gdzie jest mowa już nie o zabiciu, lecz o wygnaniu Boga, autor *Zaratustry* zakończył wezwaniem Nieobecnego:

...O powrót znów
Ze wszystkimi mękami swoimi
Do ostatniego z samotników,
o powrót przyjdź!

[...]

Nieznany Boże mój! Mój bólu!
Moje ostatnie szczęście!

I oto wszystko zaczyna się na nowo. Niewiele nawet można się z tego nauczyć, doświadczenia cudze, a i spora część własnych, są przeważnie zupełnie bezużyteczne. Wierzący i niewierzący, każdy „pośrodku swej nocy”, napotykamy Nieznajomego i musimy się z Nim mocować.

— Puść mnie...

— Nie puszcze cię, dopóki mi nie pobłogosławisz!

— Jakie masz imię?

— Odtąd będziesz zwał się inaczej, bo walczyłeś z Bogiem i z ludźmi, i zwyciężyłeś.

— ...już wschodzi zorza.

Świt zapowiada zbawienie.

CZAS PRZYJŚCIA

Udał się też Józef
z Galilei do Judei,
do miasta Dawidowego,
zwanego Betleem,
żeby się dać zapisać
z poślubioną sobie Maryą..



Adwent to świt.

Adwent to daleki tłumny fryz pełen postaci i zdarzeń, nieczytelny i pozbawiony sensu, gdyby w Betlejem za panowania cesarza Augusta w Rzymie i różnych tetrarchów w Palestynie, nie narodziło się dziecko, któremu nadano imię Jezus, a którego matką była Maryja.

Adwent to mała izba w domu cieśli, gdzie zjawił się jego żonie archanioł, którego imię Gabriel znaczy „Zwiastujący człowieka”.

Adwent to pustynia, na której widać wyniosłą postać
odzianą w skórę wielbłąda.

Adwent to liturgia.

Adwent to nasze życie.

Adwent to nasza śmierć.

Adwent to nasze zmartwychwstanie.

Adwent to ostateczne przyjście Chrystusa.

Adwent to c z a s.

Czas dopełniania się i zbliżenia,
czas wzrostu i rozwoju,
czas oczekiwania i tęsknoty,
czas przychodzenia Tego, który jest zawsze, znajomy
i nieznajomy,
czas cierpliwości, greckiej *hypomené*, która znaczy:
być twardym, wytrwałym w trudnościach,
czas ufności i radości,
czas naszego powrotu, hebrajskiego *szub*, co znaczy:
zmienić się,
czas prorocstwa i czas świadectwa,
czas nocy,
pora świtu.

Poranki są teraz ciemniejsze, a wieczory coraz dłuższe. Lada dzień pierwsza gwiazdka śniegowa na rękawie palta przypomni wszystkie niegdysiejsze śniegi i dawne dziecinne radości; sannę, ślizgawkę i lepienie bałwanów z marchwianymi nosami. Sąsiedzi w tramwaju, autobusie czy pociągu coraz częściej rozmawiają o świętach...

W niedzielę proboszcz w fioletowym ornacie, w dzień powszedni samotna wysoka świeca płonąca przed świtem w czasie rorat, książka czy szalik na wystawie, który byłby dobrym prezentem - wszystko to zwiastuje nadchodzącą radość:

A światłość już niedaleko:
w grudniu się narodzi Dziecko.

W domu zaczyna się mówić o porządkach, zupełnie jak w *Festi Nativitatis Christi Laudes*, czyli *Pochwale Święt Bożego Narodzenia* tegoż samego Mistrza Ildefonsa:

Garnki, sagany, kotły
z miedzi robione:
wszystko to gospodynie
czyszczą natchnione,
klamki, progi i drzwiczki,
nawet z kurzu stoliczki...

Być może święta okażą się smutniejsze od tych oczekiwań i przygotowań. Nie ma nic piękniejszego niż czekanie na wielką radość, na spełnienie się dobrej obietnicy.

Adwent jest czasem proroctwa.

To malowidło powstało prawie 1800 lat temu i znajduje się w katakumbie Pryscylli w Rzymie: pod drzewem wykonanym częściowo w stiuku mężczyzna w płaszczu filozofa, ze zwojem w rękę, wskazuje na gwiazdę. Przed nim siedzi kobieta ubrana jak rzymska matrona, z dzieckiem na kolanach. To nie jest zwykła rodzina, bo po cóż by gwiazda. To nie jest święta rodzina, bo święty Józef byłby, jako rzemieślnik, ubrany w robotniczą *tunica exomis*: sztuka starochrześcijańska nie pozwala sobie na żadne dowolności kostiumowe. Darujmy sobie dalsze zgadywanie. Jest to wedle wszelkiego prawdopodobieństwa prorok i Madonna z Dzieciątkiem. Ale który prorok? Taki, który mówił o gwieździe lub o dziewicy - matce. Micheasz wspomina o „rodzącej, która porodzi” (Mich 5, 2-3). Balaam przepowiadał „gwiazdę, która wzejdzie z Jakuba” (Lb 24, 17). Izajasz wreszcie „dziewicę, która pocnie i porodzi syna” (Iz 7, 10-15). Dwaj ostatni występują jednak rzadko w literaturze starochrześcijańskiej, a w ogóle spotykamy tu częstą w starożytności chrześcijaństwa syntezę: z kilku proroków artyści stworzyli postać syntetyczną, t y p proroka, który przepowiedział

przyszłą Epifanię, zapowiedzianą przez gwiazdę, Epifanię, w której odegra rolę dziewica - matka.

Nad adwentem unoszą się ciemne wersety proroków. Ostatni z nich miał dożyć spełnienia się przepowiedni: był to Jan Chrzciciel, który „przyszedł do całej krainy Jordanu, głosząc chrzest pokuty na odpuszczenie grzechów, jako napisano w księdze mów Izajasza proroka: Głos wołającego na pustyni: gotujcie drogę Pańską, torujcie ścieżki Jego. Wszelka dolina będzie wypełniona i każda góra i wzniesienie znizone będą. Krzywe drogi staną się prostymi, a ostre wygładzonymi będą i każdy człowiek ujrzy zbawienie Boże” (Łk 3, 3-6). Naprawy dróg domagali się heroldowie od mieszkańców prowincji, do których miał przybyć władca, ale w tym wypadku, wtedy i dzisiaj, jest mowa o innych drogach: o drogach pomiędzy ludźmi a Bogiem i ludźmi między sobą. Każdy adwent powinien być ich prostowaniem. Niechby to się udało choćby na najkrótszym odcinku, choćby w stosunku do jednego człowieka.

„Stalo się słowo Pańskie do Jana, Zachariaszowego syna, na pustyni” (Łk 3, 2). Miejscem adwentu jest pustynia. To sprawia, że nastrój adwentu jest bliski nam, ludziom XX wieku. Pustynia jest bowiem — jak powiedzieliby strukturaliści — słowem-kluczem naszej epoki. Ile razy występuje ono w tytułach książek, dramatów, filmów — od *Pustyni miłości* Mauriaca po *Czerwoną pustynię* Antonioniego — ileż razy określa ono sytuację duchową ich bohaterów? Ile razy było wizją i przepowiednią? Camus w *Renegacie* z tomu *Wygnanie i królestwo* zapowiadał zwycięstwo „czarnych tyranów, ujarzmiających i władających bez litości w jedynym mieście z soli i żelaza”, którzy „zwyciężą słowo miłość, przejdą przez pustynie, przejdą przez morze, zasłonią światła Europy swymi czarnymi woalami... rozsieją swoją sól po kontynencie, wszelka roślinność, wszelka młodość zgaśnie, pod okrutnym słońcem prawdziwej wiary nieme tłumy o spętanych nogach iść będą po pustyni świata...”

A motyw pustyni w malarstwie współczesnym, który zauważył René Huyghe, wskazując na jego genezę u surrealistów, na przykład

u Tanguya i Salvadora Dali, a który rozwinięty został przez neohumanistów (Gruber) i realistów amerykańskich, jak na przykład Wyeth? A rzeźba? O największym ze współczesnych rzeźbiarzy Giacomettim pisał wybitny krytyk szwajcarski Jacques Monnier: „Próżnia wydaje się surowcem dla Giacomettiego, który dociska rzeźbę do ostatecznej granicy, doprowadza ją do zaprzeczenia samej siebie, do samounicestwienia. Cóż pozostaje z człowieka? Istota na pograniczu nicości. Ta rzeźba utworzona z pustki graniczy z absurdem. Czy nie rozpacz była tworzywem, z którego ją zrobiono?” Ten sam *amor vacui* rządzi współczesną urbanistyką — dość pomyśleć o mieście, które wpisane w step, zawiera w sobie pustynię, o Brasilii.

Pustynia to pustka, odległość, obcość, samotność, brak życia. Słowo Pańskie rozbrzmiewa na pustyni. Pustynia jest miejscem interwencji Bożych. Bóg prowadzi swoich wybranych na pustynię i przez pustynię. Przez doświadczenie pustyni przechodzi sam Chrystus.

Jeśli życie wokół mnie zamieniło się w pustynię, muszę pamiętać, że jest to czas próby. Mogę z tej sytuacji przymusowej wynieść tyle, ile bym wyniósł wybierając ją dobrowolnie. Być na pustyni może być przekleństwem, ale może być i powołaniem. W *Liście do zakładnika* Saint-Exupéry pisał o pustyni, że jest ona — wobec braku jakiegokolwiek bogactwa dotykającego, widzialnego i słyszalnego — dowodem na to, że „człowiek jest ożywiany przede wszystkim przez przyciągania niewidzialne. Człowiekiem kieruje Duch. Na pustyni jestem wart tyle, ile warte są moje bóstwa”.

Bóg zbliża się często do ludzi poddanych próbie pustyni. Mogą nas trochę śmieszyć cudowności, przez które Bóg dodawał otuchy i podtrzymywał na siłach pustelników, te kruki przynoszące chleb, te lwy odgrywające rolę domowych zwierzątek. Tak jest w żywotach świętych, i to stanowi w dużej mierze o ich pięknie i poezji. Biblia w Trzeciej Księdze Królewskiej (17, 3 nn) opowiada to samo o proroku Eliaszu. Jeden z jego pobytów na pustyni związany był z pogrózkami bezbożnej Izebel, małżonki króla Achaba, która pragnęła go zabić. Wyczerpany usiadł pod krzakiem jałowca i zaczął się modlić o śmierć. Kiedy zasnął udręczony, obudził go dwukrotnie anioł, wskazując na podpłomyk i naczynie z wodą.

Za drugim razem powiedział: „Wstań, jedz, bo przed tobą długa droga! Więc powstawszy, zjadł i wypił. Następnie mocą tego pożywienia szedł czterdzieści dni i czterdzieści nocy aż do Bożej góry Horeb” (3 Krl 19, 7 nn).

Ojcowie Kościoła rozumieli ten fragment jako alegorię Eucharystii. Myślę, że można by to rozszerzyć i na Słowo Boże, i na inne „pokarmy ziemskie”, dane nam, byśmy nie ustali w drodze. Dawniej czytaliśmy ten fragment w któryś dzień Wielkiego Postu. Pamiętam, że przypadło to na jeden z dni rekolekcji dla artystów, jakie prowadziłem w kościele Wizytek w Warszawie. *Kairos*, ten moment i ta sytuacja ukazały mi nagle jeszcze jeden sens owego cudownego pokarmu. Także i sztuka jest pokarmem na pustyni, który z woli Boga pomaga nam żyć, nie wpadać w rozpacz i „nie pragnąć śmierci”. Trzeba ją stawiać u wezglowia tym, którzy śpią snem podobnym do śmierci, i trzeba ich budzić jak anioł Eliasza — pośrodku nocy, bo przecież „pozostała przed nimi długa droga”.

W jednym z czytań adwentowych prorok Izajasz ukaże nam pustynię przewycięzoną. Ukaże nam zbawienie, które przychodzi od Boga, podobne do zakwitnięcia stepu:

Niech się rozweseli pustynia i wyschła ziemia,
niech się raduje step i niech rozkwitnie!
Niech wyda kwiaty jak lilijki polne...

(...)

Powiedzcie małoduszny:

«Odwagi! Nie bójcie się!

Oto wasz Bóg (...)

On sam przychodzi, by zbawić was».

Wtedy przejrzą oczy ślepych
i uszy głuchych się otworzą.

(...)

Bo trysną zdroje wód na pustyni
i strumienie na stepie.

(Iz 35, 1 nn)

Oto nadzieja! Czytając te słowa, nie można nie pomyśleć, jak głęboko inspirowany jest biblijnym rozumieniem możliwości zbawienia ten gorszący z pozoru wiersz Iłakowiczówny:

Bóg jest także z nimi...
Bóg jest także z przeklętymi
przy samej, przy samej ziemi.

Przeklął ich dom i kościół,
przeklął martwe kości,
już im nic nie urośnie.

A Bóg, jak ziarno z ognia,
lata nad nimi co dnia,
ogarnie ich, zapłodni.

I trysną kwieciem gęstym,
skrzydłami, burzą, szczęściem,
światem całym zatrzęsą.

Adwent to czas zbawienia.

„Teraz bowiem bliższe jest nasze zbawienie niż wówczas, gdy uwierzyliśmy” (Rz 13, 11). Co to znaczyło „wówczas”? Czy Apostoł chciał powiedzieć po prostu, że dzięki upływowi czasu adresaci jego listu są już bliżej ostatecznego zbawienia? Paruzji? Pewnie tak.

Ale co to znaczy w moim życiu? Czy to możliwe, żeby moje zbawienie było bliższe teraz niż wówczas, gdy pierwszy raz przeżyłem to, że wierzę w Boga? Bliższe teraz niż wówczas, kiedy cały byłem wiarą, nadzieją i miłością? Byłabym bardziej zbawiony teraz, gdy tak trudno zdobyć się na ufność, gdy prawie wszystko to, co było znakiem ostatecznej nadziei, zmieniło się w rozczarowanie? A może właśnie dlatego? Może muszą przeminąć figury, cienie i obrazy, żeby ukazała się prawda. Jakże straszne jest jednak to, że nie doprowadzają nas one do samego jej progu, że nie przechodzą bezpośrednio w nią samą, że nie zaczyna ona

coraz silniej przez nie przeświecać, ale że musi wpierw nadejść ta pustka, owo odarcie.

Ale dopiero ten moment jest prawdziwie czasem nadziei.

Zbawienie moje jest bliższe, ponieważ jestem już słabszy. Już zgadzam się na to, by być prowadzonym. Bóg może już być silniejszy, ale niech będzie błogosławione to, co było przedtem: szukanie, wiara, niepokój — bez nich nie doszedłbym nawet do tego koniecznego punktu. Zbawienie moje jest bliższe teraz, bo jestem coraz bliższy śmierci.

A w końcu nie jest ważne, jak jestem jeszcze od Niego daleko, ale jak On jest blisko.

Point of no return. Już nie ma powrotu, można tylko dotrzeć do drugiego brzegu. Nasz czas nie jest zamknięty, jest czasem otwartym. W każdy rok trzeba wchodzić jak w nową koncentryczną strefę przyciągania przez Boga.

Adwent to pora w i d z e n i a.

Proroków nazywano „widzącymi”. Zobaczyć nie tylko przepowiedane przez nich zbawienie Boże, ale zobaczyć ludzi, a jeszcze lepiej konkretnego człowieka, który obok nas żyje. Może trzeba mu pomóc, może wystarczy do niego zagadać, pocieszyć, dodać otuchy, rozśmieszyć? Bo przecież

radość, radość niedaleko,
radość, co pychę uśmierca...

W Rzymie, Paryżu, Nowym Jorku czy Londynie i w tysiącu innych miast ulice i place jarzą się od milionów różnokolorowych świateł, wieloramiennych gwiazd, wspaniałych reklam Gwiazdkowych, które rozjaśniają tęczową łuną wieczory adwentowe. Bardzo to śliczne i nigdy nie zapomnę grudniowych wieczorów na rzymskim Piazza Navona. Ale nie mogę się oprzeć wrażeniu, że przy takich iluminacjach trudno jest dojrzeć prawdziwe gwiazdy, dlatego też obserwatoria astronomiczne buduje się dziś raczej daleko od miast. Tam, gdzie noce ciemniejsze, gwiazdy wydają się większe.

Wychodząc czasem wieczorem z sąsiadem na spacer, a mieszkam właściwie na wsi, nieodmiennie olśniony bywam widokiem nocnego nieba.

Gwiazdy. Mnóstwo gwiazd. Ich odległość i cisza przerażały Pascala, a Kantowi z niedalekiego Królewca kazały myśleć o Bogu. Jakoś dziwnie się robi na sercu, gdy pomyśleć, zwłaszcza w grudniowe wieczory, że przed wiekami, wśród tych samych gwiazd, lśniła spokojnym blaskiem, nisko nad ziemią, ich betlejemska siostra, gwiazda o długich promieniach.

Historia zbawienia jest historią spotkań Boga z człowiekiem, dziejami niepojętych zalotów Boga, nie potrzebującego przecież nikogo i niczego, który zjawia się jako spragniony przyjaźni człowieka i pragnie zasłużyć na jego miłość. Tajemnicze i bogate życie Trójcy pragnie wciągnąć w swoją orbitę samotną i kruchą egzystencję człowieka.

W Księdze Wyjścia czytamy o Mojżeszu przed gorejącym krzewem. Zawołany przez Boga, odpowiada: „Oto jestem”. Za chwilę użyje tego samego czasownika Bóg: „Ja jestem, który jestem”. To samo słowo, a jakże różne: „jestem” człowieka brzmi słabo, jest tylko wątłym promykiem obecności, wynikającym z ciemności i ginącym w pomroce. JESTEM Boga brzmi jak potężna symfonia, świeci i bucha płomieniem jak nie spalający się krzak. Mojżesz chce się do niego zbliżyć i zostaje zatrzymany przez słowa: „«Nie zbliżaj się tu! Zdejm sandały z nóg, gdyż miejsce, na którym stoisz, jest ziemią świętą... Jestem Bogiem ojca twego, Bogiem Abrahama, Bogiem Izaaka i Bogiem Jakuba». Mojżesz zasłonił twarz, bał się bowiem ujrzeć Boga” (Wj 3, 7-8).

Kiedy Bóg przychodzi do człowieka, nie dzieje się to nigdy dla jakichś racji tajemnych; jeśli są tu jakieś tajemnice, to trwają one tylko do czasu, kiedy człowiek dojrzeje do ich zrozumienia. Dotyczy to całej ludzkości i każdej jednostki, tak dzieje się także w moim życiu. Bóg przychodzi, by nasze kruche „jestem” wzmocnić siłą swojego istnienia, by dodać blasku i ciepła naszemu życiu. Dlatego

pewnie do wielkich znaków Obecności, których tyle jest w Biblii, należy ogień.

Krzak gorejący jest pierwszym z tych biblijnych świętych ogni. W ślad za nim, jak ogniska zapalane na wzgórzach w noc świętojańską, zapalają się inne: słup ognia prowadzący nocami naród wybrany z niewoli do Ziemi Obiecanej, blask, co rozedrze ciemności nocy narodzenia Chrystusa, płomyki tańczące na wietrze w zduszonej od lęku atmosferze wieczernika Zielonych Świąt...

Od *Poklonu pasterzy* Correggia malarstwo europejskie uczyniło z nocy przyjścia Pana misterium ciemności i blasku. Malarstwo XVII wieku przełożyło na język formy plastycznej słowa prologu Janowej Ewangelii o życiu, które jest światłością ludzi (por. J 1, 4). Dużą rolę musiały odegrać w tym także coraz szerzej znane objawienia św. Brygidy Szwedzkiej, która w swych wizjach oglądała Dzieciątko błyszczące silniej niż słońce pośrodku nocy.

...a światłość w ciemności świeci
i ciemność jej nie ogarnęła.

(J 1, 5)

Biblia lubi kontrasty. Siła Boga nie ukazuje się, dopóki nie objawi się cała słabość człowieka. Dopiero najgłębszą ciemność rozjaśnia blask Boży. W liturgii obchodzimy dwie święte noce: narodzenia i zmartwychwstania. Bóg wybiera noc, ponieważ nie jest to pora działania człowieka. Noc jest porą snu lub bezsenności. Sen jest bratem śmierci, jak Hypnos był bratem Thanatosa. Zасыpianie jest małą agonią.

Za tych, co usnąć nie mogą,
Za tych, co śmierci się boją

— modlił się, jednym tchem Tuwim w Litanii. Bezsenność znowu każe człowiekowi myśleć. Nie ma wtedy kolorów i kształtów. Nocą w Królewcu Kant patrzył w głąb nieba na gwiazdy i w głąb własnego serca, na istniejący w nim porządek moralny. Noc może być porą

„przyływu sumienia”, jeśli człowiek czuwa. Ciemność, czasem przytulna i opiekuńcza, napęla trwogą, wyolbrzymia niebezpieczeństwa, pomaga także złu. Tajne policje totalitarnych reżymów dokonują wtedy aresztowań, przesłuchań, dopuszczają się skrytobójstw, dość jednak pomyśleć o zbrodniach pospolitych, o zwykłych włamaniach, rabunkach i morderstwach.

Ileż przepaściwych i strasznych otchłani ewokuje *Nox atra* Konińskiego. Ileż przeżyliśmy takich nocy gorzkich, rozpaczliwie samotnych. Są noce miłości i noce zdrady. Chrystus został zdradzony i wydany nocą. Noce ludzi chorych, „godzina wilków”, kiedy się umiera, gdy noc najczarniejsza jest przed świtem.

Trwoga nocna, *pavor nocturnus* znany był starożytnym, dla których noc była porą zjaw i strasydeł, porą magii. Noce niesamowite, noce lęku. Nikt nie opisał ich klimatu lepiej niż Rilke, gdy opowiadał o nocach, podczas których rosną umarłym włosy i śnią się rzeczy potworne.

Dzień zawsze niesie z sobą jakąś pociechę, jest jakąś szansą ratunku, można znaleźć ludzi, pójść do nich. Nocą nie mamy przyjaciół i znajomych, nocą nie istnieje cały świat: jest tylko nasz pokój, nasze mieszkanie, nasze myśli. Jaką ulgą jest zobaczyć, że gdzieś jeszcze się świeci, że jest jeszcze na świecie ktoś, choć nieznamy, kto czuwa. Skazaniec K. z *Procesu* Kafki doznał tej samej iluzorycznej pociechy w godzinie śmierci: „Jego wzrok padł na najwyższe piętro graniczącego z kamieniołomem domu. Jak błyska światło, tak rozwarły się tam skrzydła jakiegoś okna: jakiś człowiek, słaby i nikły w tym oddaleniu i na tej wysokości wychylił się jednym rzutem daleko przez okno i wyciągnął jeszcze dalej ramiona. Kto to był? Przyjaciół? Dobry człowiek? Ktoś, kto współczuł? Ktoś, kto chciał pomóc? Byłże to ktoś jeden? Czy byli to wszyscy? Byłaż jeszcze możliwa pomoc? Istniały jeszcze wybiegi, o których się zapomniało?”

Samotność i ciemność — dwa bliźniacze doświadczenia dzieciństwa. Zostawanie samemu, kiedy gaśnie światło. Światło oznaczające obecność tych, których kochamy, znanych przedmiotów, teraz potworniejących w mroku.

Światło zwiastuje obecność ludzi. Doświadczyłem tego pewnego jesiennego wieczoru na Peloponezie w roku 1959. Wybraliśmy się tam samochodem z Aten i mieliśmy wrócić na noc do miasta. Niestety, przy dojeździe do nie oznaczonych jeszcze w bedekerach wykopalisk przeliczyliśmy się co do pojemności baku. Zabrakło benzyny i trzeba było pójść po nią do widniejącego na mapie miasteczka. Pamiętam ten marsz, bo było coś niesamowitego w tym znalezieniu się w sercu nieznanego krajobrazu, który, jak cały kraj, mógł mignąć tylko za szybami samochodu, a oto teraz został mi dany tak, jakbym tu mieszkał całe życie i wracał wieczorem z pola do domu.

Zmierzch stał się nagle nocą ciepłą, bezgwiazdną, obcą. Ledwie widziałem przed sobą koleiny wiejskiej drogi nigdzie śladu domu ani ludzi, tylko na pewno, nad horyzontem, zupełnie daleko, niebo rozjaśniało się, może resztkami blasków zachodu, a może luną bardzo oddalonego miasta.

Maszerowałem z kanistrem po benzynę, krew techniczną XX wieku, ale nagle opadły mnie wspomnienia dawnych greckich mitów, okrutnych historycznych wydarzeń, a nawet przyszło na myśl opowiadanie jakiejś wieśniaczki, że Peloponez sływał z wilkołaków.

Nie pamiętam już, jak długo szedłem. Musiało tego być co najmniej dwie lub trzy godziny, kiedy nagle zza zarośli błysnęło światło, zaszczekał pies. Był to pierwszy dom miasteczka. Wszędzie świeciło się światło, ludzie nie spali, lecz weseli i przyjaźni, ze śpiewem i śmiechem tłoczyli w kadziach winogrona, częstowali moszczem, zapraszali do pomocy i towarzystwa.

Święty Jan w prologu swej Ewangelii pisze o związku, jaki zachodzi między światłem a życiem. Nie wiem, czy dlatego starożytność chrześcijańska utworzyła krzyż z tych dwóch greckich słów

Φ
Ζ Ω Η
Σ

Światło i Życie...

Nie można zapomnieć o ich powiązaniu, gdy czyta się *Nocny lot* Saint-Exupéry'ego: „...noc podnosiła się z dołu jak czarny dym i wypełniała wklęsłość dolin, których nie można już było odróżnić

od płaszczyzny równinnej. Natomiast osiedla ludzkie rozbłyskiwały światełkami i zdawały się za ich pomocą porozumiewać ze sobą. I Fabien, dotykając kontaktów, odpowiadał wioskom migotaniem świateł pozycyjnych swego samolotu. Ziemia zdawała się napięta nawoływaniami świateł; każdy dom rozpałał swoją gwiazdę, nasuwającej się nocy, tak jak skierowuje się światło latarni morskiej na mrokiem okryte morze. Wszystko, co przesłaniało życie ludzkie, lśniło... Wpatrując się teraz w ciemność nocy, widział, jak odsłaniała ona przed nim sprawy człowieka — te wołania, światła, niepokój. Oto nikła gwiazdka w mroku — to jakiś odosobniony dom. A oto inna gwiazdka gaśnie — to jakiś dom, który zamyka się nad swoją miłością... ci ludzie sądzą, że ich lampa oświetla tylko ten skromny stół, tymczasem wołanie jej światła sięga na osiemdziesiąt kilometrów, tak jak gdyby nadawali rozpaczliwe sygnały z jakiejś wyspy bezludnej, zagubionej w przestworzach morza”.

Liturgia Bożego Narodzenia, zwłaszcza mszy o północy, mówi o „misteriach światła” — *lucis mysteria*. Misterium to czynność, w której bierzemy udział, bo zostaliśmy w nią wciągnięci przez wtajemniczenie. Dopiero niedawno, kilka lat temu człowiek mógł sprawdzić, że jego ojczyzna, Ziemia, świeci w głębokiej ciemności kosmosu. Świecą morza i lądy, skały i rzeki, pustynie i miasta, drzewa i ludzie. W czasie wojny wymyślono zaciemnianie miast, całych krajów, nieomal kontynentów, ale nie można zaciemnić Ziemi. Czy ten blask miałby nic nie znaczyć, do niczego nie zobowiązywać?

„Przyszedłem ogień rzucić na ziemię i jak bardzo pragnę, żeby on już zapłonął!” (Łk 12, 49). Chrystus nie był Prometeuszem. Prometeusz musiał wykraść ogień zazdrosnym o jego siłę bogom. Chrystus przyniósł na ziemię płomień, który zapowiadał był gorejący krzew Mojżesza, płomień, przez który Bóg chciał się zbliżyć do człowieka i opowiedzieć mu o swojej miłości.

W noc Bożego Narodzenia wydaje się, że Bóg i człowiek zamienili się rolami. Bóg jest bezsilny, kruchy, zagrożony, to Jemu trzeba opieki, światła i ciepła. Dziesięć lat temu odprawiałem pasterkę w kościele filialnym należącym do parafii Novaggio, w Szwajcarii, nad samą granicą włoską. Gałęzie palm przysypane ciężko śniegiem zdawały się podkreślać tajemnicę świętej nocy, pełnej paradoksów i kontrastów. Ludzie w kościele śpiewali po włosku, żywo, głośno, gardłowo, po góralsku.

Wzruszyło mnie to, bo przypominało nasze góralskie Boże Narodzenie, choć połowę wzruszenia, albo i więcej, pochłaniało zdenerwowanie: jakże ja wypowiem po włosku homilię o Narodzeniu Pańskim. Wszystko jednak odbyło się dość sprawnie i msza święta dobiegła końca.

Wyszedłem za innymi z kościoła i tu czekało mnie olśnienie: na placu podpalono właśnie wielki stos drzewa. Nieśmiało zrazu płomienie zaczęły wstępować w niebo granatowe i chłodne. Barokowa architektura kościoła, sztywne sylwetki palm i śnieg nasycaly się blaskiem, zaczęły żyć. Ogień trzaskał i huczał porywiście, jak wiatr z południa. Zapytałem najbliższych stojących, czy tak się robi zawsze w noc Bożego Narodzenia.

— *Si, padre.*

— *E perchè?*

Odpowiedź była najpiękniejsza z możliwych:

— *Per riscaldare il Bambino.*

Żeby ogrzać Dzieciątko, płonął ten wesoły, wysoki płomień, samotny w ciemności nocy, ożywiający grą światła i cieni drzewa i domy.

Pomyślałem sobie, że udał się Bogu ten cudowny wynalazek miłości, jakim było przyjście na świat małego Dziecka, którym trzeba się opiekować. Po dwóch tysiącach lat płoną jeszcze w górach ognie, które pragną ogrzać Dzieciątko. Jeszcze płoną serca, wzruszone i oczarowane tajemnicą Jego przyjścia.

Umiłowawszy nas pierwszy, t a k i m przyjściem sprowokował miłość. Bo przecież dzięki temu, że przyszedł, stał się On płomieniem wśród nocy, światłem dla umysłów i ciepłem dla serc.

Przypomniały mi się też słowa Bierdiajewa, że Bóg jest l u d z k i, natomiast człowiek może być nieludzki. Żeby go uczłowieczyć, zajaśniała na świecie — nie nad światem — *humanitas Dei, philanthropia tou theou*, o której pisze na ten dzień św. Paweł: przyjaźń Boga dla ludzi.

Każdemu z nas w różny sposób objawia się sens Bożego Narodzenia. Objawia się najczęściej przez to, cośmy sami przeżyli. Bardzo często są to wspomnienia z dzieciństwa: jakaś choinka, jakiś prezent, jakaś potrawa, jakiś zapach, jakaś kolęda, którą znali tylko nasi rodzice, a której dziś już nikt nie śpiewa. Przez te znaki najbliższe i najprostsze docierała do nas wielka prawda chrześcijańska, najbardziej niepojęty dogmat o Słowie, które stało się ciałem. Dzieciństwo i religia żyją nie pojęciami, lecz symbolami i obrazami, dlatego pewnie Chrystus kazał swoim uczniom być podobnymi do dzieci. Marcelemu Proustowi ciastko zwane magdalenką, które jadał w dzieciństwie, na zawsze związało się z atmosferą niedzieli. Pewnemu konwertycie, któremu w czasie choroby podawano konfitury na tacy nakrytej serwetą, gdzie w naiwny sposób wyhaftowano zdanie: „Bóg jest miłością”, na zawsze skojarzyła się dobroć tych rzeczy z dobrocią Boga. Dlatego zresztą robimy sobie nawzajem prezenty na Gwiazdkę. W tym czasie muszą być obdarowujący i obdarowywani, bo zapomnielibyśmy, że jest to dzień, w którym Bóg obdarzył nas zbawieniem.

Jednym z najpiękniejszych darów miłości jest obecność. Właśnie w czasie tych świąt chcemy być z ludźmi, których kochamy. Potrafimy tłuc się w przepelnionym pociągu przez dwie noce, byle spędzić razem już nawet nie jeden dzień, ale choćby jeden wieczór, ten wigilijny, wieczór Przyjścia Jezusa.

Jakoś nie pamiętam pasterek mego dzieciństwa i młodości. Najsilniej przeżyłem pasterkę w pierwszym roku kapłaństwa. Odprawiałem ją w szpitalu w Grudziądzu. Chorych było niewielu. Wiadomo, że każdy, kto się jako tako czuje i ma się gdzie podziać, stara się o możliwość wyjazdu ze szpitala do domu. Zostają najslabsi

i nie mający nikogo, komu by zależało, by spędzić święta wspólnie z nimi. Tu liturgia była naprawdę misterium: tu Bezdomny z Betlejem przychodził do ludzi pozbawionych domu, Słaby do cierpiących, Zagrożony do naznaczonych chorobą, często skazanych na śmierć. Do ludzi, na których nikomu nie zależało, przychodził Gość.

Tajemnica Wcielenia tu dopiero ukazywała całą swoją drastyczność: w obliczu tych ciał sponiewieranych i zniszczonych przez chorobę. „Słowo stało się ciałem” — mówiłem o tym ludziom wsłuchanym w umieranie swojego ciała, przypominałem, że Chrystus takie właśnie ciało, bezbronne, otwarte na cierpienie i śmierć, przyjął i że nasze biedne ciała są związane węzłami krwi z tamtym Ciałem.

Rodzi się Bóg prawdziwy.

Spróbujmy popatrzeć inaczej na nasze czasy, na epokę „śmierci Boga”: przecież to dziś właśnie rodzi się nowa, wielka i porywająca wizja Boga, przybliżająca każdemu z nas poznanie ostateczne: kiedy poznamy, tak jak jesteśmy poznawani przez Niego (por. 1 Kor 13, 12). Newman kazał na swym grobie napisać: *Ex umbris et imaginibus in veritatem*. Wyrastamy z dzieciństwa wiary, rośniemy do pełni wieku Chrystusowego. Demitologizacja Biblii i nowa hermeneutyka rewaloryzują najgłębszy sens obrazów, podobieństw i zdarzeń, które dokonały się dla naszego zbawienia.

Mówi się nieraz o naszych czasach, że nie sprzyjają Bogu, jakby Pan Bóg był przed wojną wielkim obszarnikiem. „Teologia śmierci Boga” jest nieco podobnym doświadczeniem w skali światowej. Tymczasem nasz czas jest, jak rzadko który przedtem, czasem objawiania się Boga już nieco starszej ludzkości, dojrzałej przede wszystkim dzięki wyższemu poziomowi kultury, dzięki zdobyciom nauki. Nauki przyrodnicze, biologia, astronomia, fizyka i chemia przywróciły Bogu Jego tron. Większa znajomość świata i jego cudownych praw ukazuje prawdziwą wielkość Boga. Nareszcie przestaje On być demiurgiem interweniującym w tysiącach drobnych spraw i naprawiającym ciągle psujące się uniwersum.

Wielka nauka, ścisła czołówka uczonych, jak nigdy przedtem jest bliska takim wyśmianym przez scjentyzm XIX wieku wartościom, jak intuicja, poezja, wreszcie — religia. Zresztą i z tym osławionym ze swojej bezbożności ubiegłym stuleciem też było, zdaje się, inaczej, niż to sugerują popularne schematy myślowe. Dennart, który zajmował się *Religią badaczy przyrody*, stwierdził, że na 283 uczonych tamtego czasu było tylko 7 ateistów, 9 obojętnych, a 220 wierzących. Poglądów religijnych reszty nie udało mu się ustalić.

Wielkim zaskoczeniem okazała się książka Mikołaja Koza-kiewicza *Światopogląd tysiąca nauczycieli*, wydana w Warszawie w roku 1961. Zawiera ona wyniki badań nad światopoglądem nauczycielstwa polskiego, przeprowadzonych w roku 1959. Okazało się, że bardziej religijni są nauczyciele najmłodszy i młodzi, wykształceni już w Polsce Ludowej. Okazało się również, że „wierzący nauczyciele z wyższym wykształceniem są zarówno bardziej gorliwi w wykonywaniu praktyk religijnych ponad normę minimalną ustaloną przez Kościół, jak też najbardziej przestrzegają ustalonych minimów”. Zjawiskę to nosi zresztą wszystkie cechy społecznej prawidłowości. Francuski socjolog religii Guelly stwierdził bowiem: „Wyniki ostatnich ankiet wykazują (...), że zainteresowanie sprawami religii jest dzisiaj większe tam, gdzie jest wyższy poziom ogólnej kultury”. Dawno już zauważono, że do Betlejem przybyli ludzie najprostsi i najuczeńsi owego czasu: pasterze i mędrcy.

Jakże przejmującego sensu nabierają XIV- i XV-wieczne obrazy przedstawiające *Pokłon Trzech Mędrców*, gdzie Dzieciątko dotyka rączką głowy najstarszego z magów, łysej czaszki, pod którą mieści się mózg, centrum naszego uniwersum, dzięki któremu człowiek ogarnia dziś ziemię i dociera do planet.

Bo też uroczystość Epifanii stała się w epoce renesansu prawdziwym świętem kultury chrześcijańskiej odnowionej przez odrodzenie się mądrości starożytnej. Bractwo Trzech Króli było jedną z najważniejszych konfraternii florenckich XV wieku. Organizowało

ono między innymi inscenizacje pochodzą Trzech Mędrców ze Wschodu, który to temat stał się jednym z ulubionych w środowisku medycejskim. Zresztą sami Medyceusze przewodniczyli temu bractwu, aż po Wawrzyńca Wspaniałego, po którego śmierci i po ucieczce Piotra Medyceusza konfraternia została prawdopodobnie rozwiązana. W pełni rozkwitu była ona miejscem pobożnych spotkań członków neoplatonickiej Akademii; tutaj wygłaszali oni uczone *sermones*, śpiewali hymny i pieśni. Tutaj Donato Acciaiuoli wypowiedział w roku 1468 słynną mowę o Eucharystii, a Marsilio Ficino mówił na drogi sobie temat gwiazdy, co przyprowadziła do Jezusa „królów-magów”, pogańskich kapłanów i astrologów, którzy są kluczowymi postaciami jego historiozofii i teologii historii. Był zdania, że nie byli oni królami, lecz kapłanami i filozofami: „Czemuż odrzucać tę nazwę: mag? Ewangelia przyjmuje ją łaskawie, nie ma w tym słowie nic czarodziejskiego ani trucicielskiego; wyraża ona mądrość i kapłaństwo”. Epifania symbolizuje dla Ficina przedostatni stopień „platonickiej drabiny”, wiodącej do Boga, który stał się ciałem, to jest Chrystusa, w towarzystwie magów prowadzonych przez gwiazdę. W dniu Epifanii wiedza przyrodzona, którą obrazowała „teologia platonicka”, oddała siebie w ofierze celom nadprzyrodzonym.

Dla uczonych i artystów florenckich Epifania była nie tylko świętem Boga objawiającego się w historii człowieka, co w symbolice średniowiecznej wyrażało się młodością pierwszego, dojrzałością drugiego i sędziwością trzeciego Mędrcza, lecz także wejściem Boga w aktualny moment historyczny. Stąd też w postaciach Trzech Mędrców nie zawahano się przedstawiać osób współczesnych. Tak jest między innymi na freskach pędzla Benozzo Gozzolego przedstawiających *Pochód Mędrców*, namalowanych w latach 1459 i 1460 na ścianach kaplicy pałacu Medici Ricardi. Najstarszym królem jest patriarcha Konstantynopola Józef, królem, „melancholijnym” — cesarz bizantyjski Jan VIII Paleolog, a trzecim magiem Wawrzyniec Wspaniały — jakby dla podkreślenia faktu odziedziczenia przez Florencję skarbów greckiej mądrości — ubrany w turban.

Poklon Mędrców Sandra Botticellego z roku 1476 jest zbiorowym portretem Medyceuszów i przewodniczących Bractwa Trzech Króli, które odprowadziło do grobu Wawrzyńca Wspañalego, towarzysząc zstępującej w mrok historii gwiazdzie swojej epoki.

W dojrzałym już renesansie Leonardo da Vinci uczynił z przedstawienia Epifanii, które było dotychczas tematem lirycznym lub epickim - wydarzenie dramatyczne. Nie ma u niego biernej adoracji; postaci gestykują, zwracając się także ku sobie. Jest to pomnik myśli ludzkiej, która napotykając Wcielenie staje w obliczu tajemnicy i musi się z nią uporać także na planie intelektualnym, zanim zdecyduje się na wiarę, pogłębioną przez przezwyciężone wątpliwości, rozumną i krystaliczną.

Trzej Mędrcy przynoszą dary: mirrę, kadzidło i złoto. Nie tylko mądrość ludzka, ale i wciągnięta w orbitę człowieka i jego kultury materia zostaje ofiarowana Bogu. Materia, która stanie się materia sakramentów: nieodzownym elementem wielkich znaków Boga.

Materia, kiedyś przez część myślicieli chrześcijańskich zakazanych manicheizmem uważana za pierwiastek zła i służkę szatana, egzorcyzmowana przed poświęceniem, dziś ogarnięta została przez chrześcijaństwo spojrzeniem pełniejszym i szerszym. W doznaniu ludzi posiadających wykształcenie przyrodnicze lub techniczne, a ten typ wykształcenia zaczyna przecież przeważać, jest ona często nie ekranem zasłaniającym Boga, ale wskazującym na Niego kodem. Młody współczesny Polak ankietowany na temat: „Dlaczego wierzę, wątpię, odchodzę” — odpowiedział: „Rzeczywiście odszedłem kiedyś, ale wracam dziś do Boga p r z e z m a t e r i ę”.

Teilhard de Chardin stworzył w *Środowisku Bożym* prawdziwą pieśń nad pieśniami o materii, którą duch ludzki i Duch Boży przemienia i czyni godną ostatecznych przeznaczeń:

Materio, pełna fascynującej siły i uroku!
Materio, która darzysz pieśczętą i męstwem!
Materio, która wzbogacasz i niszczysz!
Ufając niebieskim wpływom, które napęłniły
balsamiczną wonią i oczyściły twe fale,
powierzam się twoim potężnym obszarom.
M o c C h r y s t u s a p r e s z ł a w c i e b i e.
Urokiem swym przyciągnij mnie,
sokami swymi nakarm mnie!
Nieustępliwością swoją umocnij mnie.
Dążeniem wzwyż wyzwól mnie!
Całą sobą, wreszcie, przebóstwij mnie!

(przekład Wandy Sukiennickiej)

Teilhard de Chardin wyciągnął wszystkie wnioski z tajemnicy Wcielenia: „Chrystus przyszedł po to, by przyoblec, zbawić i uświęcić ś w i ę t ą m a t e r i ę”. Materia jest dla Teilharda „całokształtem otaczających nas rzeczy, sił, stworzeń (...) wspólnym, powszechnym, podpadającym pod zmysły środowiskiem”, które objawia się nam „w zagadkowej postaci d w o i s t e j m o c y”. Nie jest to, oczywiście, dawny dualizm przeciwstawiający złą materię dobremu duchowi, lecz spostrzeżenie, że materia jest dla naszego działania bądź obciążeniem, bądź możliwością wzlotu. „Z jednej strony materia — to ciężar, więzy, ból, grzech, zagrożenie naszego życia. To, co obciąża, co cierpi, co rani, co kusi, co się starzeje. Z przyczyny materii jesteśmy ociężali, bezwładni, narażeni na cierpienia i pełni winy. Któż nas wyzwoli z tego ciała śmierci?”

„Lecz jednocześnie materia — to rześkość fizyczna, porywająca łączność, hartujący wysiłek, radość wzrastania. To, co przyciąga, odnawia, jednoczy, rozkwita. Materia nas żywi, dźwiga, łączy z resztą świata, zalewa życiem. Nie chcemy jej się pozbawiać. *Non volumus expoliari, sed supervestiri* (2 Kor 5, 4). Któż nam da ciało nieśmiertelne?”

Ascetyzm — zdaniem Teilharda — zdaje się dostrzegać tylko ten pierwszy aspekt i jest nieufny wobec materii, „lecz czymże byłyby nasze duchy, o Boże, gdyby nie upajały się winem stworzonego

piękna, gdyby nie umacniały się w ludzkich zmaganiach? Jakże nędzne siły, jak anemiczne serca przyniosłyby Ci Twoje stworzenia, gdyby odcięły się przedwcześnie od opiekuńczego łona, w którym je umieściłeś [...]. Przez Twoje bolesne Wcielenie pozwól nam poznać, a następnie gorliwie gromadzić dla Ciebie duchową moc materii”.

Materia dla Teilharda jawi się w postaci mitu drabiny Jakubowej, dzięki której, jak aniołowie, którzy śnili się patriarsze, możemy wznosić się do Boga. Obok tego mitu posługuje się Teilhard obrazem góry, po której wspinając się widzimy coraz jaśniej cel, podczas gdy droga przebyta zapada w ciemność. Materia, jak zbocze góry, może służyć zarówno wspinaniu się, jak i schodzeniu w dół. Powołanie chrześcijańskie jest wspinaczką.

Stopniowo i w naszym życiu, i we wszechświecie wzrasta ilość materii uduchowionej, przesyconej Duchem. W życiu ludzkim kontemplacja i czystość będą stopniowo brały górę nad potrzebą posiadania, konsumowania, a nawet nad potrzebą gorączkowego wytwarzania. „Pewnego dnia cała podlegająca przebóstwieniu substancja materii stanie się duchowa; odzyskane zostaną wszystkie wybrane siły — i wtedy świat nasz będzie przygotowany na przyjęcie Paruzji”.

Teilhard porównuje ten proces do chrztu Chrystusa. W wodach Jordanu, które symbolizują moc materii, Chrystus zanurza się i uświęca je. I tak mówi św. Grzegorz z Nyssy, „wychodzi z nich ociekając nimi, pociągając za nimi w górę świat”.

Właśnie w dniu Epifanii liturgia wspomina również chrzest Chrystusa, dzień, kiedy Bóg-Człowiek poddał się symbolicznemu oczyszczeniu przez materię. Chrystus miał jednak uświęcić ją oraz włożoną w nią pracę człowieka. Stało się to i powtarza dzięki Eucharystii, kiedy cząsteczka świata zostaje przeistoczona w Jego Ciało i Krew, nadając sens materii, pracy i twórczości ludzkiej, technice i kulturze.

Wśród bardzo wielu wierszy o Trzech Mędrcach ze Wschodu jednym z najpiękniejszych jest *Podróż Trzech Króli* T. S. Eliota.

Najpierw jest w nim mowa o podróży. Jej scenerię tworzy pustynia, tak obsesyjnie dręcząca Eliota, ale tym razem jest to pustynia biała i zimna, przewiana wichrem i śniegiem, podsycająca tęsknotę.

Za pałacem na wzgórzu, gdzie na taras latem,
Chłodny sorbet przynosi dziewczyna w jedwabiach.

Jest to także pustynia obcości —

I miasta nieprzyjazne. I wrogie osiedla.
Przekleństwa poganiaczy wielbłądów w dzień,
ustępują nocą tajemnemu głosowi, ale i on uprzedzał,
Że trud nasz jest szaleństwem.

I wreszcie pierwsza zapowiedź: świt i łagodna dolina:

Zstąpiliśmy spośród śniegów w zapach kwitnącej trawy.
Ale i tu „nie wiedziano o niczym”. Wreszcie kres drogi
i odkrycie jej sensu:

Powtarzam: dokąd wiodła nas droga —
Ku Narodzinom czy Śmierci? Tu Narodziny były
Na pewno; narodziny nieraz widziałem i zgony,
Lecz wydawały się inne. Te Narodziny dla nas
Stały się gorzką agonią, trudną jak Śmierć, śmierć własna.

(przekład Andrzeja Piotrowskiego)

Tę samą myśl, zaskakującą wobec blasku i radości tego święta,
zawiera też nasza kolęda *Mędracy świata, monarchowie*:

a proroctwo Jego zgonu już się w świecie szerzy.

Zawsze zresztą w mirrze widziano zapowiedź pogrzebu Jezusa.
Objawiając Boga i tyle Jego spraw, Epifania wyjawia nam — choć
niejasno jeszcze — że te Narodziny były, jak każde ludzkie
narodziny, skierowane ku Śmierci, bo ona była — jak dla nikogo
na świecie — celem Jego przyjścia.

CZAS PRÓBY

Jezus wiedząc,
ze nadeszła
Jego godzina,
umiłowawszy swoich
którzy byli na świecie,
aż do końca
ich umiłował



Wielki Post jest czasem próby. Tu objawia się — kiedyś po raz pierwszy, później co roku — twarda prawda o konieczności wzięcia na siebie krzyża, jeśli chce się naprawdę iść z Jezusem.

Czas liturgiczny bardzo zwięźle, po krótkim interwale kilku niedziel zielonych, powagą ciemnego fioletu wskazuje, że zaczyna się coś ważnego i poważnego: czas wewnętrzności, czas pokuty (polskie słowo „pokuta” przyjęło się dla greckiego *metanoia*, które występuje w Nowym Testamencie, a które znaczy: wewnętrzna przemiana).

Nadszedł czas — zanikających niestety w miastach — najpiękniejszych ludowych nabożeństw, jak *Gorzkie żale*.

Upał serca mego chłodzę,
Gdy w przepaść męki Twojej wchodzę...

Gorzkie żale wojenne, śpiewane po wiejsku, przeciągle, lamentacyjne... „Ach, ja matka tak żalosna...” Jakieś *Gorzkie żale* w kaplicy Collegium Marianum: seledynowe, zimne światło witraża, wysokie chłopiące głosy pod zmierzchającym białym sklepieniem, śpiewające o męce i umieraniu, o doświadczeniu tak jeszcze odległym.

Drogi krzyżowe —

Kłaniamy Ci się, Panie Jezu Chryste,
i błogosławimy Tobie...

niezapomniane, te z dzieciństwa, dwie odprawione w Jerozolimie i ta zeszłoroczna, kiedy w Wielki Piątek, tuż przed trzecią, spieszylem taksówką do kliniki do umierającej matki, z którą spędziłem godzinę, nie mogąc doprosić się pomocy, umierając z bezradności.

Jezus cierpiąc, nie przestaje być naszym nauczycielem, choć milczy. Jezus cierpiąc, uczy nas cierpieć. Jest w nawróceniu św. Pawła pewien szczegół zdumiewający. Gdy oślepionego Szawła przyprawiono do Damaszku, mieszkał tam pewien chrześcijanin imieniem Ananiasz. Miał on widzenie, w czasie którego otrzymał od Chrystusa misję spotkania się z Szawłem i uleczenia go. Oczywiście wiedział, kim był Szawel, i polecenie to wyzwoliło w nim zrozumiały opór.

„Idź — odpowiedział mu Pan — wybrałem sobie tego człowieka za narzędzie. On zanieś imię moje do pogan i królów, i do synów Izraela. I pokażę mu, jak wiele będzie musiał wycierpieć dla imienia mego” (Dz 9, 15-16). Na tym między innymi miało polegać jego objawienie osobiste, jego instruktaż: ile ma wycierpieć, nie: co ma zrobić, dokąd pójść, co i jak mówić.

Wiedzieli o tym także inni apostołowie. Kiedy po wystąpieniu obrońcy Gamaliela zostali mimo wszystko ubiczowani i po

otrzymaniu zakazu głoszenia nauki o Jezusie wypuszczeni, „odchodzili sprzed Sanhedrynu i cieszyli się, że stali się godni cierpieć dla Imienia (Jezusa)” (Dz 5, 41). Często zapominamy o tym, że nie wystarcza być świadkiem Jezusa, że trzeba to świadectwo potwierdzać także przyjmowaniem łączących się z tym cierpień. I w dodatku trzeba je przyjmować z radością. W świetle Nowego Testamentu, jeszcze wyraźniej niż w świetle Starego, prześladowanie jest prostą konsekwencją przepowiadania Jezusa. To nie jest nic nadzwyczajnego lub wyjątkowego. To jest — mówiąc językiem młodzieżowym — „normalka”.

A w ogóle nauczyć się jako tako znosić to, co przychodzi, napięcia, stressy. To nie jest jakiś religijny masochizm. Nie kto inny, ale jeden z największych malarzy naszych czasów, Chagall, powiedział w wywiadzie udzielonym w 1967 tygodnikowi „Epoca”:

— „Kiedy pracuję najlepiej?...

Ja nie pracuję dobrze. Ja dobrze znoszę cierpienie”.

Niedziela Palmowa: Jezus wjeżdża do Jerozolimy. Nie, oczywiście to nie było na skalę powitań na nowojorskiej 45 Avenue, Chrystus nie był Lindberghiem albo którymś z kosmonautów. Musiało jednak być coś z tego nastroju upojonego radością tłumu, jaki przekazują nam czasem kroniki filmowe. Gałęzie palmowe i płaszcze rzucono na drogę, którą przejeżdżał Jezus na najpokorniejszym z wierzchowców. Że nie jest to także jazda wygodna, tego doświadczyłem sam na górze Athos. Myślę jednak dziś z rozrzewnieniem, że wypożyczony przez uczniów dla Jezusa osiołek przypominał *Srebrzynka* Jimenéza i że Jezusowi było miło słyszeć pracowity i dźwięczny trucht jego kopytek.

Była to zresztą, jak piszą ewangeliści, oślica. Ponieważ dźwigała Pana, egzegeza aleksandryjska widziała w niej symbol synagogi, a w towarzyszącym jej ośłatku, które pewno zdumione tłumem to dokazywało, to płochliwe przytulało się do matki, dopatrywała się symbolu nieskrępowanego pogaństwa, nie dźwigającego ciężarów Prawa. Św. Ambroży komentując Ewangelię św. Łukasza, widział tu

symbol skromności, bycia „pod Jezusem”, pokornej służby, później św. Franciszek z Asyżu nazywał ciało „bratem osłem”, a za naszych czasów Francis Jammes prosił Matkę Boską, by wpuściła go do raju... z osłami.

Okrzyki, wiwaty, radość. Jezus wjeżdża do swojego miasta. Po raz pierwszy przybył tu mając dwanaście lat. Kochał to miasto, płakał przepowiadając jego przyszły los. Teraz wjeżdża do niego po raz ostatni, opuści je w piątek, niosąc krzyż, aby zostać zamordowanym „poza miastem”. Radość, okrzyki, śpiewy. Nastrój przedświąteczny. Zbrodnia dojrzewa.

Nie wiem, dlaczego przypomniało mi się coś w innej tonacji, z innego czasu, w innym kontekście. Nowogrecki poeta Konstantinos Kawafis napisał wiersz *Bóg opuszcza Antoniusza*, podobnie jak Szekspir w *Antoniuszu i Kleopatrze* nawiązując do zagadkowego wydarzenia, które poprzedziło śmierć Antoniusza walczącego z Oktawianem w 30 roku przed Chrystusem. W noc poprzedzającą klęskę, w pogrążonym w smutku mieście zabrzmiała tajemnicza muzyka i śpiewy niewidzialnego pochod.

Pisze Kawafis:

Jeśli nagle usłyszysz o północy,
jak przechodzi niewidzialny orszak
z przedziwną muzyką, śpiewem —
wtedy na klęskę swoją: że poszły na marne
wszystkie twe trudy i wszystkie dążenia
całego życia — nie skarż się daremnie.
Jak ktoś od dawna gotów, jak człowiek mężny
pożegnaj ją — tę Aleksandrię, która znika.
A przede wszystkim nie łudź się, nie wmawiaj sobie,
że to był sen albo że słuch cię zwodzi. Nigdy
nie zniżaj się do takiej złudy.
Jak ktoś od dawna gotów, jak człowiek mężny,
jak godny ktoś takiego miasta, twego miasta,
bez lęku do okna się zbliż
i słuchaj ze wzruszeniem, ale nigdy
z błagalnymi skargami tchórzów,

ostatniej twojej radości, tych dźwięków,
przedziwnych instrumentów tajemniczego orszaku,
i pożegnaj ją, pożegnaj — Aleksandrię, którą tracisz.

(przekład Zygmunta Kubiaka)

Wśród rozradowanego tłumu, pośród zieleni, która zstąpiła z drzew i zasłała sobą ulicę, jakby kamienny bruk zamienił się w wiosenną łąkę, Jezus podąży naprzeciw swojemu losowi, o którym wie tylko On i Ojciec.

Czas Męki Pańskiej jest czasem zgorszenia. Wszystko się w nas buntuje: Bogu nie wolno być tak słabym. Zmasakrowany więzień Gestapo pisał na ścianie piwnicy:

— Gdzie jesteś, Boże?

— ale przecież w tym przekonaniu, że Bóg jednak pozostaje sobą, jest potężny i wszechmocny, tyle tylko że nie dostrzega ludzkiego cierpienia. Tak samo Psalmista wzywał Boga:

„Powstań, Panie, i nie śpij!”

A tu inaczej. Tu jest Bóg — powiedzmy za Bonhoefferem — „w bezsilności i cierpieniu na świecie”. Tu jest Bóg poniżony, zdegradowany, opuszczony przez ludzi. Tu Bóg woła, że został opuszczony przez Boga. Tu, dwadzieścia wieków temu, dokonana się niekسیązkowa „śmierć Boga”, jakby mocujący się z tajemniczym Nieznajomym Jakub zamordował Anioła. Właśnie w tym jedynym momencie, gdy Nieznajomy objawił swoją ludzką twarz: piękną i dobrą. Twarz ta została opluta i zeszpecona razami, a potem zeszywniała w trupa maskę.

Będzie w tym okresie próba zademonstrowania siły Boga. Piotr wyciągnie schowany pod płaszczem miecz i utnie ucho „sługi książećcia kapłańskiego” — jak pięknie tłumaczył ksiądz Wujek. Uczyni to, żeby pokazać, że Bóg ma do dyspozycji środki bogate, że Jezus może liczyć na swoich przyjaciół. Jezus każe mu miecz schować i uzdrawia pokiereszowanego Malchusa. Pokusa, której

uległ Piotr, nie była tylko jednorazowym epizodem w dziejach chrześcijaństwa. Jezus jednak idzie dalej, w więzach, ku swojej śmierci, bezbronny upomina surowo swoich dzielnych obrońców i uzdrawia prześladowców.

Wielki Czwartek. Tyle się zmieniło ostatnio w liturgii tego dnia. I *Missa Chrismatis*, jakże skrócona, i msza wieczorna otrzymała nowe pierwsze czytanie: o baranku zabijanym na Paschę, na pamiątkę nocy wyjścia z Egiptu. Jego krew rozmazana na odrzwiach miała bronić przed przejściem Anioła-Niszczyciela. Straszliwa obietnica Boga: ja sam tej nocy przejdę przez Egipt. Nieubłagane prawo miłości, która jest wolna i zdolna do wszystkiego — w imię raz na zawsze dokonanego wyboru. To samo twarde prawo odezwie się w wieczniku i w ogrójcu.

Przed czytaniem jest jednak *Gloria*. Kościół wybucha dźwiękiem organów, brzmia dzwony, które zaraz umilkną aż po drugie takie samo radosne *Gloria* — w Wielką Sobotę. Takie samo? *Gloria* Wielkiego Czwartku, w obliczu męki i umierania, jest heroiczniejsze. Bo trudniej jest stłumić złe przeczucia niż okrutne wspomnienia. Muzyka, śpiew, dzwony. Mamy prawo się cieszyć, bo Oblubieniec jest jeszcze wśród nas.

Liturgia w wyniku reformy traci wiele cech dramatu, którym była, zwłaszcza od średniowiecza począwszy. Po ciemnej jutrzni już nie rozlega się *strepitus*, łoskot, któryśmy jako klerycy wywoływali uderzając brewiarzami w stalle zgoła radośnie, choć miał przypominać trzęsienie ziemi przy śmierci Jezusa. Symbolika średniowiecza ze swoją teatralnością i poetyką, która na zawsze uwięziła dziecinną i młodzieńczą wrażliwość, odchodzi w historię. Będziemy mogli o niej czytać w książkach, nawet my, którzyśmy jeszcze widzieli i słyszeli „Piotrowy teatr starodawny”... Tak, na pewno czasy się zmieniły i wiele naiwności musi ustąpić przed wymogami stawianymi przez nową umysłowość, czy jednak nie przyczyni się to do zmniejszenia wymiarów świadomości i wyobraźni? A może tylko

zmieni się jej kształt i otworzą się nowe perspektywy? Konieczność gestu jest bezsporna, wyzwajając się z dawnego sformalizowanego ceremoniału człowiek pragnie gestu nowego, który by go określił inaczej. Stworzył na nowo?

A jednak męka Jezusa pozostaje wielkim widowiskiem, w przeciwieństwie do zmartwychwstania. To jest — jak powiedział Paweł VI — dramat zbawienia świata. Jest tu jeden jedyny Aktor, czyli Ten, który d z i a ł a.

Jak prolog brzmi szeroka uroczysta fraza 13. rozdziału św. Jana: „Przed świętym dniem Paschy Jezus, wiedząc, że nadeszła godzina Jego, aby odszedł z tego świata do Ojca, umiłował swych, którzy byli na świecie, aż do końca ich umiłował. I po skończeniu wieczerzy, gdy szatan skusił był serce Judasza Iskarioty, syna Szymona, aby Go zdradził, Jezus wiedząc, że Ojciec oddał wszystko w Jego ręce, że od Boga wyszedł i do Boga zdąży, wstaje od wieczerzy, składa szaty swoje, a wzięwszy prześcieradło, przepasuje się”.

Ileż patosu w tym powolnym rytmie opisu najprostszych ludzkich czynności. Widzimy to wszystko szeroko otwartymi oczyma umiłowanego ucznia, który przed chwilą podniósł głowę z piersi Jezusa.

„Potem nalewa wody do misy i poczyną umywać nogi uczniom i wycierać prześcieradłem, którym się był przepasał. Zbliży się tedy do Szymona Piotra...” (13, 1-6).

Jedyna chwila w historii. Czas jakby się zatrzymał. Wszystko zostało zawieszona, mogłoby się wydawać: nawet władza Boga. „Ojciec oddał wszystko w Jego ręce”. Tu już Jezus jest prawdziwym centrum świata i historii. Wszyscy inni mogą tylko czekać, aż się wypełni Pismo. To jest chwila tryumfu, lecz dlatego, że to chwila największego zagrożenia. „Umilowanie do końca” miało znaczyć: aż do śmierci na krzyżu i poza śmierć (te wszystkie Jego cierpliwe przychodzenia po zmartwychwstaniu do przerażonych, zniechęconych i niepojętych). Mający umrzeć śmiercią zbrodniarza i niewolnika, teraz pochyla się do stóp galilejskich prostaków, których

uczynił swoimi przyjaciółmi, i spełnia funkcję sługi lub niewolnika: umywa im i ociera nogi.

Obrzęd *mandatum*. Papież, kardynałowie, biskupi obmywają tego dnia nogi dwunastu ubogim albo dwunastu starcom, albo dwunastu klerykom. Ma to się odbywać na klęczkach. Tego dnia władza Chrystusowa okazuje się namacalnie służbą i to ona rzuca na kolana przed najmniej znaczącymi w świecie, w Kościele.

Zapowiedź ogrójca: „Wy wszyscy zgorszycie się mną tej nocy...” Nie było to pierwsze zgorszenie związane z osobą Jezusa. Wiele religii antropomorfizowało Boga. Pogański antyk wcielał swe bóstwa w postaci pięknych, idealnych, nieruchomych ludzi. Kiedy jednak spełniły się te tęsknoty i zjawił się na ziemi prawdziwy Bóg i naprawdę człowiek — zaczęło się zgorszenie. Wszystko było zbyt dosłowne. Nie mogli się z tym uporać współcześni Jezusowi, nie mogli często potomni. Tak rodziły się herezje, które były próbami usunięcia tego zgorszenia. Nestorianizm mówił o Jezusie, że był tylko człowiekiem, monofizytyzm — że tylko Bogiem. Doketyzm ratował sytuację twierdzeniem, że Chrystus przyjął tylko ciało pozorne, że udawał człowieka.

Jakież to musiało być drastyczne wtedy, „w on czas”, gdy Jezus chodził po ziemi. Nie, raczej nie zazdrościmy tym, którzy wówczas żyli i spotkali Go: naprawdę nie było łatwo w Niego uwierzyć. Może z naszą umysłowością i pobożnością *establishmentu* bylibyśmy przeciw Niemu, zwalczalibyśmy Go, w imię Boga i religii.

Jezus był wielką próbą wiary. Powiedział sam o sobie: „Błogosławiony, kto się ze mnie nie zgorszy” (Mt 11, 6), bo bardzo łatwo było się Nim zgorszyć. Robił wszystko, żeby było trudno w Niego uwierzyć. Tak nie wolno postępować przywódcy. Przywódca musi każdym czynem i słowem budować swój autorytet. Powinien zadbać, żeby napisano o nim rzeczy wzniosłe i porywające. Tymczasem nie ma *handicapu* Jezusowego, żeby nie rozpisywali się o nim Jego uczniowie, ewangelieści.

Już samo pochodzenie: z Galilei nie wyszedł nigdy żaden prorok. Dziś nawet piosenkarz nie przyzna, że urodził się w Grójcu albo w Kłaju. Co może być dobrego z Nazaretu? Pochodzenie społeczne: ani prorok, ani syn proroka, ani z pokolenia kapłańskiego. W oczach świata syn cieśli. Prostack.

Kiedy zaczął występować publicznie, zarówno postępowaniem, jak i nauką podkopywał samego siebie. Psuł większość efektów osiągniętych swymi cudami. Kiedy rozentuzjarmowany tłum chciał Go zrobić królem — uciekł. Że jest królem, powie dopiero w czasie procesu, bo za to będzie Mu groziła kara śmierci. Chciał sytuacji prowokacyjnych: pozwalał dotykać swoich stóp prostytutce, cudzołożnicę uratował przed zgodną z Prawem Mojżeszowym egzekucją. Rozmawiał z kobietami. Jadł i pił, bywał na ucztach. Lał powrozami bankierów, którzy świadczyli w świątyni usługi dla wierzącej ludności, zaspokajając potrzeby związane z prawnie uznanym wyznaniem religijnym. W Jego przypowieściach pozytywnymi bohaterami są najbardziej znieawidzeni przez Żydów Samarytanie. Nie potępiał *a priori* rzymskich okupantów i kolaborujących z nimi celników. Szokował dobrze myślących i ci zapamiętali to sobie, zwłaszcza Jego stosunek do grzeszników i do „obcych”.

Ma rację Stählin: był „niemesjańskim Mesjaszem”.

„Wy wszyscy zgorszycie się mną tej nocy...”. Tak, to prawda, całe życie doświadczał wiary ludzi. Dementował wiarę naiwną, prymitywną, opartą na ludzkich wyrachowaniach, „wyliczoną” z jakiejś sytuacji ziemskiej. Nie chciał wiary łatwej, bezkonfliktowej, która nic nie kosztuje. Nie znosił wiary „ubezpieczonej”, pewnej siebie, sytej. Piotrowi, który zarzekał się, że choćby wszyscy Go się wyparli, on jeden nigdy tego nie uczyni — zapowiedział, że zaprze się Go po trzykroć (ale po tym upokorzeniu uczynił go swoim zastępcą, gdyż Piotr zyskał nową kwalifikację: przeszedł przez d o ś w i a d c z e n i e wiary.

„Wy wszyscy zgorszycie się mną tej nocy...” Tej nocy właśnie. Nie umiał się zachować ani w ogrójcu, ani na krzyżu. Tyle słabości, takie poniżenie. Zabrał ze sobą trzech najbliższych, błagał ich o chwilę czuwania, obecności w tej godzinie próby. Przychodził do nich, budził, wreszcie dał za wygraną: „Już śpijcie i odpoczywajcie” (Mk 14, 41). Judasz już wchodził do ogrodu.

Topos ogrodu: ogród rajski (Pascal napisze: „Jezus jest w ogrodzie, nie w ogrodzie rozkoszy, jak pierwszy Adam, gdzie zgubił siebie i cały rodzaj ludzki”), ogród Epikura... Mówi ewangelista, że Judasz znał to miejsce, bo Jezus tam często przychodził ze swoimi uczniami. To był ogród tuż za bramą, u podnóża Góry Oliwnej, miejsce spacerów, rodzaj miejskiego parku. Było to miejsce wypoczynku i zabawy.

„Ogrodzie oliwnej, widok w tobie dziwny...”

W tym miejscu pozostał dramat. Wieczorem, kiedy stare, wypróchniałe, podobne do rzeźb oliwki księżyc powleka rtęcią i srebrem, powietrze wydaje się zdławione. Nie widać barwy żadnego z kwiatów, które kwitną tam w dzień. W nocy jest tutaj tylko zduszona cisza; przez siatkę liści, jakby wyciętych z blachy, widać światła Jerozolimy.

Będąc w Jerozolimie, każdy wieczór spędzałem w Getsemani. Nic nie zrobiło na mnie większego wrażenia, żadne inne miejsce w całej Ziemi Świętej, tylko to, gdzie Jezus powiedział: „Smutna jest dusza moja aż do śmierci”. Tu jeśli nie wszechwiedza, to wyobraźnia ukazała Mu wszystko, co miało się zacząć lada chwila. Wiemy dobrze, że miało się zacząć nawet to najstraszniejsze, nie jest już tak źle. Najgorsze jest przeczuwanie i czekanie. Doświadczaliśmy tego pod bombami, pod obstrzałem, wzywani na przesłuchania, stawiani pod murem. Doświadczamy czekając na odczytanie wyroku, podanie wyniku analizy, ostateczne orzeczenie lekarza.

„I stał się Jego pot jak krople krwi spadającej na ziemię”. Pośrodku bazyliki Agonii, obramowana srebrnymi cierniami — naga skała. Może na nią właśnie padał krwawy pot.

„Jezus — pisze Pascal — będzie konał aż do skończenia świata; nie wolno nam spać przez ten czas”.

A jednak nawet w Ogrodzie Oliwnym, oblany krwawym potem, udręczony i pogodzony z wolą Boga, co więcej: wzywający kielicha męki, Jezus mógł nie tylko uratować siebie, ale i uratować wiarę swoich uczniów. Kiedy zapytał: „Kogo szukacie”, a ci, co przyszli Go arestować, odpowiedzieli: „Jezusa Nazareńskiego”, na słowa: „Ja nim jestem” — powiało grozą. Była to teofania. W Starym Testamencie tak właśnie rzucał ludzi na ziemię objawiający się Bóg. Jezus mógł przejść obok nich, nawet po nich — i odejść swobodnie. Co więcej, wiadomość o takim obrocie sprawy przekonałaby do Niego tłumy zebrane na święto. A jednak Jezus pozostał w ogrójcu i odtąd bez reszty wszedł w rolę oskarżonego i aresztanta, prosząc tylko, by pozwolono odejść Jego uczniom, skoro Jego, tylko Jego szukali wysłannicy najwyższych kapłanów.

Wszystkie etapy męki duchowej i fizycznej wreszcie dobiegają kresu. Zdradzony został przez jednego z uczniów, drugi wyparł się wszelkiej z Nim znajomości. Fałszywe oskarżenia, prowokacje, szyderstwa, bezsilne współczucie Piłata, który niczego dlań nie chciał narazić... wreszcie krzyż. *Vexilla regis prodeunt*: „Wznoszą się sztandary króla”. Jeszcze na sarkofagach starochrześcijańskich ten krzyż jest sztandarem, emblematem, niesie się go jak w procesji. Nie można było tego inaczej pokazać, przecież w dalszym ciągu na takiej szubienicy umierali przestępcy i niewolnicy. Wybrał sobie ten rodzaj śmierci, bo już nie było nic bardziej upokarzającego. W Księdze Powtórzonego Prawa znalazło się zdanie: „Przeklęty, który wisi na drzewie” (21, 23).

Zebrała się pod krzyżem garstka osób życzliwych. Właściwie życzliwi byli i ci, co podawali Mu wino zmieszane z mirrą, które miało odurzać i choć trochę znieczulić, ale nie chciał pić. Życzliwi byli nawet ci, co wołali, żeby zstąpił z krzyża, obiecując, że wtedy w Niego uwierzą. To była właściwie najsensowniejsza rada, jaką Mu można było dać. Możemy też być pewni, że ci ludzie

dotrzymaliby słowa. Gdyby skazaniec oderwał się od krzyża i sam z niego zszedł, nie tylko ocaliłby siebie, ale spowodowałby całkowitą odmianę sytuacji. Wobec takiego cudu uwierzyliby w Niego wszyscy: sterroryzowani przyjaciele, którzy pouciekali, najzawziętsi wrogowie, którzy zjawili się gremialnie pod krzyżem. Ale nie zgodził się na to. Pozostał przybity i bezsilny, wołając do Boga, że Go opuścił. To potworne, gdy uświadomić sobie, ilu Jego wyznawców miało umierać wzniośle, mówiąc wielkie i piękne słowa. A tu żadnego blasku. Odór potu i krwi, duszenie się, rżenie, charkot. Za jaką profanację uznano wynurzenia lekarza Piusa XII po śmierci tego papieża. *Hanno venduto l'agonia del Papa* — pamiętam taki tytuł w jednym z rzymskich dzienników: sprzedano agonię papieża. Jak to dobrze, że ewangeliści ofiarowują nam nieustannie agonię Jezusa, ten straszliwy ciężar, który każdy z nas musi wziąć na plecy i nieść ze sobą i o którym nie wolno zapomnieć.

Jezus pozostał przybity do krzyża, dopóki nie skonał, i tak musi trwać w świadomości Kościoła. Nie ma Chrystusa w oderwaniu od krzyża; nawet w dniu Sądu, już w chwale, pojawi się z krzyżem. Paweł z Tarsu napisze: „Postanowiłem (...) będąc wśród was, nie znać niczego więcej, jak tylko Jezusa Chrystusa, i to ukrzyżowanego. I stanąłem przed wami w słabości i bojaźni i z wielkim drżeniem” (1 Kor 2, 2-3). Każde chrześcijaństwo „zgodne z rozumem” i „zgodne z naturą”, bezbłędne pod względem taktycznym, rozsądne co się zowie, nie wymagające zbyt wiele, będzie musiało potykać się o zeszywniałe zwłoki Skazańca z Golgoty po wszystkie czasy. Tego zgorszenia, jakim jest krzyż, nie da się usunąć, nie można tu niczego inteligentnie zagadać, zaklajstrować, zapewnić, że nic nie będzie bolało.

Nie ciszą jak obłok miękką,
Nie chłodem, nie tkliwą ręką,
Ale mieczem, ale ogniem —

Bez orszaku, zagniewany,
Ale smutny i splakany
Przystąpiłeś do mnie.

Bez litości — miłosierny,
Kochający i niewierny,
Jak ziemia w grobie —
Moje ziemie nieorane,
Moje ciało zbuntowane
Upatrzyłeś sobie.

Nie w spokoju, jak owoc żrałym,
Nie w cieniu drzewa omdlałym —
Ale w ogniu i w lamencie
Biorę w piersi twoje ciosy,
Ostrza błyszczące jak rosy
I twoje objęcie.

(Jerzy Liebert, *Aniol żalu*)

Jezus ukrzyżowany. Nie można Go oderwać od krzyża i nie wolno chrześcijaństwa traktować jak system, program, doktrynę, ideologię czy *message* rozważany w oderwaniu od osoby Jezusa ukrzyżowanego. Z wielką jasnością pisał o tym Guardini w swoim *Sinn der Kirche (Sens Kościoła)*: „W działaniu chrześcijańskim na miejscu ogólnej normy znajduje się historyczna postać Jezusa”. To samo właściwie, tylko namiętniej, na miarę swojej udręczonej duszy, napisał Dostojewski, którym zresztą Guardini się zachwycił: „Nie ma nic piękniejszego, nic głębszego, nic bardziej miłego, nic rozsądniejszego, bardziej odważnego i bardziej doskonałego niż Chrystus. I nie tylko nie ma nic takiego, ale nic takiego co może istnieć. Mówię to sobie z zazdrosną miłością. A co więcej, gdyby mi ktoś dowiódł, że Chrystus jest poza prawdą, i gdyby rzeczywiście prawda była poza Chrystusem, miałbym ochotę pozostać raczej z Chrystusem niż z taką prawdą”.

„Być z Bogiem w Jego bezsilności i cierpieniu” — tym zdaniem Bonhoeffera można by streścić to, co znaczyło i znaczy być „ucniem tego człowieka”, wyznawcą Jezusa. Znaczyło to bowiem i znaczy wejść za Jezusem w strefę słabości, która nie przestaje gorszyć świata. Trzeba decydować się na to, by — jak powiedział Apostoł — „wyjść za Nim poza miasto”, gdzie On został umęczony, zostać wyrzutkiem tak jak On, „niosąc na sobie Jego zelżywość”, hańbę, wstyd. Taki jest sens słowa *onejdisimōs*, które znajduje się w greckim oryginale.

Kościół, który rodzi się i rozwija dzięki Słowu Bożemu, wie że zbawienie świata uzależnione zostało od „głupoty przepowiadania” (1 Kor 1, 21). Głupota ta jest sprawą nie tylko formy, ale i treści: w jej centrum znajduje się *logos tou staurou* — nauka o krzyżu: „My głosimy Chrystusa ukrzyżowanego, który jest zgorszeniem dla Żydów, a głupstwem dla pogan” — pisze św. Paweł (1 Kor 1, 22). A forma? Sama forma przekazu ustnego wówczas, później spisane-go... Samo posługiwanie się słowem, kruchym, bezbronnym, podatnym na wszelkiego rodzaju deformacje. W dodatku nie głosili go retorzy, umiejący mówić do ludzi zgodnie z kanonami sztuki krasomówczej, a i dziś — lepiej i plastyczniej posługuje się słowem aktor czy spiker radiowy niż kaznodzieja, który nieraz wkłada sporo wysiłku w to, by jakoś zasłonić fakt, że chrześcijaństwo wymaga wzięcia na siebie krzyża i pójścia za Chrystusem t a k ż e cierpiącym. Jak starannie ukazuje się rozsądek bycia chrześcijaninem, uzasadnia wszystko higieną, przyzwoitością i porządkiem społecznym. Te zasługi, te żalotne sukcesy godne policji obyczajowej, przyznają zresztą Kościołowi nawet najbardziej mu niechętni. Na tej zasadzie pozwoliliby mu oni funkcjonować, dopóki nie wymrą ciemni ludzie, których można jeszcze straszyć diabłami i piekłem.

A same sakramenty, czy to nie żenujące? W dzisiejszym skomplikowanym świecie te najprostrze rzeczy: woda, chleb, wino, jakieś oleje? Jest się czym krępować, nieprawdaż? To jest policzek dla naszej intelektualnej pychy spotykać łaskę Boga, związaną z tak niewyrafinowanymi środkami.

Tak jak Jezus, Kościół stanowi „kamień obrazu” i „skalę zgorszenia” (Rz 9, 32; 1 P 2, 6 nn).

Wielki Piątek: czytania, pasja według św. Jana, modlitwy za cały świat wedle prastarego zwyczaju gminy rzymskiej. Obnażenie i adoracja krzyża: tu jeszcze święty dramat zachował swoje prawa. Ten gest ma odtworzyć moment, gdy nad głowami zbiegowiska, na miejscu zwanym Czaszką, ukazało się nagie ciało Ukrzyżowanego.

Ma rację Pascal, po stokroć, gdy pisze: „Znamy Boga tylko przez Chrystusa, ale i siebie samych poznajemy tylko dzięki Niemu. Jedynie przez Jezusa poznajemy życie i śmierć”. Poznajemy, że będziemy umierali nadzy i ukrzyżowani, unieruchomieni i bezbronni.

Wszyscy nadzy są w śmierci.
Złoto rozsypało się u ich stóp,
monety potoczyły się na wszystkie strony
w pospiesznej ruinie śmierci.
Domy zachwiały się i zwały
W przepaść i na wszystkie strony świata.
Wiatr porwał ubrania jak chmurę albo żagle.

(Wiersz Artura Lundkwista, przeł. Zygmunt Łanowski)

Krzyż — drzewo śmierci i życia. Bo przecież dopiero śmierć wyzwala. Ona otwiera nasz czas na wieczność, jak na ogromny zielony krajobraz. Średniowiecze bardzo kochało krucyfiksy mistyczne, takie, gdzie krzyż był drzewem o dwóch rozwidlonych gałęziach, wypuszczających liście. Pewnie dlatego tak piękny i prawdziwy jest krzyż przydrożny, gdy stoi pośrodku drzew. Zimą wyglądają one tak samo jak belki, dawno wyschnięte, które zbito na krzyż dawno temu. Na wiosnę zaczynają zielenić się, kwitnąć i krzyż wydaje się jedyny z nich, żywym i pełnym soków.

Na witrażu w Plateau d'Assy, który miał być poświęcony męce Pańskiej, Rouault umieścił napis: „On był udreżony i uciśniony”. I wymalował bukiet wspaniałych, bujnych kwiatów i owoców.

Popatrzeć tak na swoje cierpienia i własne umieranie. Choćby tak, jak Wyspiański:

Niechże mi rano słońce świeci,
niech świeci jasno, mocno grzeje.
Nad grób niech moje przyjdą dzieci
i niech się jedno z nich zaśmieje.

Liturgia Wielkiej Soboty rozpoczyna się wieczorem poświęceniem ognia. Bardziej to przekonywujące niż dawniej, gdy ten obrzęd odbywał się rano i tyle było słońca i światła. Takie przynajmniej są w moich wspomnieniach dziecięcych Wielkie Soboty. Ministranci albo kościelny przynosili cierniowe gałęzie, nawet całe suche krzaki, które podpalone buchały z miejsca w niebo ogromnym i wesoło trzaskającym płomieniem, aż trzeba było się odsunąć od żaru drgającego w powietrzu. Węgielki z tego ognia wkładało się do kadzielnicy i wtedy dym zaczynał pachnieć wschodnio i egzotycznie. Od tego ognia zapalało się paschał.

„Niech światło Chrystusa chwalebnie zmartwychwstałego rozproszy ciemności serca i umysłu naszego”.

Dzisiaj myślę, że poświęcenie paschału jest jedną z form sakramentalizacji czasu. Celebrans żłobi rylcem na woskowej powierzchni krzyż, nad jego górnym ramieniem grecką literę Λ znamionującą początek, pod dolnym Ω , znamionującą kres. Chrystus powiedział o sobie: „Jam Alfa i Omega, Początek i Koniec” (Ap 22, 13). Następnie w ramiona krzyża wpisuje cztery cyfry bieżącego roku. Pewnie w tym jest zawarta tajemnica chrześcijańskiego pojmowania czasu, świadomość, że krzyż Chrystusa stanowi centrum czasu i przestrzeni.

W tamtych dziecinnych latach przed drzwiami kościoła zostawały tylko niewielkie zgliszcza, jak po jesiennym ognisku. Ale nic się nie marnowało: do święconej wody, której w wesołym rozgardiaszu nabierało się do butelek wśród chlupotów w doszczętnie zalanej kruchcie, wrzucało się parę węgielków. Nie wiedzieć czemu, wszystko

to trzeba było robić niesłuchanie sprawnie, żeby wyprzedzić innych. Zdarzało się przy tym, że ktoś popchnięty wpadał do balii i wtedy radość małych chrześcijan osiągała szczyt.

Zapomniałem już o tym wesołym krzaku, płonącym rażno w chłodny poranek okupacyjnej wiosny, przed moimi oczarowanymi oczami. I oto dziś, o świcie, w poranek wielkanocny 1971, odsłoniwszy okno, widzę przed sobą w ogrodzie jeszcze suchy i bezlistny wielki krzew jaśminu, oświetlony niezwykajnie niskimi, podłużnymi promieniami wschodzącego słońca. Wszystkie gałązki są różowe i złote. Jedyne ciemne punkty to ćwierkające wróble. I niebo jest mocno niebieskie, niewyblakłe, jakie bywa tylko we wspomnieniach.

W noc wielkosobotnią obrzędowość ludowa podejmowała jeden z wątków liturgii: ten związany z wodą. Być może zresztą, że owe obrzędy były jeszcze przedchrześcijańskie i niezwykłym trafem chrystianizm napotkał u nas zwyczaj wyjątkowo zbieżny z tym, co Kościół tego dnia czynił, święcąc wodę i udzielając chrztu.

Na Kaszubach do dzisiaj ta noc jest porą obrzędowych obmyć, dokonywanych wodą źródlaną, pomocnych na rany, obrzęki czy liszaje. Wielkanoc była przecież porą wielkiego mycia się. Zimą o wodę było trudniej, a i samo mycie — w przepelnionej chacie — było rzeczą krępującą.

Wodę zawsze zresztą uważano tutaj za rzecz świętą. W odczuciu ludu kaszubskiego zanieczyszczanie wody w czasie kąpieli w rzece lub jeziorze przez oddawanie moczu lub spluwanie było grzechem, nawet ciężkim.

A dziś woda, jedno z najpiękniejszych dzieł Boga, który z niej wyprowadził życie, jakże została przez człowieka sponiewierana. Źródło życia, dające jak nic innego możliwość odrodzenia się ze zmęczenia, przysparzające tyle radości naszym krótkim latom, zostało zamienione — jak w apokaliptycznym opisie — w truciznę. Mieszkając nad Wierzycą, jedną z rzek mojej młodości, nie mogę czasami wieczorem otworzyć okna, tak cuchnie chemikaliami woda zatruta przez fabrykę farmaceutyczną. Jedna trzecia naszych wód zamieniona jest w ścieki. Gdy się o tym pomyśli, ciśnie się pod pióro

słowo nieoczekiwane pewnie i zaskakujące dla kapitanów przemysłu: profanacja.

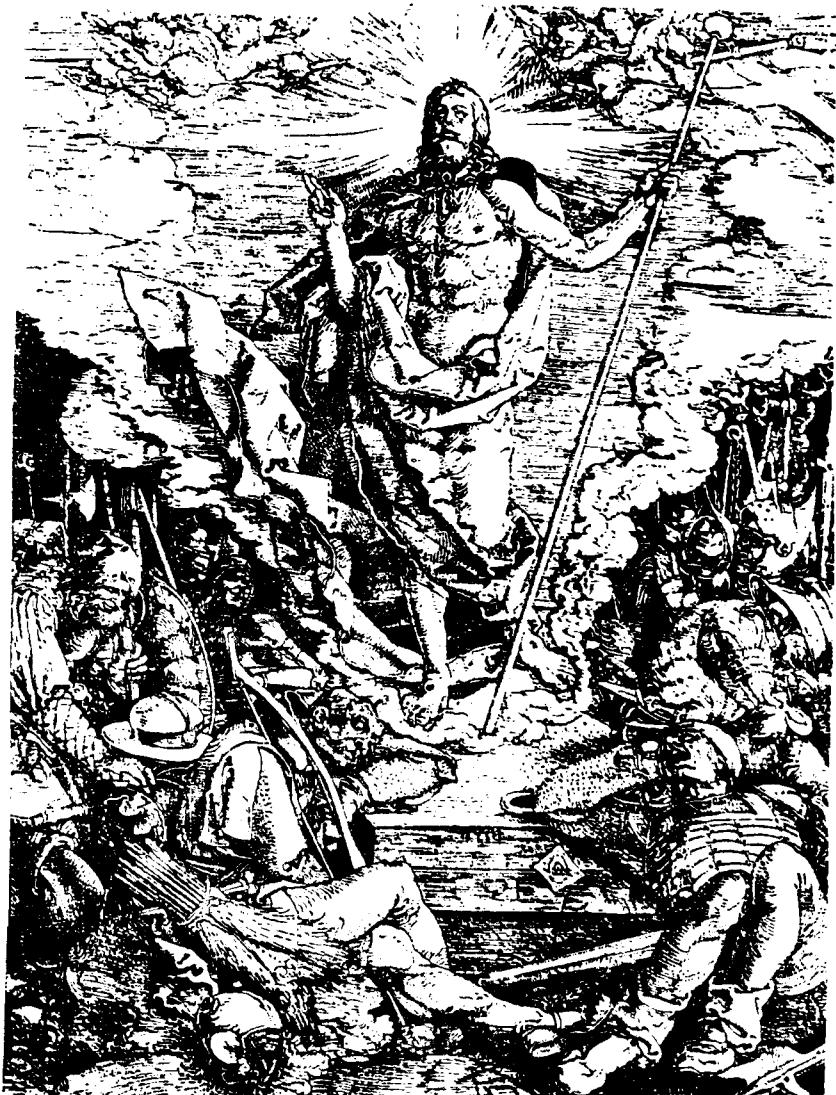
„Duch Twój, o Boże — śpiewamy w prefacji na poświęcenie wody — unosił się nad wodami w samym zaraniu świata, aby już wtedy żywioł wody otrzymał początek mocy uświęcania. Boże, Ty obmywając wodą zbrodnie występnego świata, uczyniłeś potop obrazem mającego nadejść odrodzenia przez chrzest, ten sam bowiem żywioł wody w tajemniczy sposób kładzie kres występkom i stanowi początek cnót”. Woda zostaje tu nazwana płodną, życiodajną, odradzającą falą, oczyszczającą, zbawienną kąpielą i opowiedziany zostaje w poetyckiej formie jej udział w historii zbawienia człowieka przez Boga, „który na początku oddzielił ją słowem od ziemi i którego Duch nad nią się unosił”, który kazał jej spływać czterema rzekami z rajskiego źródła, na puszczy gorzką zmienił w słodką, a przez Mojżesza wyprowadził z litej skały. Później jest mowa o Panu Jezusie, co przemienił ją w wino w Kanie, chodził po falach jeziora Genezaret i został ochrzczony w Jordanie. Przypomnienie, że z przebitego boku Zbawiciela wypłynęła krew i woda, osadza te teksty w sytuacji liturgicznej, a to, że chrzest odbywa się z nakazu Jezusa przy pomocy wody, uprzytamnia, co w tym dniu czyni Kościół lub co nakazuje nam przeżywać na nowo.

Dziś, 11 kwietnia 1971, gdy odprawiałem rezurekcję i mszę świętą wielkanocną w Jabłowie, w wiejskim kościele na Kociewiu, na wzgórzu nad jeziorem prześwitującym wśród czarnych jeszcze gałęzi, przyszło mi na myśl i powiedziałem ludziom, że udzielając chrztu dzieciom, Kościół postępuje jak rodzice dający szczepić swoje dzieci przeciwko różnym chorobom. Człowiek niecywilizowany, na wieść, że tym dzieciom zostają zaszczipione zarazki groźnych, śmiertelnych chorób, byłby przerażony i uznałby to za zbrodnię lub szaleństwo.

Chrzest wszczepia nas w śmierć Jezusa. Odprawiając mszę za zmarłych, wolno dodać w drugiej modlitwie eucharystycznej zdanie: „Spraw, aby ten, który przez chrzest został włączony w śmierć Twojego Syna, miał również udział w Jego zmartwychwstaniu”. W s z c z e p i e n i w Chrystusa, w zaraniu życia zostajemy zarażeni śmiercią już przez Niego przezwyciężoną. Od tej chwili możemy już tylko zmartwychwstawać.

CZAS PRZEJŚCIA

Nie lękajcie się!
Szukacie Jezusa
Nazareńskiego,
ukrzyżowanego;
powstał, nie ma Go tu.
Oto miejsce,
gdzie Go złożono



Ta noc nie jest świętem samego Chrystusa. Tej nocy sprawa Jego śmierci i Jego życia była już nieodwołalnie związana ze sprawą życia i śmierci każdego człowieka. „Naszą historię — mówi Karl Barth w kazaniu wielkanocnym, wygłoszonym w roku 1957 w bazylijskim więzieniu — chciał uczynić swoją historią, ponieważ nasz grzech wziął na siebie, niósł go i ofiarował samego siebie, aby zapłatę za grzech: śmierć — za nas wziąć na siebie... Śmierć spotkała Go zamiast nas. To «nie», które w grozie wisi nad nami, dotknęło Go i pokonało,

Jego jedyne, w straszliwy sposób. Jego, który nie zasłużył na śmierć, śmierć pokonała i wykonała się na Nim aż do końca”.

Niepojęta zamiana, jakiej dokonał Chrystus, zamiana swojego losu na nasz los nie okazała się zamianą na niby: niewiele jest śmierci ludzkich, które byłyby straszniejsze od Jego śmierci. Jego grób przywalony ciężkim kamieniem wyglądał tak samo jak każdy ludzki grób. Ma rację Karl Barth: „Historia Wielkanocy zaczęła się źle”. I tylko dlatego, że ta zamiana na losy została doprowadzona do końca, ta noc nie jest nocą największej ludzkiej żałoby.

Zaczynało się zmierzchać, gdy w marcu 1962 roku, idąc spieszną procesją, dochodziliśmy do bazyliki Grobu Pańskiego. W sklepikach, przy wąskich, szarych uliczkach, zapalały się światła. W mroku ginęła okaleczona architektura bazyliki. Wszystko było jak w książkach, także strażnicy muzułmańscy wewnątrz kościoła, przy wejściu, na wysłanym dywanami legowisku.

Kaplica kryjąca grób, biała, w bardzo złym guście, podobna do mauzoleum, obwieszona oliwnymi lampami, jaśniała w ciemności. Tylko chwilę można było spędzić w samym grobie, żeby ucałować płyty pachnące balsamem, kryjące kamienną ławę, na której w ciągu niepełnych trzech dni spoczywało ciało Jezusa.

Kiedy następnego dnia, obudzony przed świtem śpiewną recytacją muezzina, przygotowywałem się do mszy świętej, przyszedł mi na myśl słowa Pascala:

„Chrystus był na krzyżu zmarły, ale widzialny.

„W grobie jest zmarły i ukryty.

„Chrystus pogrzebany jest przez samych świętych.

„Chrystus nie uczynił w grobie żadnych cudów.

„Jedynie święci wchodzą tam.

„Tam, a nie na krzyżu, Chrystus czerpie nowe życie.

„Jest to ostatnia tajemnica Męki i Odkupienia.

„Chrystus uczy żywy, umarły, pogrzebiony, zmartwychwstały.

„Chrystus nie miał gdzie spocząć na ziemi jak tylko w grobie.

„Nieprzyjaciele przestali Go dręczyć dopiero w grobie”.

Mszę świętą odprawiałem w przedsionku grobu, w kaplicy Anioła, tam gdzie trzy Marie „wszedłszy do grobowca ujrzały młodzieńca w białej szacie siedzącego po prawej stronie”. Czytając Ewangelię powtarzałem słowa, które wypowiedziane zostały tutaj po raz pierwszy blisko dwa tysiące lat temu: „Nie bójcie się! Szukacie Jezusa Nazareńskiego, ukrzyżowanego. Powstał z martwych, nie ma Go tu! Patrzcie, oto miejsce, gdzie Go złożono”.

Wszędzie, gdzie pielgrzymuje się do jakiegoś grobu, robi się to, by oddać cześć spoczywającym w nim zwłokom. Odwiedzamy groby świętych, bohaterów, myślicieli, artystów, polityków, wojowników. Tylko tu, wyłącznie tutaj ciągną ludzie z całego świata, żeby „zobaczyć pusty grób”. Każdy może wejść i przekonać się, jak Jan i Piotr w tamtą niedzielę, że nie ma w nim nikogo, stwierdzić pustkę, bez której wiara nasza byłaby niepełna.

„Nie bójcie się” — rzekł anioł do niewiast, przestraszonych otwarciem grobu i pełnym blaskiem widzeniem. Dla nas mają jednak te słowa inny sens. Wypowiedziane w grobie, siedlisku śmierci, rozładowują największą z naszych trwóg.

Ale tu, przy tym grobie, nie potrzeba żadnej pociechy. Przecież jest to grób pusty, nie kryjący trupa, rozkładu, nie przypominający o śmierci, j e d y n y n a ś w i e c i e g r ó b , k t ó r y n i e b u d z i l ę k u.

Tutaj prowadziły wszystkie drogi Jezusa: od miękkiej, zielonej Galilei po dramatyczną, fioletową Judeę - i ostatnia, tak krótka, że aż się wierzyć nie chce, z niewielkiego wzniesienia Golgoty do tego grobu.

Tutaj, od wieków, trwa wyścig Jego wyznawców. „Zerwał się tedy Piotr wraz z owym drugim uczniem i przybyli do grobu. Biegli obaj razem; lecz ów drugi uczeń wyprzedził Piotra i pierwszy przybył do grobu. Schyliwszy się ujrzał opaski na ziemi,

ale nie wszedł. Teraz nadszedł także Szymon Piotr, który biegł za nim, wszedł do grobowca i ujrzał opaski na ziemi, a chustę, która była na głowie Jezusa, nie leżącą między opaskami, lecz zwiniętą oddzielnie na osobnym miejscu. Wtedy wszedł także ów drugi uczeń, który przybiegł pierwszy do grobowca. Spojrzał i uwierzył...”

Od tamtego poranka wszystkimi drogami świata dążyli tutaj Jego wyznawcy. W bezpieczeństwie i blasku, jak cesarzowa Helena w roku 326, czy Eudoksja w 438. Z mieczem i okrzykiem: „Niech Bóg wspomaga Grób święty”, jak krzyżowcy, którzy przyszedli tutaj w roku 1099. „Kiedy usłyszeli — pisze kronikarz — to słowo: Jerozolima, nie byli w stanie wstrzymać łez i rzucając się na kolana dziękowali Bogu, że pozwolił im osiągnąć cel ich pielgrzymowania: dotrzeć do miasta świętego, gdzie Pan nasz zechciał zbawić świat”. W tysiącnych niebezpieczeństwach, upokorzeniach i prześladowani, jak anonimowe rzesze pielgrzymów wszystkich czasów.

Miliony ludzi modliły się i ginęły w walce o ten pusty grób w Jerozolimie, mieście świętym dla żydostwa, chrześcijaństwa i islamu. Kosztem ilu wyrzeczeń dążą tu po dziś dzień ludzie wszystkich ras i języków.

Wszyscy oni chcą czytać z tej ziemi historię, a znajdują więcej: żywe prawdy i źródła nadziei. U pustego grobu uczą się, że życie jest silniejsze niż śmierć, która tu, raz na zawsze, straciła ostateczny wymiar i sens definitywny. Idący w kierunku swojego grobu uprzymniają sobie, że ich grób będzie kiedyś równie pusty.

Gdy idziemy w procesji do Grobu, gdy odprawiamy drogę krzyżową, eskortowani przez torującego drogę funkcjonariusza jordańskiego w czerwonym fezie, patrzą na nas migdałowe i ciemne oczy arabskie... To my stanowimy tutaj osobliwość: to nie oni, to my jesteśmy egzotyczni w tym mieście tak bardzo naszym, które znamy wszyscy od dziecka.

Przephychamy się przez bazy, kłękamy wśród rozłożonych tkanin, naczyń i owoców przy zaciekawionych spojrzeniach sprzedawców i kupujących. Podczas gdy całujemy kamienie, życie

miasta, kolorowe i obce, toczy się swoim biegiem, drząc od melodii, w których jęk zastępuje słowa.

Sporo ludzi gromadzi się co piątek na podwórzu twierdzy Antonia, gdzie jest pierwsza stacja drogi krzyżowej. Prowadzi ją sędziwy franciszkanin, Kustosz Ziemi Świętej. Gdy uklęknęliśmy szerokim półkolem przy tej pierwszej stacji, z góry, z muru, rozległ się terkot kamer filmowych i trzask migawek. Widowisko się rozpoczęło. Punktualnie jak co tydzień, jak w każdy piątek. Jak w tamten piątek. „Staliśmy się widowiskiem dla świata, aniołów i ludzi”. Kim są ci filmujący turyści? Niekatolicy, niechrześcijanie? Może. Gdyby ich zapytać, odpowiedzieliby pewnie, że są po prostu d z i s i e j s i. Na pewno słyszeli o historii Jezusa, skoro tu przyjechali, zapewne wierzą w Niego — może równie silnie — jak w antybiotyki.

Ostatnia stacja jest u Grobu. Sześć wyznań chrześcijańskich odprawia tu swoje obrzędy: Grecy, Ormianie, katolicy, koptowie, Syro-Jakobici, Abisyńczycy. Do trzech pierwszych należy *condominium* najważniejszych części bazyliki.

Umieszczenie świecznika czy przesunięcie o centymetr jakiegoś obrazu narusza cudze prawa i jest początkiem wojny. Bazylika niszczyje w oczach, ale nie można dojść do porozumienia w sprawie jej konserwacji. Projekt — przedłożony przez Kustodię Ziemi Świętej i Delegaturę Apostolską — musiał upaść.

Ceremonia otwierania bazyliki jest symptomem sytuacji, jaka panuje wokół Grobu. Nie płaci się już za każdorazowe wejście, jak to było aż do końca panowania Ibrahima Paszy (1832), ale trzy główne wyznania muszą po dziś dzień składać opłatę muzułmanom. Bazylikę zamyka się od pół do jedenastej do pół do pierwszej w południe oraz na noc, ale można żądać otwarcia drzwi o każdej porze. Przedstawiciel wyznania, które żąda otwarcia bramy, puka do okienka umieszczonego w niej. Zakrystian grecki, który ma wyłącznie klucze od okienka, wzywa odźwiernych muzułmańskich i podaje im drabinkę potrzebną, żeby dotrzeć do zamka znajdującego się u góry. Trzy małe dzwonki umieszczone za bramą dają znak otwarcia: pierwsi dzwonią ci, którzy prosili o otwarcie bramy. Następnie dzwonią pozostali.

Pilnując swoich praw przedstawiciele wyznań nawet nocują w bazylice. Pomimo ustalonych godzin obrzędów dochodzi czasami do sporów, tym bardziej gorszących, że rozgrywających się właśnie tutaj. Często z okazji największych świąt zdarzają się najordynarniejsze awantury połączone z bójkami. Agencje prasowe roznoszą to po całym świecie. Jeśli ktoś o tym wszystkim nie czytał i nie wiedział, zauważy niejedno i dowie się na miejscu.

Cóż więc czeka na pielgrzymów, przychodzących do Grobu? Zgorszenie? A może wstrząsające przypomnienie, że świat nie jest chrześcijański i że chrześcijaństwo jest podzielone. Ta ziemia pozostaje piątą ewangelią nie tylko przez geografię i archeologię, ale i przez trwający w niej dramat i zgorszenie rozdartego chrześcijaństwa.

Gdyby ten grób nie był pusty, chrześcijaństwo nie miałoby sensu. „Gdyby Chrystus nie zmartwychwstał, daremna byłaby wiara nasza i próżne przepowiadanie”.

Wszystko sprzyściło się, żeby nie zmartwychwstał. Śmierci żadnego z Jego współczesnych nie opisano tak precyzyjnie. Żadnego nie mordowano tak starannie. Zachowano też wszystkie środki ostrożności i przedsięwzięto wszystko, żeby udaremnić narodziny legendy o zmartwychwstaniu. Stąd na placu pozostała tylko historia. Najpotężniejsze państwo świata, imperium rzymskie stanęło na straży tego grobu obłożonego urzędowymi pieczęciami. Stanęło na straży Jego śmierci i tym samym — zmartwychwstania.

Wielokrotnie usiłowano robić to samo z chrześcijaństwem. Ileż to razy różni ludzie ogłaszali się zwycięzcami *nomine christiano deleto*.

Ale grób nie jest niebezpieczeństwem dla chrześcijaństwa. Bramy piekła, to jest śmierci, nie zwyciężą go. Groźniejsze od usiłowań tych, którzy chcieliby je zamknąć w grobie, są zabiegi niektórych wyznawców, jacy usiłują je umieścić w relikwiarzu, uczynić przedmiotem czci, a nie sprawą życia. Królestwo Boże chce być w nas i z nami, w domu, przy pracy, w kinie, na ulicy — nie chce być wyzłacanym

kościelnym sprzętem. Nie chce zastygnąć w choćby najczcigodniejszej, ale niezwywej formie, stale wymyka się z ustalonego porządku rzeczy tego świata. Wymagające, niekonformistyczne — ojczyzna serc nie uspokojonych, ludzi nie potakujących — jest ono ciągle podobne do kwasu, który wzięwszy niewiasta, zaczęła z trzema miarami mąki. Z natury swojej jest życiem, fermentem, wzrostem, powołane zostało, by żyć z twarzą podaną naprzód.

Na drodze krzyżowej ludzie z całego świata. Tylko nie stąd, choć tutaj zaczęło się wszystko. Pielgrzymując wracamy do źródeł i początków. Oglądamy ziemię, skąd wyszło chrześcijaństwo, które bardziej jest u siebie w Polsce czy Irlandii niż tu, w ojczyźnie Jezusa.

Kościół wyrósł z tej ziemi, ale gdzie indziej krzewi się i rozrasta. Tu pozostał tylko ten Grób, jak pusta lupina. Niewiele. Tyle, co z ziarna, jeśli umrze.

W tę Wielką Noc, w pełnych przedwiosennego chłodu kościołach zabłyśka płomień paschału, bezbronny i samotny. Ale od niego zapłoną wnet setki i tysiące świec w rękach wiernych. Chrystus chciał, żeby świat zajął się płomieniem od ognia, który przyniósł na ziemię.

Światło: przewyciężenie lęku, radość. *Exsultet iam angelica turba coelorum.* „Raduj się, ziemio, opromieniona tak ogromnym blaskiem... Zdobny blaskiem takiej światłości, raduj się, Kościele święty, matko nasza! Ta zaś świątynia niech zabrmi potężnym głosem ludu!” — śpiewają tej nocy diakoni i kapłani Kościoła rzymskiego, a ich prawosławni bracia intonują podobną pieśń: „Anioł zwiastował wybranej przez Boga czystej Dziewicy: Ciesz się, wesel, Twój Syn zmartwychwstał. Wstał z grobu po trzech dniach. Ludzie, weselcie się! Światło światłości, nowa Jerozolimo, chwała Pańska świeci nad tobą!”

Exsultet, wielkanocne orędzie śpiewane ku czci światła, jest pochwałą nocy, „która zajaśniała jak dzień”. Jest to bowiem noc, która rozproszyła mroki, noc uwalniająca od ciemności. Melodia idzie w parze z pełną dynamiki i paradoksów treścią o „koniecznym grzechu Adama”, o „błogosławionej winie”. Ta noc nie jest jednak nocą przeciwieństw: jest nocą pojednania. Jest to bowiem „noc, w której łączą się sprawy niebieskie z ziemskimi, Boże z ludzkimi”. Tu pewnie leży tajemnica wielkanocnej radości. Zmartwychwstanie Chrystusa nie tylko przywróciło związek Jego duszy z Jego ciałem, ale przypieczętowało pojednanie Boga z człowiekiem, związało niebo z ziemią. Kościół nie tylko chwali jednym tchem noc i światło, ale poświęca równocześnie dwa najbardziej sprzeczne ze sobą żywioły: ogień i wodę.

Tej nocy kończy się wielka schizofrenia świata, przeciwieństwo natury i łaski, dualizm widzący w materii pierwiastek zła. W pierwszym wielkosobotnim czytaniu zawarta jest pochwała wszystkich rzeczy, które stwarzający je Bóg „widział, że były dobre”. W tę noc bliskości Boga, człowieka i świata liturgia staje się hymnem o ontycznej świętości stworzenia. Wizja „cudownie stworzonej i jeszcze cudowniej naprawionej natury”, unosząca się nad liturgią wigilii paschalnej, przywodzi z nieodpartą siłą na myśl koncepcję *Środowiska Bożego* Teilharda de Chardin z najbardziej charakterystycznym i najgłębszym jego przekonaniem, że „rozwój świata, a zwłaszcza świata ludzi, nie stanowi konkurencji dla Boga ani nie jest bezowocnym marnowaniem sił, które powinniśmy zwrócić ku Niemu. Im większy będzie stawał się człowiek, tym bardziej ludzkość będzie zjednoczona, świadoma swej siły, i im lepiej ją opanuje — tym piękniejszy będzie również cały świat stworzony, tym doskonalsza adoracja, tym prędzej Chrystus znajdzie (w wymiarze mistycznym) Ciało godne zmartwychwstania”.

Tej nocy Chrystus zatriumfował. Ale jaki był ten triumf? Jego świadkiem była tylko „ta noc, która jedynie była godna poznać czas i godzinę Zmartwychwstania”. A potem zjawiał się — tak zwykły, że Maria Magdalena wzięła Go za ogrodnika — swoim bliskim. Spotkania te nie tylko nie były triumfalne, ale bywały bardzo smutne. Szczególnie to na drodze do Emaus. Okazało się wtedy, że nic

nie zrozumieli z Jego nauki uczniowie, którzy w gruncie rzeczy oczekiwali od Niego polityki, nie religii, a których nauczaniu poświęcił trzy pracowite lata, ci „głupi i serca leniwego...” (Łk 24, 25).

A jednak do nich się zwrócił: do tych biedaków niepojętych, sterroryzowanych, zrozpaczonych. Nie pokazał się ani Piłatowi, ani Herodowi, ani wielkim kapłanom. Nie ujrzeli Go ich zausznicy, szpicle, fałszywi świadkowie, oprawcy. Któż inny odmówiłby sobie takiego triumfu, nasycenia oczu przerażeniem swoich wrogów? Ale oni byli już nieważni, to znaczy ich nienawiść była nieważna. Niewątpliwie czegoś się dowiedzieli. Przerazili się tą pogłoską, która obiegła miasto. Później jednak przeszli nad nią do porządku. Czuli się bezpieczni i zapewne sypiali spokojnie.

On tymczasem przychodził do biednych, osaczonych, szukających, smutnych, pełnych nieśmiałej czy rozgoryczonej nadziei. I tak miało pozostać, począwszy od tamtej nocy.

Świt się jeszcze ociąga, w ciasnym pokoiku
Ukrzyżowane cienie konają na tynku.

Jest to nocna Golgota, co w lustrze się mieni,
Na czarnym tle migocąc strugami czerwieni.
I dym u lampy jest jak wypłowiała szmata,
Co skręcona dokoła Twych bioder się spleta.

A górą blada lampa, co nad stołem zwisa,
Jest jak twarz Twoja smutna, martwa i bezkrwista.

Niezwykłe jakieś błyski na szybach pokutują...
Lękam się, smucę się, Panie, że jest mi tak smutno.

Dwudziestopięcioletni poeta chodzi w pierwsze święto Wielkiej-nocy 1912 roku po Nowym Jorku, bezrobotny, zgorączkowany, samotny. W prezbiteriańskim kościele wysłuchuje oratorium. Przypomina mu to rodzinne Neuchâtel. Przez całą następną noc pisze

„ociężałymi dystychami” poemat zatytułowany *Wielkanoc w Nowym Jorku*. To Cendrars. O ileż bliższy sercu niż jego starszy kuzyn Faust, w taką samą noc Zmartwychwstania klóćący się z Bogiem o problemy gnozeologiczne. Nie chce się wierzyć, że to już pół wieku dzieli nas od powstania tych strof:

Panie, wracam zmęczony, sam i bardzo mroczny,
Mój pokoik jest goły jak grób.

Panie, jestem zupełnie sam i mam gorączkę,
Moje łóżko jest zimne jak trumna.

Panie, zamykam oczy i dzwonię zębami.
Jestem tu zbyt samotny. Marznę. Wołam Ciebie...

[...]

Myślę, Panie, o moich godzinach nieszczęśliwych,

Myślę, Panie, o moich godzinach zalatanych...

Nie myślę już o Tobie. Nie myślę już o Tobie.

Ale myślał aż do bólu przez cały ten długi poemat. Myślał później:

Chrystusie
Oto już rok jak nie myślałem o Tobie
Od czasu jak napisałem swój przedostatni poemat
„Wielkanoc”
Moje życie od tego czasu bardzo się zmieniło
Ale wciąż jestem taki sam jak byłem

Na dnie takich wierszy, jakakolwiek byłaby ich forma, chyba nie leży retoryka.

„Czym mogła urzec słuchaczy *Wielkanoc* Cendrarsa? — zapytuje doskonały jego tłumacz, Adam Ważyk — Audytorium złożone z ludzi usposobionych laicko przyjmuje uczucia religijne w poezji,

jeśli równocześnie spełniają one jakąś bliską mu funkcję świecką. U Cendrarsa dominuje motyw solidarności ze światem maluczkich, ubogich, sponiewieranych”.

W kościele spokojni, odświętni, syci ludzie słuchali muzyki. Jeśli nawet byli tam „zgromadzeni w imię Jezusa”, poeta nie odczuł Jego obecności. Cierpiący i Zmartwychwstający Chrystus, z którego męką utożsamiało się w jego poetyckiej wizji własne życie, był dla niego Kimś Spotkanym na Ulicy:

Dic nobis, Maria, quid vidisti in via?

Tego dnia Chrystus nie był dla Cendrarsa Kimś z Kościoła czy z Muzeum, ale Kimś z Życia:

Znam wszystkich Chrystusów, co po muzeach wiszą,
Ale w ten wieczór, Panie, idziesz przy mnie ulicą.

A więc Chrystus bezdomny „do wrót klasztornych potężnie łomocze”, stoi za ścianą smutny i milczący, „czeka pod drzwiami, czeka na zaproszenie do izby!”

Jakież to świeckie — można by tu wykrzyknąć — jak prawidłowe socjologicznie! Widać tu przecież wyraźnie, jak motyw religijny staje się tylko pretekstem do wyrażenia społecznego sprzeciwu i buntu!

Nie sposób nie solidaryzować się z postawą sprzeciwu wobec wszelkiego wydziedziczenia i pomniejszenia człowieka, tyle że... tylko że jej świeckość jest — historycznie rzecz biorąc — na pewno z Ewangelii. Tak było naprawdę. W Ewangelii i Dziejach Apostolskich Chrystus zmartwychwstały jest właśnie kimś na drodze, bezdomnym wędrowcem, przechodniem. U kresu owej nocy, w poranek zmartwychwstania anioł powiedział niewiastom, że „zdąży przed wami do Galilei” (Mt 28, 7). Dwaj uczniowie spotkali Go na drodze do Emaus jako kogoś, kto „przybliżywszy się szedł z nimi”, a gdy „przybliżyli się do miasteczka, do którego szli, [...] okazywał, jakoby dalej iść miał”. Gdy Go rozpoznali po łamaniu chleba, uprzytomnili sobie: „Czyż serce nasze nie pałało w nas, gdy mówił w drodze i Pisma nam wyjaśniał?” (Łk 24, 15. 28. 32).

I żeby nie aludować do postaw „otwartych” i „zamkniętych”, nie wspominajmy już o tym, że Zmartwychwstały chcąc dotrzeć do swoich uczniów zaryglowanych „z bojaźni przed Żydami” (J 20, 19), musiał przedostawać się do nich z zewnątrz, poprzez zamknięte drzwi.

Także wielkanocna wędrówka Cendrarsa nie była pozbawiona lęku:

Boję się cieni od fasad. Leżą jak wielkie kłody.
Boję się. Ktoś idzie za mną. Nie odwrócę głowy.

Coraz to bliżej słyszę kroki rozhukane.
Boję się. W głowie zamęt. Umyślnie przystanę.

Historia Wielkanocy zaczęła się źle i miała stanowczo niezbyt wesoły przebieg. Ci uczniowie „nie rozumieli bowiem jeszcze Pisma, że trzeba było, aby On powstał z martwych” (J 20, 9). Nie bez powodu pierwsze pytanie Chrystusa na drodze do Emaus brzmiało: „Cóż to są za rozmowy, które prowadzicie między sobą i jesteście smutni” (Łk 24, 17).

Byli smutni wówczas i dziś nie są weseli. Dlaczego? Warto po raz ostatni zajrzeć do *Wielkanocy* Cendrarsa:

Chciałem wejść, Panie, do pobliskiego kościoła.
Lecz nie ma, Panie, dzwonów, nie ma ich w tym mieście.

Myślę o zmlkłych dzwonach: gdzie są dawne dzwony?
Gdzie są litanie, gdzie słodkie antyfony?

Gdzie długie nabożeństwa i piękne kantyki?
Gdzie są liturgie, gdzie są muzyki?

Gdzie są dumni prałaci, gdzie są Twoje ksienie?
Gdzie biała alba, świętych sakralne odzienie?

Radość niebiańska w prochu się tarza,
Ogień mistyczne nie lśnią na witrażach.

Ależ tak! Rozpoznajemy znaną z autopsji naturę tego smutku, żalu za czasem utraconym, czujemy gorzkawy zapach więdnących kwiatów. Poezja ruin, poezja przemijania... Jakże piękna była ta religia, która umiera na naszych oczach. Chrystus był wspaniałym człowiekiem, chrześcijaństwo dało kulturze nieprzemijające wartości, ale jego pora minęła.

Nawet dla człowieka wierzącego myślenie o Chrystusie wyłącznie w kategoriach historycznych musi być źródłem głębokiego smutku. Każda godzina, każdy nowy dzień oddala nas od czasu, gdy On żył na ziemi.

„A wszedłszy do grobowca ujrzały młodzieńca siedzącego po prawej stronie, ubranego w szatę białą, i zdumiały się. Ale on rzekł im: Nie lękajcie się, szukacie Jezusa Nazareńskiego, ukrzyżowanego: powstał, nie masz Go tu, oto miejsce, gdzie Go złożono. Ale idźcie, powiedzcie uczniom Jego i Piotrowi, że was uprzedza do Galilei: tam Go ujrzycie, jako wam powiedział” (Mk 16, 5-7).

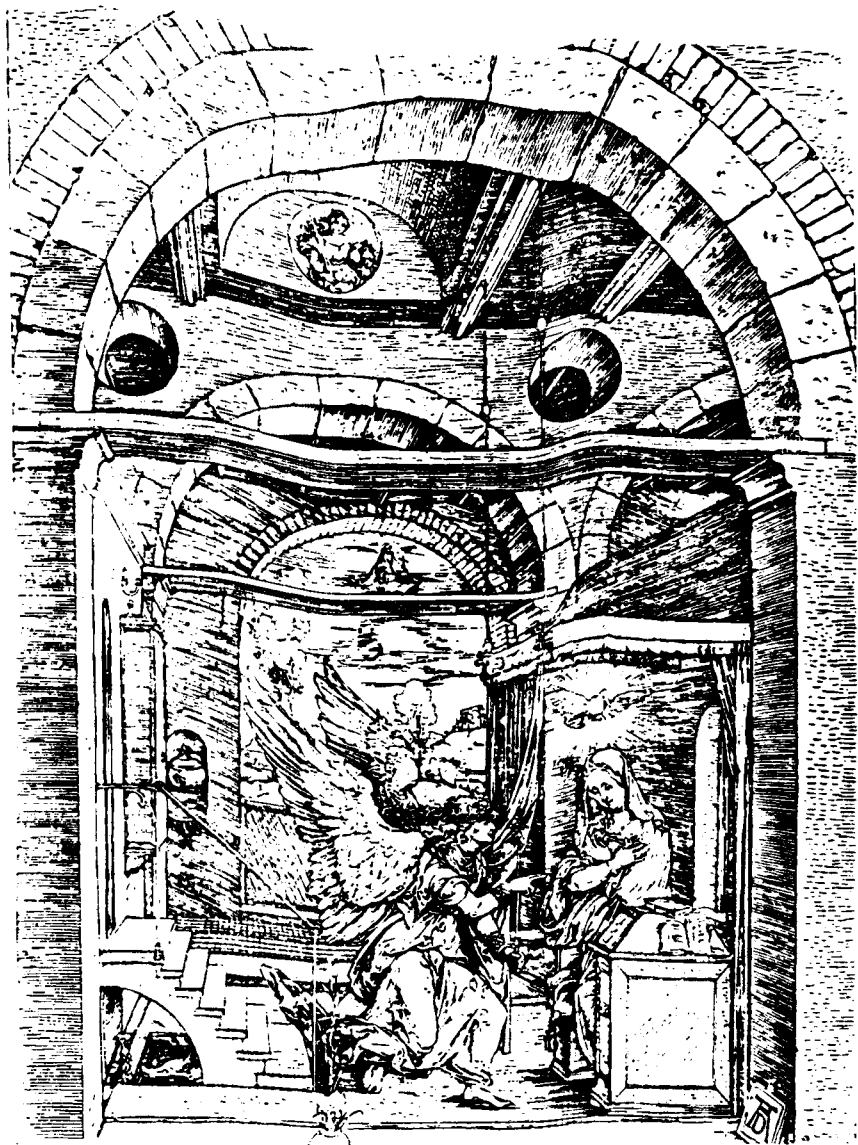
Ostatnie zdanie zawiera cały sens wielkanocnego zwiastowania. Chrystus nie jest w przeszłości, nie ma Go tu w grobie. On jest — mówi anioł — p r z e d w a m i. Nie oddalacie się od Niego, ale każdą godziną, każdym dniem zbliżacie. Jego mieszkaniem jest przyszłość. Tam Go ujrzycie. Nie wystarczy czekać. „W dwadzieścia zaledwie wieków po wniebowstąpieniu co uczyniliśmy z oczekiwania my, chrześcijanie, którzy po Izraelu odziedziczyliśmy obowiązek podtrzymywania na ziemi zawsze żywego płomienia tęsknot ludzkości... Nadal mówimy, że czuwamy w oczekiwaniu na Pana, lecz tak naprawdę, jeśli mamy być szczerzy, musimy wyznać, że n i e c z e k a m y j u ż n a n i c” — pisał Teilhard de Chardin. Nie wystarczy czekać, trzeba iść na spotkanie Chrystusa, naprzeciw Paruzji, nie uchylając się — żeby jeszcze raz zacytować autora *Środowiska Bożego* — „od uczestnictwa w dążeniach (w gruncie rzeczy natury religijnej), które sprawiają, że dzisiejsi ludzie tak bardzo odczuwają ogrom świata, wielkość ducha i świętą wartość wszelkiej nowej prawdy... Jeśli pragniemy ożywić w nas tęsknotę za Paruzją, pozwólmy jedynie, by w łączności z Chrystusem biło w nas serce Ziemi”.

Tej nocy, kiedy we wnętrzu Ziemi zaczęło znowu bić Jego serce, świat przestał być pusty i stary. Ziemia, odkąd On na niej umarł i w niej spoczął, stała się jeszcze bardziej wspólną Ziemią Boga i ludzi, ojczyzną życia.

Jak wtedy, tak i dziś trzeba tylko uwierzyć aniołowi mówiącemu: Nie smućcie się. On zmartwychwstał. Wyprzedza was, idzie przed wami. Ujrzycie Go.

CZAS PIEŚNI

Bo oto minęła już zima,
deszcz ustał i przeszedł,
na ziemi widać już kwiaty,
nadszedł czas pieśni...



Liturgiczna wiosna to czas wielkanocny. Dla ludzi żyjących w bliskim kontakcie z przyrodą i liturgią jest to pora najpiękniejsza. Wszystko wydaje się odrodzone: świat i człowiek.

Odnowione zostały przez misterium Przejścia wszystkie nadzieje. Dopiero po żałobie Wielkiego Piątku, po dniu, kiedy śmierć zagroziła Życiu, czujemy jak po groźnej chorobie, że warto żyć: wszystko zaczyna być intensywniejsze, pełniejsze i bujniejsze. Drzewo liturgii zieleni się i złości: co chwila zakwita na nim jakieś radosne święto,

a tymczasem maj i czerwiec, niczym dwaj chłopcy zakochani w wiosnie jak w tej samej dziewczynie, prześcigają się wdziękiem i urokiem. Czas liturgiczny, który w uznojonym fiolecie ciężko wstępował na górę Wielkanocy, teraz „biegnie przez góry, skacze po pagórkach”.

Nad światem brzmi *Pieśń nad pieśniami*:

Bo oto minęła już zima,
deszcz ustał i przeszedł,
Na ziemi widać już kwiaty,
nadszedł czas pieśni,
i głos synogarlicy już słysząc
w naszej krainie.
Drzewo figowe wydało zawiązki owoców
i krzewy winne kwitnące już pachną.
Powstań, przyjaciółko ma,
piękna ma, i pójdz!

(2, 11-13)

Alegoryczne tłumaczenia tego tekstu widziały w wiosnie starotestamentowy symbol nowego życia w odzyskanej na nowo Ziemi Obiecanej, bądź też obraz wiecznego życia w czasie ostatecznym. To Chrystus jest owym Umiłowanym, który

oto stoi za naszym murem,
patrzy przez okno,
zagląda przez kraty.

(2, 9)

Chce nas wywołać z ciemności i wyprowadzić na wiosenny przestwór, wyzwolić z beznadziejności grzechu, obdarzyć wolnością i radością. Oto chrześcijańska historia o Erosie i Psyche, która zresztą pojawiała się w katakumbach w antycznej i pogańskiej formie, przekazując nową treść opowieści o tajemniczym Miłośniku Duszy.

Renesans florencki uczynił wiosnę tłem bardzo wielu obrazów religijnych i świeckich. Ona właśnie miała mówić o o d r o - d z e n i u się nie tylko antyku, ale i ludzkości. W scenach Bożego Narodzenia i Epifanii kwiaty zwiastowały odrodzenie religijne

i nowe życie człowieka. Nawet tak świecki z pozoru, bo mitologiczny obraz Botticellego, jakim jest jego *Primavera*, posiada uroczystą powagę wizerunku sakralnego.

Tak było w epoce odrodzenia. A jednak i średniowiecze kochało i malowało kwiaty. Najwięcej ich chyba zakwitowało w mistycznych ogrodach Madonny. Nazywały się one *horti conclusi*. Każdy kwiat mistycznego ogrodu głosił pochwałę jakiejś cnoty, jakiegoś wzniesłego przymiotu Maryi. Nawet modlitwa do Niej wzięła nazwę od róż. Kwiaty, wiersze, obrazy, melodie — cała czułość geniuszu ludzkiego owinęła jak delikatny welon Jej postać.

Poezja tego kultu nie może być osądzona sprawiedliwie zimnym, doktrynerskim okiem. Nie ulega jednak wątpliwości, że Jej obecność w dziele zbawienia jest tyle znacząca, co dyskretna: „Oto ja służebnica Pańska”. Na tym polega prawdziwa wielkość.

Najściślejszy związek z Odkupicielem wysłużył Jej najwyższe wyróżnienia: „Jeżeli Kościół wywyższył Maryję — pisał Newman w *May Papers*, przeznaczonych na nabożeństwa majowe — (...) to miał na uwadze chwałę uświęconego człowieczeństwa Jej Syna. Jeżeli Maryja ogłoszona została niepokalaną, to obrazuje to doktrynę o Jej macierzyństwie. Jeżeli nazwano Ją Matką Bożą, to po to, aby przypominać Mu, że chociaż nie jest On widzialny, to jednak należy do nas, ponieważ jest rodzaju ludzkiego. Jeżeli przedstawia się Ją trzymającą Go w swoich ramionach, to dlatego, że nie chcemy pogodzić się z tym, aby przedmiot naszej miłości przestał być ludzki, ponieważ jest On także boski. Jeżeli jest Ona *Mater Dolorosa*, to dlatego, że stoi pod Jego krzyżem. Jeżeli jest Ona *Maria Desolata*, to dlatego, że na Jej kolanach spoczywa Jego martwe ciało. Jeżeli, wreszcie, jest Ona *Coronata*, to koronę na Jej głowę nałożyły Jego miłujące ręce”.

Bóg, który w Jej łonie przybrał sobie człowieczeństwo, uczynił z Niej przez łaskę, czyli przez miłość, najdoskonalszy obraz swoich zamiarów wobec zbawionej ludzkości; dlatego jest Ona „zwierciadłem sprawiedliwości”, wizerunkiem każdego wierzącego i całego Kościoła.

Średniowiecze francuskie swą potrzebę czci dla człowieczeństwa w najwyższym wymiarze odnosiło wprost do ludzkiej natury

Chrystusa, pobożność polska po dziś dzień przybliżyła sobie Jego wizję przez kult Maryi, z której Bóg-Zbawiciel wziął sobie ciało. Nie można ignorować tego rysu naszej duchowości, jeśli nie chcemy odciąć się od żywej autentycznej wspólnoty wiary. Piszę to pod wrażeniem zdań wypowiedzianych przez Newmana w wykładach *On Certain Difficulties felt by Anglicans in Submitting to the Catholic Church*: „Wolę angielskie nawyki wiary i pobożności niż obce... Naśladując obyczaje moich rodaków, okazuję mniej niezwykłości i stwarzam mniej zamieszania, niż gdybym popisywał się tym, co nowe i egzotyczne”.

Po święcie św. Józefa Robotnika obchodzimy 3 maja uroczystość Królowej Polski.

To o Niej pisał Lechoń w czasie wojny:

O Ty, której obraz widać w każdej polskiej chacie
I w kościele, i w sklepiku, i w pysznej komnacie,
W ręku tego, co umiera, nad kołyską dzieci,
I przed którą dniem i nocą wciąż się światło świeci.
Która perły masz od królów, złoto od rycerzy,
W którą wierzy nawet taki, który w nic nie wierzy...

Jasna Góra — niewielki pagórek, jedno z najwyższych miejsc Polski.

Sam obraz Matki Bożej i jego dzieje urastają do rangi symbolu. Jest to bowiem, jeśli idzie o typ ikonograficzny, bizantyjska Hodegitria. Nazwa ta pochodzi od kościoła w konstantynopolitańskiej dzielnicy *ton hodegon* = przewoźników, pilotów portowych czy przewodników. Hodegitria znaczy tyle co „wskazująca drogę”. Obraz częstochowski jest kopią oryginału, który został zniszczony przez Turków po zdobyciu Konstantynopola w 1453 roku.

Przywieziony w roku 1382 przez księcia Władysława opolskiego do Częstochowy, obraz zasłynął jako cel pielgrzymek, co potwierdza Długosz, który miał piętnaście lat, gdy w roku 1430 dokonano

napadu na Jasną Górę. Napastnicy „nie poprzestając na grabieży, przebili oblicze obrazu na wylot mieczem, a tablicę, na której był namalowany, połamali, tak iż się zdawało, że to nie Polacy a Czesi dopuścili się czynów tak straszliwych i zbrodniczych” — pisze ten kronikarz. Notuje on dalej, że Władysław Jagiełło i panowie polscy zamierzali już zbrojną akcją odwetową w stosunku do Czech, kiedy prawda wyszła na jaw: świętokradcami okazała się grupka szlachty polskiej marnotrawnej i zadłużonej, która w ten sposób spodziewała się podreperować swoje finanse. „Byli zaś tej zbrodni przywódcami — relacjonuje Długosz — Jakub Nadobny z Rogowa herbu Działosza, Jan Kuropatwa z Łańcuchowa herbu Śreniawa (...) oraz książę Fryderyk Rusin (Ostrogski)”. A więc nie cudzoziemcy lub innowiercy cięli dwukrotnie w twarz przyszłą Królową... Trudno było Polakom w to uwierzyć i dziś jeszcze legenda i poezja mijają się tutaj z prawdą:

I Tyś była też mieczami pogańskimi ranna

— pisze w cytowanym wierszu Lechoń, a kiedy zapytałem w Lizbonie oficera dawnego „Batorego”, dlaczego Madonna Częstochowska, umieszczona w ołtarzu okrętowym, ma szramy na twarzy, odpowiedział, że zrobili to... Turcy.

Wstrząs spowodowany świętokradztwem był olbrzymi. Zakonnicy zawieźli obraz nawet do Krakowa, by obejrzał go Jagiełło powracający z wojny w Prusach, w pierwszej połowie 1433 roku. Król powierzył odnowienie wizerunku swoim nadwornym malarzom ruskim, jednak dopiero malarzom cesarskim, którzy przybyli na dwór, udało się w sposób trwały odnowić obraz. Uczynili to malując twarz Madonny i Dzieciątka podług oryginału, lecz oczywiście w stylu zachodnioeuropejskim.

Jest więc obraz jasnogórski malowidłem wschodnim, bo jest bizantyjską Hodegitrią co do tematu, ale malarski, formalny jego kształt związany jest z kulturą zachodnioeuropejską...

Habent sua fata imagines. Myślę, że nieprzypadkowo otrzymaliśmy taką Królowę...

Ponadto: Hodegitria, „Wskazująca drogę” — jakaż inna Madonna mogłaby być patronką nas, tułaczy i wędrowców, których 25%

mieszka poza granicami kraju, nas, co wierzymy, że to Ona przywróci wygnańców na ojczyzny łono, jak modlił się Wielki Emigrant, który do dziś idzie ku Polsce z Placu de l'Alma, z pielgrzymim kijem w dłoni.

A że piszę to w roku 1971 i przymawiałem poetom, że się mylą (a mylą się, mylą: nawet kochany ksiądz Twardowski pisze o „cyprysowym drewnie”, bo tak chce legenda, a tymczasem obraz malowany jest na lipowym), chciałbym zanotować, że właśnie spełniła się jedna z przepowiedni Lechonia zawartych w tym wierszu:

Podniesiemy to, co legło w wojennej kurzawie,
Zbudujemy Zamek większy, piękniejszy w Warszawie...

— choć między Bogiem a prawdą wystarczy nam taki, jaki historycy sztuki i architekci zrekonstruują, bez powiększeń i upiększeń.

Wiele spraw związanych z kultem Królowej Polski posiada wymowę symboliczną. Kiedy w roku 1924 od Piusa XI otrzymaliśmy dwie msze „polskie” o Niej, na 3 maja i 26 sierpnia, to w pierwszym z tych dni, obchodzonym przez Drugą Rzeczpospolitą jako święto państwowe, z mocarstwowym zadęciem w galowym nastroju, Ewangelia mówiła o Matce stojącej pod krzyżem, jakby ewokując historię przeszłą i przyszłą:

O matko Polko, gdy u syna twego...

— gdy znowu 26 sierpnia uroczysty obchód opromieniał szczyt i wały jasnogórskie, gdy przypominano hetmańskie buławy, buńczuki i proporce, Ewangelia mówiła o małomiasteczkowym, prowincjonalnym weselu, na którym była też Matka Jezusowa.

Nasza ojczyzna parafiańszczyzna

— jak by powiedział Słonimski.

Na tym miejscu przecinają się różne linie, krzyżuje się patos z codziennością, cudowność i zwykłość. W wizerunku tym widzimy

jakiś znak nam dany. Moglibyśmy nie ufać naszej egzaltacji czy uczuciowości, ale człowiek trzeźwy i zimny, który nas nienawdził i który został przysłany przez Hitlera do okupowanej Polski celem ostatecznego zdławienia oporu, napisał w swoim *Dzienniku*: „Gdy już wszystkie światła zagasły dla Polski, była jeszcze Święta w Częstochowie i był Kościół”.

Patrzmy na Nią przez historię, ale przede wszystkim przez misterium Chrystusa i Kościoła, którego była przepowiednią i którego jest matką. Widzimy Ją także w tajemnicy człowieka — tej wiecznej i tej spełniającej się współcześnie. Widzimy w Niej człowieczeństwo w najpełniejszym kształcie, czcimy w Niej najpiękniejsze ludzkie cechy. Jedną z nich jest **w i e r n o ś ć**.

Była przecież całkowicie wolna, kiedy angażowała się w historię Boga i człowieka. Uczyniła to zupełnie świadomie. Świadczy o tym trzeźwe, realistyczne pytanie: „Jakże się to stanie, skoro męża nie znam?” Dzięki temu pytaniu stała się patronką wiary rozumnej, *fidei quaerentis intellectum*.

Zrezygnowała ze swojej wolności dokonując tego wyboru: „Otom ja służebnica Pańska, niech mi się stanie według słowa twego”. To „niech mi się stanie” oznaczało wiele: Betlejem, ofiarowanie w świątyni, ucieczkę do Egiptu, szukanie dwunastoletniego Jezusa, Nazaret, Kanę Galilejską, trzy lata trwogi o Niego, Kałwarię. Oznaczało wierność temu, co w tej chwili zaczynało się w Jej życiu.

Radość wypełniającą Jej serce, pod którym rozwijało się Życie, była od początku zagrożona. Podejrzenia Józefa („Józefie, synu Dawidów, nie bój się przyjąć Maryi, małżonki swojej”, Mt 1, 20), może gadania sąsiadek już na początku zapowiadały, jaka może być cena wierności Tajemnicy. Ale ani ta radość, ani smutki, ani niesłychane wybraństwo nie przeszkodziły Jej w podjęciu trudnej wędrówki z Nazaretu do Ain Karim, żeby odwiedzić Elżbietę. Nie zaniedbywała niczego.

Betlejem. Narodzenie. Radość na niebie i na ziemi. Ale realia były twarde: była bezdomna. Dla Niej i dla Dziecka nie było miejsca. I tak bezdomna pokazywała Jezusa aniołom, pasterzom i mędrcom ze Wschodu.

W dniu ofiarowania Symeon tulił Jej Dziecko do serca przepelnionego czułością, ale dla Niej miał tylko słowa groźnego proroctwa: „Oto Ten przeznaczony jest na upadek i na powstanie wielu w Izraelu, na znak, któremu sprzeciwiąc się będą. A duszę twoją własną przeniknie miecz...” (Łk 2, 34-35). Dowiedziała się, kim będzie dla ludzi Jej Syn i jaką cenę zapłaci za swoją wierność.

Ucieczka do Egiptu — oto czego mogła wymagać ta wierność: opuścić dom, krewnych, bliskich, uciekać daleko, przez pustynię, do pogan, do obcych, którzy przed wiekami prześladowali i więzili Jej naród. Musiała opuścić ojczyznę i iść do „ziemi egipskiej, domu niewoli”. Wierność zaczynała być dramatyczna.

Po niej przyszedł czas wierności powszedniej i zwykłej. Nazaret. Będąc Matką Boga, trzeba było być najzwyklejszą kobietą. Gotowanie, sprzątanie, szycie, pranie, noszenie wody, pieczenie chleba. Wierność pracy, niewdzięcznym, codziennym obowiązkom. Nie miała tronu. Tylko apokryfy opowiadają, że Jej pomagali aniołowie i co chwila działy się cuda. Ale byli przynajmniej wszyscy razem, jeszcze w trójkę, ta niezwykła, najzwyklejsza rodzina.

W noce ciepłe, czarne, nabijane blaszkami gwiazd,
byłeś czujny i cichy, ufny i lękliwy jak jedno z nas.

Rękę kładłeś Jej na sukni drobnej, szczupłej:

„Mamo, tam w ogródku coś tak stukło...”

„To nic, syneczku, to osiołek u żłobu!

To nic, to nic... To obok...”

Kładła policzek przy Twoim, głowa przy głowie,
jak u nas, jak z nami... każda matka tak robi!

Czy nie tak było w Nazaret? Powiedz!

(K. Iłakowiczówna, *Tak było w Nazaret*)

Ale to życie szczęśliwe, ciche, małomiasteczkowe miało się skończyć i Ona wiedziała, że to przyjdzie. Przypomniawszy Jej o tym Syn znaleziony w świątyni. Zdyszana od biegu, ze ściśniętym jeszcze sercem robiła Mu wyrzuty:

— Synu, czemuś to nam uczynił? Oto ojciec Twój i ja z bólem szukaliśmy Ciebie.

A On im odrzekł:

— Czemuż szukaliście mnie? Czyż nie wiedzieliście, że powinienem być w domu Ojca mego?

Lecz oni nie rozumieli, co im tymi słowy chciał powiedzieć” (Łk 2, 48-50).

Mieli to zrozumieć, zwłaszcza Matka, gdy odszedł na zawsze. Na początku jeszcze była z Nim, z Jego uczniami. Wstawiła się za nowożeńcami z Kany. Prosiła, nie ustępowała, choć sprawa była właściwie błaża: szło, jak wiadomo, o wino. Dzięki Niej taki właśnie był początek cudów Jezusowych: przemiana wody w wino, smutku w radość. Była orędowniczką i przyczyną tej radości.

Potem widywała Go coraz rzadziej. Jej miejsce mieli zająć inni: „Właśnie powiedziano: «Matka Twoja i bracia stoją przed domem i pytają o Ciebie». A On dał im taką odpowiedź:

— Któż jest matką moją i braćmi moimi? — Potem spojrzawszy na siedzących wokoło siebie rzekł:

— Oto matka moja i bracia moi! Bo ten, kto spełnia wolę Bożą, ten jest mi bratem, siostrą i matką (Mk 3, 32-35).

Nie protestowała, choć to było Jej Dziecko, Jej Syn. Umiała pozostać na uboczu. Odeszła bez słowa. Jej wierność umiała być dyskretna, cicha i pokorna. Są to bardzo trudne, a dla nas prawie niezrozumiałe formy wierności.

Miała przejść wszystkie jej stopnie aż do końca. Kiedy mówiła: „Niech mi się stanie”, może nie wiedziała wszystkiego. Ale w miarę rozwoju wypadków widziała, ile to kosztuje i ile jeszcze będzie kosztować. I nie cofała się. Przyszła aż na Golgotę. Aż tu miała Ją doprowadzić Jej wierność Bogu, Jezusowi, ludziom, samej sobie. Tutaj Jej wierność stała się wiernością na miarę Jezusa, który

„umiłowawszy swoich, do końca ich umiłował”. Dlatego stała pod krzyżem. Widziała wszystko. Nie upadała, nie mdlała. Była tam do końca.

Sam Bóg jest wierny — mówi Pismo. Wierność jest tematem numer jeden całego Starego Testamentu. Nowy ukazał jej ostateczny, najwyższy kształt w osobie Jezusa, który został w y d a n y („Judaszu, pocałunkiem zdradzasz...” Łk 22, 48), który mógł triumfalnie przejść po leżących pokotem siepaczach, co przyszli do ogrójca aresztować Go. Jeszcze na krzyżu podpowiadali Mu wrogowie: „Niech zstąpi, a uwierzemy Jemu” (Mk 15, 32). Mógł więc zejściem z krzyża nie tylko uratować siebie od męki, hańby i śmierci, ale spowodować nawrócenia. A jednak pozostał przybity, ażeby wykonało się wszystko.

Niewierność, zdrada jest grzechem, który Dante karze umieszczeniem w najniższym kręgu piekła. Ale chyba nigdy zagadnienie wierności nie posiadało tak dramatycznego sensu jak dziś.

Wierność, cnota Conrada, Saint-Exupéry’ego, Camusa, cnota dla jednych religijna, dla drugich zupełnie laicka, uzyskała rangę, której wielkość można wytłumaczyć tylko stopniem osamotnienia i osaczenia człowieka XX wieku. Zawieść zaufanie, zdradzić człowieka, nabrało cech zbrodniczych dlatego, że pozostawia się go zupełnie bezbronnym wobec rozwydrzenia świata, że niszczy się w nim wiarę w Boga, w ludzi, że przecina się może ostatnie nici łączące go z życiem, czyli jakąkolwiek formą nadziei. To jest zabranie nędzarzowi ostatniej, jedynej rzeczy — w tym sensie opowiedział Natan Dawidowi przypowieść o bogaczu, który odebrał biedakowi jedyną ukochaną owieczkę.

Wierność. Choćby jednemu człowiekowi, ale do końca, zwłaszcza jeśli się jest czymś jedynym człowiekiem i nasza zdrada byłaby jakąś formą zabójstwa...

Wierność wobec człowieka, będąc istotną cechą miłości i podstawą wszelkiej społecznej więzi, może być i bywa często wyjściem naprzeciw. Wierność Bogu jest zawsze odpowiedzią na Jego wierność: On uwierzył w nas, gdyśmy jeszcze w Niego nie wierzyli. Uwierzył nam, zanim myśmy Mu uwierzyli. On też jest początkiem i gwarantem wszelkiej ludzkiej wierności.

Istnieją także jej ludzkie wzory. Absolutna jedność wierności posuniętej aż po ostateczne i najbardziej dramatyczne konsekwencje — oto czym było życie Matki Jezusa. Oto dlaczego może Ona być patronką naszej wierności, dlaczego nazywamy Ją Panną Wierną.

Jeszcze jeden Jej wiosenny tytuł chciałoby się przypomnieć, bo przemawia on do naszej smutnej wyobraźni. Jest takie wezwanie w Litanii Loretańskiej: „Przyczyno naszej radości, módl się za nami”. Zasłużyła na to określenie, bo dała światu największą radość: Zbawiciela. Ale umiała być także patronką i orędowniczką małych i zwykłych ludzkich radości. Dostrzegła, że radość nowożeńców w Kanie, jak każda ludzka radość, jest zagrożona, i to z błahego nawet powodu: braku wina. Chciała widocznie, żeby ten dzień pozostał w ich szarym życiu jasnym wspomnieniem, nie przesłoniętym żadnym przykrym incydentem. Wymogła na Chrystusie cud, którego nie mogą Mu darować co konsekwentniejsi abstynenci, mimo, że nie wszyscy oni zdają sobie sprawę z boskiego nadmiaru owej łaski: archeologowie twierdzą, że 12 stągwi mogło mieścić 480 do 700 litrów wina!

Dostojewski najpiękniejsze karty *Braci Karamazow* poświęcił ewokacji Kany Galilejskiej. Ten epizod biblijny przypomina sobie Alosza, czuwając nocą u zwłok ojca Zosimy.

„...lubię to miejsce. To Kana Galilejska, pierwszy cud. Ach, to cud, to miły cud! Nie cierpienie, lecz radość ludzką odwiedził Chrystus, po raz pierwszy czyniąc cud, radości ludziom przysporzył... Kto kocha ludzi, ten kocha również radość... Nieboszczyk powtarzał to nieustannie, była to jedna z najistotniejszych jego myśli... Bez radości nie ma życia, mówi Mitia... [...] Rzekła Matka

Jego sługom: «Cokolwiek wam rzecze, czyńcie...» — Czyńcie... Radość, radość jakimś biednym, bardzo biednym ludziom... Ma się rozumieć, że biedni, skoro nawet na wesele nie starczyło im wina... Piszą przecie historycy, że w okolicach jeziora Genezaret mieszkała wówczas największa biedota... I wiedziało inne wielkie serce innej wielkiej istoty, będącej z Nim razem, serce Jego Matki, że zstąpił na ziemię nie tylko gwoli swej straszliwej i wielkiej ofiary, że do serca Jego znajdzie dostęp również prosta, niewymyślna radość jakichś biednych, bardzo ciemnych i prostych ludzi, którzy Go zaprosili na swoje ubogie wesele. «Jeszcze nie przyszła godzina moja». Rzekł to z łagodnym uśmiechem (na pewno uśmiechał się łagodnie). [...] Istotnie, czyż po to zstąpił na ziemię, aby przysporzyć wina na ubogich godach? A przecież poszedł i uczynił zadość Jej prośbie...»

(przełożył Aleksander Wat)

Alosza wpada w zachwycenie, widzi gody, widzi oblubienca i oblubienicę, i gospodarza wesela, i ojca Paisija, który dobry i uśmiechnięty stamtąd do niego przemawia. Przypomina sobie, że Starzec kazał mu opuścić monaster i „przebywać w świecie”. Wybiega w noc pełną gwiazd nad białymi wieżyczkami i złotymi kopułami cerkwi, nad kwiatami śpiącymi w ogrodzie. „Cisza na ziemi zlewała się jak gdyby z ciszą niebios, tajemnica ziemi stykała się z tajemnicą niebios... Alosza stał, patrzył i nagle, jak podcięty, runął na ziemię.

„Nie wiedział, czemu ją obejmuje, nie zdawał sobie sprawy, dlaczego tak niepowstrzymanie chce ją całować, całować całą, lecz całował ją z płaczem, z łkaniem, oblewając łzami, i nieprzytomnie ślubował, że będzie ją kochał na wieki wieków”.

Myślę, że Orędowniczka ludzkiej radości, poetka, która stworzyła *Magnificat*, jest też patronką naszego zachwytu nad pięknem świata. Żyła w świecie, była „świecką” kobietą, pracowała w ogrodzie i kuchni, zbierała plody ziemi i pielęgnowała winorośl i kwiaty, więcej czasu musiała pewnie spędzać na schylaniu się nad ziemią niż na patrzeniu w niebo. Zresztą niebo było w Niej lub obok Niej, bo niebo jest wszędzie, gdzie jest Jezus.

A teraz jest maj i poezja świata brzmi tysiącami głosów i instrumentów, jak *Oda do radości* w zakończeniu *IX symfonii* Beethovena. Przypomni mi się ten dom w Bonn, pusta mansarda na poddaszu, gdzie na zniszczonej przez kołatki podłodze leżał ogromny, ciężki wieniec z wawrzynu, na który padało z boku, przez małe okienko, nieco blasku. „O radości, córko bogów...” A piętro niżej wystawa potwornych blaszanych rur, lejów, podobnych do średniowiecznych narzędzi tortur, tych robionych przez blacharzy przyrzędów, którymi głuchnący chciał dogonić dźwięki swojej ogromnej muzyki.

— Być takim głuchym Beethovenem miłości...

Kto to powiedział? Ale pamięć zaraz przywodzi na myśl Jana XXIII, który w pewien poranek zobaczył ze swojego okna na pustym jeszcze placu Świętego Piotra chłopca i dziewczynę, co wyszli z bazyliki i obejmując się z uśmiechem szli ku miastu.

„Ja nie wiem, kim są ci oboje na dole. Pewnie narzeczeni... Lecz na pewno kochają się. Niech ksiądz pomyśli — zwrócił się do księdza Capovilli — jakie to piękne: oni nic nie widzą, idą nieświadomi swoją drogą, lecz papież myśli o nich i błogosławi im”.

To, że Matka Boska jest przyczyną naszej radości, przeżyłem w jednym z najsmutniejszych miejsc w Europie, w prawdziwej stolicy kalectwa, choroby i cierpienia. Byłem tam kilkanaście lat temu i na gorąco zanotowałem swoje przeżycia związane z pobytem w tym niepojętym miasteczku. Było to w pierwszym roku mojego pobytu za granicą i wszystko widziałem przez pryzmat porównań i różnic. Do Lourdes przyjechałem z Włoch trasą nad morzem i przez Prowansję.

Pierwsze wrażenie było odczuciem niespodziewanej swojskości: rzadkie laski i podmokłe łąki po płowym pejzażu Włoch i południowej Francji cieszyły wzrok mocną, intensywną zielenią. Pociąg z Tuluzy do Lourdes był bardzo długi i przedziały były pustawe — inaczej wyglądają u nas pociągi jadące do Częstochowy. Do Lourdes zresztą przeważnie jeździ się inaczej: samolotami,

samochodami, autokarami czy pociągami specjalnymi. W Tarbes pociąg zatrzymuje się na dłużej, miasto i dziś jest znacznie większe niż Lourdes (przeszło 40 tysięcy mieszkańców, Lourdes liczy zaledwie 16 tysięcy). Biskupstwo, w którym ważyły się losy objawień i Bernadetty, obecnie nosi nazwę Tarbes et Lourdes, a sam biskup rezyduje w Lourdes; u podnóża góry kalwaryjnej ponad domkiem portiera jarzy się wieczorami ogromny neonowy herb.

Pierwszy napis „Lourdes” wyskakuje z nienacka na okrągłym bębnie wieży ciśnień, kończą się laski i krzewy z szarzejącymi na horyzoncie Pirenejami, pociąg łomocze na zwrotnicach. Na stacji jest niespodziewanie spokojnie i cicho. Długi pociąg złożony z wagonów sypialnych stoi na sąsiednim torze. Niezbyt wielka liczba wysiadających wylewa się na przeddworcowy plac, zastawiony gęsto mnóstwem autobusów hotelowych, taksówek i jednym archaicznym malutkim autobusem miejskim. W poszukiwaniu bazyliki trafiliśmy do kościoła parafialnego, którego również neogotycka wieża wprowadziła nas w błąd. Kościół stoi nieopodal placu Peyramale — groźny i zacny dziekan z Lourdes, który takiego strachu napędzał małej świętej, ma także swoją *avenue* nad brzegiem Gave i *rue* przy Pont Vieux spotykającą się z *avenue* Bernadette Soubirous.

Wszystkie ulice w Lourdes prowadzą ku bazylikom i gromadom. Główne jednak wejście znajduje się od strony bulwaru i mostu Świętego Michała. Widzi się wtedy całą długość Esplanady, z boku której mieści się podziemna bazylika Świętego Piusa X, obliczona na 20 tysięcy osób. Ogromna ta budowla robi wrażenie nieco przygniatające — z konieczności jest za niska w stosunku do rozległości (poświęcający ją kardynał Roncalli objeżdżał nawet obiegającą małym samochodem!), być może jest w tym znak czasu, ery atomowej: człowiek wkopuje się w ziemię. Biedne Lourdes jakoś nie ma szczęścia do kościołów (neogotyck, neobizancjum i teraz ten schron), podobnie jak nie miało szczęścia do figury Niepokalanej, wykonanej zresztą przez Polaka, która tak się nie podobała Bernadecie.

Pierwszą mszę świętą w Lourdes odprawiam przy wielkim ołtarzu dolnego, neobizantyjskiego kościoła. Pielgrzymka hiszpańska

przystępuje gremialnie do Komunii świętej. Po mszy świętej udaje się do grotty, nad którą wznosi się, jak wiadomo, górna bazylika, dość nawet przekonująco wyrastająca z szarej skały.

Grota jest posępna, skała pokryta jest czarnymi zaciekami wilgoci. Być może jest to i kopeć ze świec, których pali się wiele. Poniżej statuy Niepokalanej kamień jest wilgotny. Woda ze źródła odprowadzona jest do kilku kranów na lewo, skąd każdy może ją czerpać, i na prawo, gdzie znajdują się łazienki dla chorych, oraz od niedawna do budynku należącego do zarządu grotty, skąd wysyła się ją na cały świat.

Jest tu muzeum Świętej Bernadetty, w którym — jak mi opowiedano, bo nie miałem odwagi tam pójść — duże figury inscenizują wydarzenia z jej życia. Nie trzeba chyba uciekać się do takiego muzeum, by ewokować wspomnienie tej świętej. Przy ulicy des Petits Fossés znajduje się Cachot, dawne więzienie, gdzie mieszkała rodzina Soubirous w czasie objawień. Jest i dom sióstr, i ich kaplica, gdzie przyjęła pierwszą Komunię św., zaprawioną goryczą przez matkę Vauzous. Jest wreszcie i „Maison de Bernadette”, jej rodzinny dom, urządony tak, że robi wrażenie zamieszkanego do dziś. Rzewna prostota i ubóstwo sprzętów, łóżko z baldachimem w kratki, na półce garnki i pokrywki, na gwoździu wiszą jakieś chusty czy fartuchy, komoda zastawiona jest pamiątkami i fotografiami. Nad łóżkiem Bernadetty zawieszono jej portret i podobizny dziekana Peyramale i biskupa Laurence. Są i wykonane przez nią robótki, sukienka wyhaftowana przez nią, chyba już w klasztorze, dla bratanki czy siostrzenicy.

Słońce przetacza się na popołudniową stronę nieba i cienie stają się dłuższe. Do grotty wyrusza procesja. Kapłani, którym Pani poprzez Bernadettę kazała przychodzić tu w procesjach, idą długimi szeregami, bez zachowania precedencji, świeccy pomieszani z zakonnikami. Modlą się, śpiewają, a od czasu do czasu filmują; trudno, parafianie w Utah czy Oklahomie też chcą zobaczyć, jak wygląda procesja w Lourdes. A wygląda rzeczywiście

imponująco: idą, jedna za drugą, grupy pielgrzymów ze wszystkich chyba krajów świata, z chorągwiami i emblematami. Śpiewa się hymny łacińskie, odmawia różaniec. Procesja okrąży Esplanadę i wraca. Na placu rozpoczyna się błogosławienie chorych Najświętszym Sakramentem. Wózki ustawione są w kilku rzędach. Księża spikerzy czytają przez megafony wezwania. Anglik czy Amerykanin czyta, jakby komuś wymyślał, Francuz monotonie, za to Włoch wstrząsająco, z ekstatycznym napięciem:

— Panie, żebym przejrzał!

— Panie, żebym chodził!

— Panie, żebym słyszał!

Kłęczę w pobliżu dużej grupy chorych dzieci. Mali skauci w dużych kapeluszach przywieźli na dziecinnych wózkach swoich porażonych po chorobie Heine-Medina kolegów. Przeważają jednak dzieci psychicznie anormalne. Bardzo młody biskup prowadzący w tym dniu procesję zatrzymuje się co kilka kroków, błogosławiąc. Ósmioletni może chłopiec właśnie w tym momencie dostaje ataku szału. Rzuca się na matkę, drapie ją po twarzy, pluje. Stojący obok brankardier, młody chłopak, bierze go na ręce, przytula do piersi oślinioną, fioletową twarz.

Wieczorna procesja różańcowa ze świecami idzie tą samą drogą. Kiedy wraca, jest już noc i na placu przed bazyliką tworzą się serpentyny szybko posuwających się świateł. W górze, wzdłuż balustrad również setki migocących płomyków. W tym morzu świateł, zanurzonych w wilgotnej górskiej nocy, śpiewa się gregoriańskie *Credo*, wyznanie wiary w Światłość ze światłości, Światłość niezwycięzoną. Nie ma chyba piękniejszego symbolu Chrystusa i chrześcijaństwa jak płomień.

Murzyński biskup śpiewa formułę pontyfikalnego błogosławieństwa. Wracamy po procesji do groty, gdzie teraz przy prostym i pięknym kamiennym ołtarzu zaczynają się msze, trwające przez całą noc, i James, subdiakon z Dublina, opowiada o wodzie z Lourdes i o uzdrowieniach.

— *You're right, father* — odzywa się ktoś poza nami. Odwracamy się: starsi już ludzie, małżeństwo hinduskie. Przyjechali, ponieważ ona cierpi na guz nowotworowy w jamie ustnej. Opowiadają o ogromnie długiej i męczącej podróży, tej przebytej i tej, która ich czeka, bo już wyjeżdżają, nie mogą zostać dłużej. Oboje tacy szczęśliwi: pod wpływem wody z grotu guz znacznie się zmniejszył. Wracają pełni nadziei i wdzięczności. Oczywiście nie zgłaszają się do urzędującej tu komisji lekarskiej, jak ogromna większość tych, którzy doznają tu łask. Przypadek ten zresztą nie sprostałby na pewno wymogom komisji, uzdrowienie (o ile można tu w ogóle mówić o uzdrowieniu) nie jest ani natychmiastowe, ani zupełne. W ciągu stulecia dokonało się w Lourdes około 6 000 uzdrowień, z których co najmniej połowa nosi znamiona cudowności, komisja uznała jednak tylko pięćdziesiąt kilka.

Lourdes nie od dziś budzi sprzeciw i wewnątrz, i zewnątrz Kościoła. Bloy zarzucał mu dwie rzeczy: słodkość i skomercjalizowanie. Nie potrafił „ujrzeć bolejącej Matki Chrystusa w słodkim blasku Lourdes”. Mówił: „Nie pociąga mnie Niepokalane Poczucie w wieńcu kwiatów, w bieli i błękitach, wśród słodkiej muzyki i woni, jestem zbyt grzeszny, zbyt daleki od niewinności, zanadto bliski kozłów, zanadto spragniony przebaczenia”. Zarzucał Lourdes rozpanoszenie się w nim „kabotyństwa, mieroty i chciwości”.

To prawda, to wszystko jest w Lourdes i bardzo na wierzchu. Ale będąc w Lourdes w pewnym momencie przekracza się niewidzialną granicę, poza którą znika pretensjonalny kurort i słodkie cudowne miejsce. Zostają gdzieś w tyle tablice z wypisaną wielkimi cyframi wysokością ofiar na msze święte, targowisko i zgiełek, wszyscy ci dobrze myślący, którzy i tu się nie zgubili, którzy wżenili się w Lourdes jak w dobrze prosperujący interes. Sens Lourdes odnajduje się nagle sam, przejmujący, dławiący w gardle. Są tu w napięciu i skondensowaniu wieczne sprawy ludzkie: cierpienie i samotność, lęk i rozpacz.

Bo w Lourdes są chorzy — starzy i młodzi. Przechodząc widzi się ich oczy pod podniesionymi budkami wózków, gdy czekają — nieraz długo — przed łazienkami, gdzie się ich zanurza w wodzie z grotty. Oczy ludzi chorych. Przerażliwie żywe w kontekście umierającego ciała lub już wybielone mgłą śmiertelnego znużenia. Płonące protestem — i już pogodzone, wypłowiące i proszące, w które nie można patrzeć.

Cóż wyzwała w nas choroba, własna czy cudza? Co mówił Pascal o chorobie jako o naturalnym stanie chrześcijaństwa? Początkiem jakich odkryć bywa cierpienie? Ileż razy dopiero w jego mroku odczytujemy sens życia i przekonujemy się, że „świat jest głębszy, aniżeli pomyślał dzień”. Żeby wołać do Boga, trzeba nieraz aż tego, by się znaleźć w głębokości; czy nie podwójny sens kryje się w pierwszym wierszu *De profundis*, czy psalmista nie mówi o dwóch głębiach: jednej, w której zewnętrznie toniemy, i drugiej, która się w chwili cierpienia w środku nas rodzi?

Przyjeżdżający do Lourdes poddani są promieniowaniu cierpienia, które zmusza do zajęcia wobec niego stanowiska. Nasze czasy są twarde. Literatura mówiąca o nich jest twarda, nieraz okrutna. Panuje dzisiaj prawdziwa i udawana, bo wytworzyła się na to i moda, pogarda dla tych, co się „łamią”. Lourdes przypomina dwom milionom ludzi, którzy tu corocznie przybywają, o wielkich i godnych człowieka uczuciach, jakimi są współczucie i miłosierdzie.

Posłannictwo Lourdes jest zwrócone bardziej do zdrowych niż do chorych. Pani wzywała do pokuty, która nie jest niczym innym jak przemianą. Chorych jest tu w gruncie rzeczy niewiele — zaledwie 1,5% przybywających, i chyba bardziej niż o nich idzie tutaj o fizycznie zdrowych, których ta nieliczna garstka ambasadorów cierpienia i nędzy, mniejszych i większych od swoich klęsk, milcząco uczy. Największe cuda Lourdes są niewidzialne.

Dla mnie największym cudem Lourdes jest to, że nie ma tam samobójstw z rozpaczy, że ludzie wracają stamtąd z odwagą, która pozwala dalej żyć z chorobą, cierpieć i umierać jak człowiekowi przystoi.

Jakież jest to Lourdes, o którym tyle się pisze? Rzeczywiście, pisze się wiele, ale klimat tego dziwnego miasta przecieka między ustalonymi kategoriami. Jeden chyba tylko człowiek na świecie pisał o Lourdes adekwatnie: Franz Werfel, praski Żyd. Lourdes jest nie tylko dziwne, ono jest paradoksalne, przekorne. Trudno oprzeć się wrażeniu, że Bóg chciał sobie zażartować z agnostycznego XIX stulecia, które nawet nam dzisiaj wydaje się trochę komiczne. Lourdes od początku było jakimś żartem z solidnych, poważnych, dobrze myślących ludzi, z miłujących spokój księży i przemądrzałych zakonnic. Bernadetta nie miała żadnych „kwalifikacji” na wizjonerkę, była prostą, rozsądną i zwyczajną dziewczynką. Nie miała nawet kwalifikacji na normalną ludzką wielkość: dziecko bezrobotnego, który nie stronił od kieliszka. Przeciwno temu dziecku zastosowano wszystkie środki: kościelne, naukowe, polityczne i policyjne z prowokacją włącznie. Nawet gdy uwierzono Bernadecie, biskup Laurence był święcie przekonany, że „nigdy z pewnością Lourdes nie będzie tak popularne jak La Salette”.

Dziś, po stu z górą latach, Lourdes nie przestało być paradoksalne. Czy nie jest to dziwne, że na mapie naszego współczesnego świata znajduje się u podnóża Pirenejów miasteczko, w którym dzieją się autentyczne, sprawdzalne naukowo cuda? A miasteczko jest całkiem zwykłe, działają w nim wszystkie prawa ekonomiczne, i tu widzi się jaskrawą prawdę, że współczesność stworzyła wspólny mianownik dla wszystkich rzeczy świata tego, mianownik, do którego wszystko się sprowadza: pieniądź. Ale tu, i właśnie tu widzi się i bezsilę, nieprzydatność pieniędzy, które w obliczu nieuleczalnych cierpień i śmierci nie znaczą nic i nic pomóc nie mogą.

Lourdes uderza nagromadzeniem kontrastów; jest tu i burżujska komercyjna bezwzględność (głupia rzecz, ale charakterystyczna: z jaką wściekłością odmówiła nam sklepikarka prawa napicia się mleka w sklepie); jest niesłychana ofiarność sanitariuszy; jest obojętność, ale i bardzo rzucające się w oczy „zbratanie pielgrzymów z różnych krajów” — jak pisał papież Pius XII w encyklice o Lourdes; jest sporo smutku, ale i bardzo, bardzo dużo radości.

Bloy nie chciał uznać uśmiechniętej Madonny z Lourdes, wpatrzonej w płaczącą z La Salette. A przecież jest chyba i może wyższa

racja niż ta, która nakazuje płakać nad cierpiącymi: wytrwała pogoda, podnosząca serca. W Lourdes tak było od początku. Werfel pisał o ludziach, którzy przybyli, by być świadkami objawień Bernadetty: „Trudno by było w zachowaniu tłumu doszukać się religijnego nastroju mistycznego. Całość robi wrażenie wstępnych przygotowań do ludowej zabawy. Na pogodny humor oczekujących mas wpłynęła z pewnością sama osoba Pani, żywa i naturalna, jak ją Bernadetta tylokrotnie w swych opowiadaniach przedstawiała”.

Tak jest i teraz. Pomimo późnej pory ulice i kafejki pełne są ludzi. Przedstawiciele wszystkich ras i wszystkich narodów przeżywają nie tylko w czasie nabożeństw powszechność Kościoła. Świąteczny gwar stwarza atmosferę wesołego, chciałoby się powiedzieć: polskiego odpustu. Pomyślałem, nie wiedzieć który raz, o Częstochowie, gdzie ludowa obrzędowość tak często gorszy osoby szczególnie uduchowione. Pamiętamy różne reportaże o pielgrzymkach i artykuły o Jasnej Górze. Bo wiadomo, że religia powinna być wzniosła i ponura, pozbawiona ludzkiego ciepła. Rzadko kiedy mamy okazję uprzytomnić sobie, ile pogody, radości i nadziei podtrzymuje w Kościele kult maryjny, który ustrzegł Kościół i teologię przed ostatecznym zmaskulinizowaniem, zintelektualizowaniem, niedocenianiem intuicji i „praw serca”.

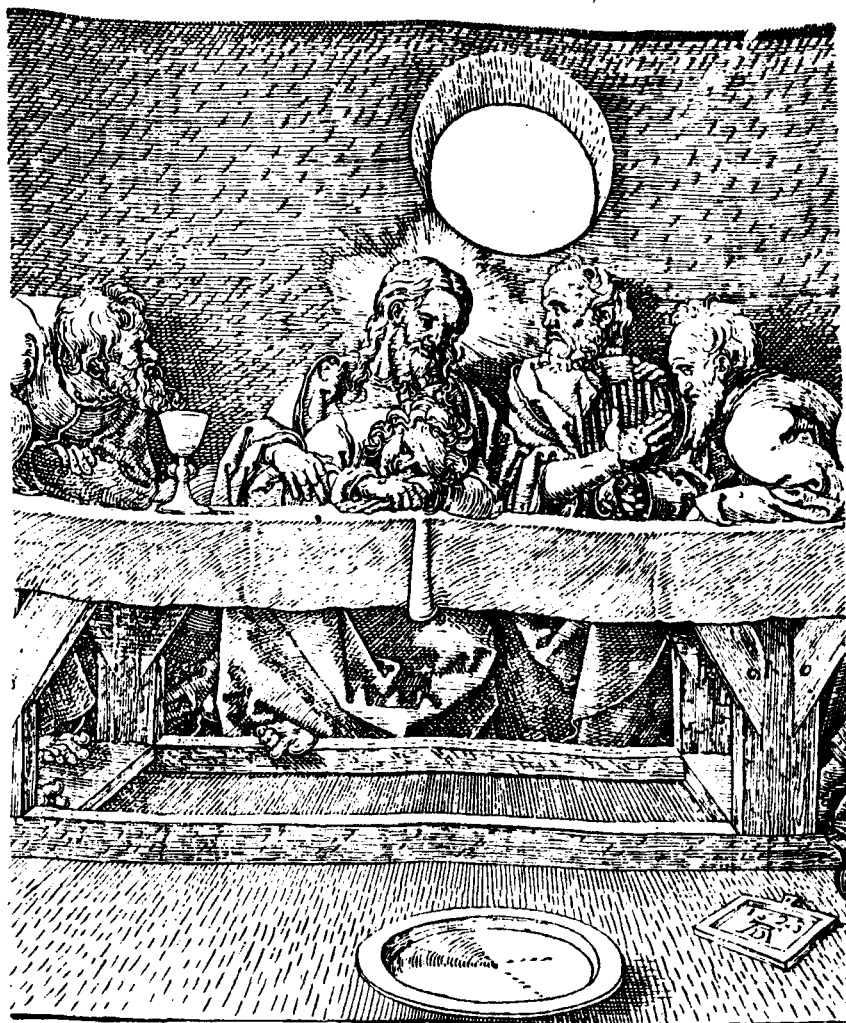
Panna wierna i radosna sprawia, że Kościół nie wygląda jak dom, w którym panuje chłód, w którym nie ma kwiatów, gdzie nie rozbrzmiewa żadna melodia.

Przypomnijmy sobie Hilarego Belloca, angielskiego poetę, który pielgrzymował swego czasu do Częstochowy, autora wiersza ewokującego cud w Kanie i jego Orędowniczkę:

Gdzie katolickie słońce błyszczy,
wino i śmiech kochają wszyscy.
Przynajmniej ja stwierdziłem to,
Benedicamus Domino.

CZAS OBECNOŚCI

Ten Jezus,
który spośród was
wzięty jest do nieba,
przyjdzie tak,
jakście go widzieli
idącego do nieba



Dwa wiosenne święta Chrystusa po Zmartwychwstaniu: Wniebowstąpienie i Boże Ciało. Święto odejścia i święto pozostania. Pierwsze z nich pojawia się jak obłok na wiosennym błękitcie, który zasłania Odchodzącego, drugie ukazuje Go nam w promiennym słońcu monstrancji. Pierwsze pozostawia nas z głowami zadartymi do nieba, jakbyśmy odprowadzali kogoś bliskiego na lotnisko. Tak samo patrzyli w górę apostołowie i zostali dość energicznie pocieszeni przez aniołów:

„Mężowie galilejscy, czemu stoicie zapatrzeni w niebo? Ten Jezus, który spośród was wzięty jest do nieba, przyjdzie tak, jakoście Go widzieli idącego do nieba” (Dz 1, 11).

Trudno im było przejść od tego zapatrzenia do zwykłego życia. Serce ma swoje prawa... Mistrz przygotowywał ich na to odejście, a jednak uderza nas, nawet po tylu wiekach, nastrój melancholii i smutku przesycający liturgię niedziel przed Wniebowstąpieniem. „Nikt z was nie pyta mnie: dokąd idziesz? Ale żem to wam powiedział, smutek nappełnił serca wasze” (J 16, 5-6).

Niedługo cieszyli się Nauczycielem, który przyszedł do nich po śmierci i był z nimi przez czterdzieści dni po swoim zmartwychwstaniu. Każde rozstanie jest ciężkie, w każdym jest rys okrucieństwa. Przygotowywał ich: „Lepiej dla was, żebym odszedł, bo jeżeli nie odejdę, Pocieszyciel nie przyjdzie do was” (J 16, 7).

Niełatwo jest odchodzić, a przecież odchodzimy nieustannie. Takie jest prawo wzrostu. Każdy z nas odszedł od dziecka, którym był kiedyś. Tylko Piotruś Pan nie chciał rosnać. Opuścamy samego siebie, opuszczamy ludzi. „Opuści człowiek ojca i matkę...” (Mt 19,5). To jest bardzo zasadnicze odejście. Pamiętam rozmowę z niemłodym małżeństwem, rodzicami jedynaka: „Przyzwyczajamy syna, że nas może zabraknąć”. To jest wielka sztuka umieć rozluźnić samemu więzy, które los przerwie tak czy inaczej. Przygotowywać do samodzielności, do znoszenia ciężaru samotności. Buntuje się przeciw temu miłość. A jednak ludzie żyjący obok nas nie mogą być bluszczem, muszą umieć rosnać sami.

Odejście może być zasługą i może być winą. Jest grzechem, jeśli jest ucieczką od wierności, od odpowiedzialności. Eskapizm. Ileż razy marzymy o odejściu ze swojego środowiska, umęczeni przez złośliwość, głupotę, brak elementarnej zyczliwości. Ale może bez nas byłoby tu jeszcze gorzej. Może bronimy jakichś ludzi i jakichś wartości przez to choćby, że j e s t e ś m y. Że nie uciekamy.

Odejście może być zasługą. Chrystus odszedł od Ojca i przyszedł na świat. Odszedł od swojej rodziny. Odszedł od Matki.

Odszedł w ogrójcu od uczniów — „na odległość rzutu kamieniem”. Odszedł na krzyż. Odszedł do Ojca w dniu wniebowstąpienia.

Umieć odejść. Przykład Jana Chrzciciela. Przykład Jana XXIII: „Jeśli papież nie może sprawować funkcji papieża, to niech lepiej umiera”. Ten sam człowiek mówił: „Bo żebym był szczerzy — pozwólcie, że wam to powiem — chciałbym żyć długo. Kocham życie”.

Wszystkie odejścia przygotowują nas do odejścia ostatecznego. *Partir c'est mourir un peu* - „Odejść to znaczy trochę umrzeć”. Dlatego tak ciężko jest odchodzić. Takie jednak jest prawo wszelkiego wzrostu i postępu. Także chrześcijańskiego: „Jeśli ziarno pszeniczne wrzucone w ziemię nie obumrze, samo zostanie, lecz jeśli obumrze, wiele owocu przynosi” (J 12, 24-25).

„Jeżeli nie odejdę, Pocieszyciel nie przyjdzie do was, a jeśli odejdę, pošlę Go do was” (J 16, 7).

Celem naszego odejścia nie ma być powstanie pustki, ale przygotowanie miejsca dla nowego — często większego — dobra.

Płomienne święto Zesłania Ducha, potężnego i tkliwego, otwiera czerwony czerwiec. Wiosna przesila się w lato, a szkarłatne peonie przypominają, że jest to także miesiąc Serca Jezusowego. Ich kolor zawsze kojarzył mi się z barwą krwi i światłem wiecznej lampki. W kościele, gdzie byłem ministrantem, one właśnie zdobiły ołtarz Serca Jezusowego, przed którym odmawiano lub śpiewano litanie. Jedno jej wezwanie powraca mi w pamięci jak refren, gdy patrzę na łagodne pomorskie pagórki: „Serce Jezusa, pożądanie wzgórz wiekuistych”. Wiekuiste wzgórze — myślę na bakier z egzegezą — muszą być łagodne i niewysokie, skoro mają trwać wiecznie, czas nie oszczędziłby przecież gór wielkich i wyniosłych... Może są to „góry serca” z wiersza Rilkego *Porzucony na górach serca?* Jezus cichy i łagodnego serca chce nas w tym miesiącu wzruszyć swoją miłością i podpowiada zatwardziałym, zawiedzionym i zgorzkniałym, już nie wierzącym w żadną miłość: „Może zostało ci serce?”

Salvatore Quasimodo tak zatytułował swój wiersz napisany po ostatniej wojnie:

Jeśli możesz,
zapomnij odoru siarki,
zapomnij lęku. Męczą nas słowa
jak ukamienowana woda.
Może zostało nam serce, może serce...

(*Forse il cuore*)

Kiedyś nabożeństwo do Serca Jezusowego było odpowiedzią na ducha czasu i próbą ratowania Kościoła przed wysuszającym podmuchem racjonalizmu; dziś, w obliczu doświadczeń dalszej i bliższej przeszłości, przypomina nam ono, że trudności wiary często nie lęgną się w umyśle, lecz w woli i uczuciu. Chłodne rozumowania doprowadziły mniej ludzi do ateizmu niż różne życiowe klęski, zawody i rozpacze. Uwierzyć w Boga znaczy przecież uwierzyć Bogu. Uwierzyć Bogu znaczy: uwierzyć w to, że On nas kocha, uwierzyć w Jego miłość.

Tłum na jezdni i chodnikach. Zieleń. Kwiaty. Ołtarze. *Twoja cześć, chwala*. Słońce. Małe złote słońce monstrancji. Białe drgające światło. *My Twoi słudzy*. Tylu nas. Ścisk. Gorąco.

Procesje Bożego Ciała. Jedną pamiętam jeszcze sprzed wojny: ołtarz na frontonie gmachu poczty. Żołnierz mówi: „Nie pchaj się, mały, żebyś nie dostał w zęby, jak będziemy prezentowali broń”. W pobliskim Gdańsku katolicy chodzili na procesję w czarnych melonikach. W ostatnich latach przed wojną tak samo zaczęli się ubierać w tym dniu komuniści: staroświecko uroczyste nakrycie głowy stało się na krótki czas symbolem antyhitlerowskiej solidarności.

1945: pierwsza procesja po wojnie, znowu na mieście.

1953: pierwsza procesja po święceniach, prowadzona na raty z proboszczem. Z tamtych czasów wspominam jednak raczej wyjazdy na wieś do chorych. Pan Jezus wtedy nie był w monstrancji i można Go było przycisnąć pod płaszczem do serca. Pomimo tego wiele rzeczy odwodziło od myślenia o Nim: wzgórza żółte

na wiosnę od kwitnącego żarnowca, z których widać było morze, pola, wesołe mieszane lasy. Parskanie spoconych koni. Migotanie światła przez gałęzie. Czasem z boku sarna. Często zające.

1958: pierwsza procesja w Rzymie, z Aracoeli do Łuku Konstantyna. Za rok papież Jan udzielał stamtąd błogosławieństwa. Najświętszym Sakramentem. Procesja w Orvieto błyszcząca młodością i kolorami. *L'infiorata* w Genzano: 300-metrowy dywan z kwiatów na ulicy, którą ma przejść procesja.

Ileż tych procesji! Z dygnitarzami, kompaniami honorowymi, senatami w gronostajach i łańcuchach. Procesje wspaniałe i procesje zepchnięte na boczne ulice, idące zaułkami. Te ostatnie najbardziej wzruszające: przecież o sobie myślał Chrystus, gdy mówił o gospodarzu nakazującym słudze zbierać włóczęgów, głodnych, ślepych i chromych na rozdrożach i wśród opłotków. Może nie mógł się doczekać i sam wyszedł szukać nas osobiście?

To jest bardzo piękne święto, złote i zielone. Zrodziła je zarówno teologia, jak i poezja. Największy myśliciel średniowiecza układał o nim wiersze i hymny. U nas nabrało barokowego kształtu i takie chyba pozostało, ale to nie jest źle: daj Boże innym, bardziej zarozumiałym epokom tyle ludzkiego ciepła i pogodnej mądrości...

„Przed tak wielkim Sakramentem upadajmy na twarze”. Ten Sakrament nie rodził się jednak w słońcu, blasku i chwale. U jego kolebki stał wieczór Wielkiego Czwartku. Słońce wtedy zaszło pewnie jak zwykle. Fioletowe góry Judei wessały w siebie resztę blasku i ciepła. Z doliny Tyropeon mrok i chłód poczęły wstępować na Syjon. W wieczerniku trzeba było zapalić lampy. Ostatnia wieczerza. „Diabeł poddał już Judaszowi Iskariocie, synowi Szymona, myśl, żeby Go zdradził”. Jezus musiał zginąć i miał zginąć zdradzony. Osaczenie stawało się zupełne: wszystko już było tylko kwestią godzin.

Czy zauważyliście, jak wokół człowieka w sytuacji granicznej, wokół człowieka **n a z n a c z o n e g o**, zaczyna rosnać przezroczyta ściana samotności, jak staje się coraz bardziej szczelna? Może dotykaliście kiedyś tej tafli z grubego szkła: widać przez nią poruszające się wargi, ale nie słycać słów. Człowiek dotknięty

wielkim cierpieniem znajduje się poza barierą dźwięku — nic nie dociera do niego i on sam nie może porozumieć się z nikim.

Tam, gdzie kończy się rola słowa, jest jeszcze miejsce na o b e c n o ś ć. Można być z cierpiącym człowiekiem. „Już przez to samo, że przyjdiesz w niedzielę, moja matka umiera trochę mniej. Jutro będę cię trzymała za ręce, wreszcie podobna do kobiety, która tuż obok siebie ma kogoś do milczenia i płaczu, będę jak zwyczajna kobieta, która nad grobem matki albo ojca stoi wsparta o pierś mężczyzny pełnego strachu o jej ból i przerażenie, i przez to samo już mniej przerażona i nie tak głęboko pogrążona w ciemnościach” — pisała Anka Kowalska w *Pestce*.

Jakże wszystko było splecione podczas tej uczty miłości i zdrady. Żeby zapytać na rozkaz Piotra o imię zdrajcy, Jan położył głowę na piersi Jezusa: „A on opierając się na piersiach Jezusa rzecze Mu: Panie, kto to jest?” (J 13, 25).

Ostatnia wieczerza. Ostatnie przemówienie Jezusa przed śmiercią. Mówił o samotności. Ale nie o swojej samotności, która miała rosnąć od ogrójca po krzyż.

„Synaczkowie! niedługo już będę z wami. Będziecie mnie szukać... Dokąd ja zdążam, wy przyjąć nie możecie... Po tym poznają wszyscy, żeście uczniami moimi, jeśli miłość mieć będziecie jeden ku drugiemu” (J 13, 33-35).

Mówił, że będą nie tylko osamotnieni, ale i prześladowani ci, których nazwał swoimi przyjaciółmi: „Każdy, kto was zabijać będzie, uczyni to mniemając, że Bogu wyświadcza przysługę” (J 16, 2).

Dopiero na końcu wspomniał o tym, co Jego samego czekało za chwilę: „Oto nadchodzi godzina, a nawet już nadeszła, że rozpierzchniecie się każdy do swoich, a mnie zostawicie samego” (J 16, 32). Za swoich przyjaciół modlił się i polecał Ojcu ich samotność na świecie: „Ja za nimi proszę... Nie proszę, abys ich zabrał ze świata, ale żebyś ich zachował od złego... A nie tylko za nimi proszę, ale i za tymi, którzy dla słowa ich uwierzą we mnie, aby wszyscy byli jedno... Ojczy, chcę, aby i ci, których mi dałeś, byli ze mną...” (J 17,9.15.20.24).

O wielkiej samotności ludzi, o ich „mniejszej śmierci” myślał ustanawiając Najświętszy Sakrament. To miał być pokarm serc samotnych, kuszonych, stojących w obliczu próby. Zrodzony w godzinie samotności ma stanowić jej przewycięzenie: o b e c n o ś ć. Dzięki temu wynalazkowi miłości pozostał wśród ludzi, łącząc ich z Bogiem i między sobą, bo taki jest przecież sens Komunii. Dzięki niej rodzina ludzka staje się rodziną Bożą. Braterstwo i solidarność ludzką wyznacza nie tylko krew i ciało, ale także — i bardziej jeszcze — Krew i Ciało.

W momencie powstania miało to święto służyć *ad confutandam haereticorum insaniam*; „odpierać szaleństwo heretyków” XII wieku, ich opinie dotyczące transsubstancjacji — szło tu głównie o poglądy Berengariusza z Tours. Po Soborze Trydenckim miało być „tryumfem Eucharystii”, którego wizję plastyczną stworzył Rubens. Dziś, w pluralistycznym świecie, jest chyba przede wszystkim świętem spotkania, kiedy powtarza się ewangeliczna przygoda niewidomego spod Jerycha: „A usłyszawszy rzeszę przechodzącą zapytał, co by to było. I powiedziano mu, że Jezus Nazareński przechodzi mimo” (Łk 18, 36-37).

Pomyślmy, co pisał Teilhard de Chardin o „mszy nad światem”. Można chyba i w tej procesji dopatrzeć się z n a k u sprawowanego przez Kościół, znaku o wymiarze kosmicznym, bo taki niewątpliwie sens posiada śpiewanie czterech Ewangelii i błogosławienie wszystkich stron świata Najświętszym Sakramentem. Idąc w tej procesji pomyślmy, że uczestniczymy w prastarym misterium ludzkości, zawsze złożonej z wędrowców i stale zajętej marszem naprzód, że uobecniamy misterium Kościoła niosącego Boga przez czas i przestrzeń.

Tego dnia wraz z nami przechodzi obok ludzi, niesiony przez kapłana, Jezus z Nazaretu.

Ty jeden — Sakramencie, świetlna równowaga,

Uciszasz ciemną trwogę rozdartej miłości,

Ty jeden — Sakramencie — manometr, co zbawia

Serca, których upada tysiąc na godzinę.

Oto — ziemio — jest meta twego przerażenia
I kres odwiecznej pychy tych, co ostrzą gwoździe —
O, Baranku uwięziony w trzech jednakich głosach,
Niezlomny Sakramencie prawa i miłości.

Skąło osamotnienia, gdzie się trawa żali,
Gdzie nieprzejrzysta woda traci trzy akcenty...

(przekład Mikołaja Bieszczadowskiego)

— pisał Lorca w *Odzie do Przenajświętszego Sakramentu*.

Wszystkie sakramenty, będąc spotkaniami Boga z człowiekiem, wymierzone są przeciwko samotności. Dwa z nich — w sposób bardzo szczególny: małżeństwo i kapłaństwo. Tu znakiem Boga dla człowieka nie jest, jak w innych sakramentach, rzecz: woda, oliwa, chleb, wino — lecz drugi człowiek. Zwykły człowiek, nie zawsze dobry, nie zawsze święty. W małżeństwie wybierany przez tego, dla kogo ma być znakiem, w kapłaństwie — wybierany przez Boga.

Na przełomie maja i czerwca, przeważnie w tym właśnie czasie, pod koniec roku akademickiego, odbywają się święcenia kapłańskie. Ci z wybranych przez Boga, którzy poszli za Jego wezwaniem, przez włożenie rąk biskupa zostają kapłanami. Przyjeżdża rodzina, jest bardzo uroczyście i wzruszająco, jeszcze bardziej może już w rodzinnej parafii, w czasie mszy prymicyjnej.

„Nowy zaciąg pod chorągiew starą triumfującego Chrystusa...” — przypomina się ten staropolski tekst, piękny, choć militarystyczny. Po co ten zaciąg? Czy księża są jeszcze potrzebni? Jeśli tak, to do czego? Człowiekowi współczesnemu nie bardzo trafia do przekonania argumentacja historyczna, że idea kapłaństwa jako pośrednictwa między człowiekiem a siłami nadprzyrodzonymi jest stara jak sama ludzkość. Że w najstarszych religiach ojcowie rodziny spełniali funkcje kapłańskie, które potem wyspecjalizowane stały się domeną „fachowców”. Człowiek współczesny,

w jakimś stopniu *self made man*, któremu już Pico della Mirandola powiedział w XV wieku, że może być ojcem samego siebie, jest przekonany, że może sam, bez pośredników załatwić swoje sprawy z Bogiem. Niepotrzebny wydaje mu się tu skomplikowany kult (jakże zresztą ostatnio upraszczany), niepotrzebni specjaliści od Pana Boga, skoro sama teologia okazała się arbitralna, tak daleka nieraz od Biblii, tak bardzo związana z historycznie uwarunkowanymi ludzkimi punktami widzenia, tak — wobec tego — przestarzała. Sam papież uznał się zresztą ostatnio za eksperta od spraw l u d z k i c h, czy to nie znamienne? Czyż nie autentyczniej — mówi człowiek współczesny — przeżywam religię w obliczu przyrody albo w samotnej modlitwie? Czyż nie mogę w samotności i ciszy, bez kadzideł i organów, mówić do Boga i słuchać Boga? A gdy nawet będę umierał — czy warto (jak w starym dowcipie) rozmawiać z lokajem, skoro za chwilę zobaczę się z samym panem?

Po co kapłaństwo dzisiaj?

Pewnie dla tych samych powodów, dla których Słowo stało się człowiekiem. Odpowiedzią daną całemu człowiekowi, odpowiedzią na c z ł o w i e k a, nie może być czysty duch.

Któż, gdybym krzyknął, usłyszałby mnie z zastępów anielskich? a gdyby nawet któryś z aniołów przycisnął mnie nagle do serca: musiałbym umrzeć od jego silniejszej istoty...

(przekład Mieczysława Jastruna)

— pisał Rilke w *Pierwszej Elegii Duinejskiej*, a w *Drugiej* podejmując ten temat, zapytywał:

Gdzież są dni Tobiasza,
gdy jeden z Promieniejących stanął u prostych wrót domu,
w na wpół podróznym stroju i już nie budzący grozy:
młodzieniec wobec młodzieńca, co się przyglądał ciekawie.

Bóg chciał, żeby w osobie Jezusa Chrystusa druga Osoba Trójcy, stawszy się ciałem zamieszkała między ludźmi. Po jego

wniebowstąpieniu pragnie spotykać się z ludźmi poprzez człowieczeństwo, by Jego straszliwy majestat był jakby ograniczony przez słabość wybranego człowieka. Jakże często wybiera właśnie przeciętnych, zwyczajnych... Potrzebuje ich dla ludzi, żeby zmniejszyć dystans — ileż się niektórzy biedni księża namęczą nieraz, żeby go właśnie stworzyć, żeby na tym zbudować swój żalony „autorytet”. Bóg potrzebuje zwykłych ludzkich nóg, żeby iść do ludzi, potrzebuje ludzkich rąk, żeby ich dotknąć, pogładzić, podnieść, potrzebuje ludzkich ust, żeby mówić do ludzi zrozumiałym dla nich językiem.

My, ludzie, potrzebujemy pewności silnej, nadludzkiej — ale może nam ją dać, dopóki pielgrzymujemy w ciele, tylko ludzki gest, dotyk, słowo. W noweli *Golębie pióra* współczesny amerykański pisarz John Updike opowiada o czternastoletnim chłopcu, Dawidzie. Opisuje między innymi jeden wieczór jego życia: „Drzwi były nieco uchylone, więc widział, jak światło się przesuwają i drży. Z pewnością w ostatnich paru minutach, w ostatniej sekundzie, lampa rozbłyśnie i drzwi wypełnią się światłem. Na myśl o tym zdjął go strach. Stała mu przed oczami jego własna śmierć, w jakimś łóżku, w jakimś pokoju, jakieś tapety na ścianie, jego świszczący oddech, szept lekarzy, zdenerwowani krewni wchodzą i wychodzą, ale on nie pójdzie nigdzie, tylko do dołu w ziemi. Nigdy już nie dotknie klamki. Szept ustał i lampa w pokoju rodziców zgasła. Dawid modlił się, aby doznać pocieszenia. Choć przerażała go ta prośba, uniósł obie dłonie w ciemności nad głową, błagał Chrystusa, by ich dotknął. Niedługo, niemocno, najslabsze, przelotne dotknięcie wystarczy mu na całe życie. Czekał z dłońmi w powietrzu, które też było materią, zdającą się przesuwac przez jego palce; a może to pulsowanie jego krwi? Włożył dłonie pod koce niepewny, czy zostały dotknięte czy nie”.

Dążąc do pewności nadludzkiej, człowiek pragnie przede wszystkim pewności ludzkiej, jakiej może mu udzielić drugi człowiek, któremu można by zaufać — „od szafarzy zaś już tutaj się żąda, aby każdy z nich był wierny” (1 Kor 4, 2).

Człowiek dla człowieka jest w kapłaństwie i małżeństwie znakiem miłości Boga. W małżeństwie dla jednego przede wszystkim, w kapłaństwie dla wielu, dla wszystkich, których spotka na swojej drodze, ta zaś musi być drogą ku ludziom. Oto podstawowa kwalifikacja: miłość. Nie czego innego dotyczyło pierwsze na świecie *scrutinium*, egzamin przed nadaniem najwyższej godności na ziemi: „Szymonie, synu Jana! Miłujesz mnie więcej niżli ci?” (J 21, 15). Trzy pytania, wszystkie o to samo, upokarzająco aludujące do trzykrotnej zdrady (a jednak i z tej pozycji wychodząc, można było zostać papieżem), wszystkie trzy w odpowiedzi dające prawo dotykania ludzi, zajmowania się nimi... Słaby człowiek zostawał oto najwyższym kapłanem, spełniał się znak.

Można różnie patrzeć na film Pasoliniego *Teoremat*. W gruncie rzeczy jest to poetycka przypowieść o wejściu w życie banalnej i nieciekawej rodziny tajemniczego Nieznajomego, który wyzwala i zaspokaja we wszystkich pragnienie ciepła, poezji i miłości. Jego przybycie zapowiada scena wzorowana na ikonografii *Zwiastowania*.

„Każdy arcykapłan spośród ludzi wzięty, dla ludzi jest postanowiony” (Hbr 5, 1). Podstawowa rzecz, którą trzeba zrozumieć i ciągle o niej pamiętać, że księdzem nie zostaje się dla siebie. Egotyzm, egoizm są największymi wrogami powołania. Księdzem może zostać tylko ten, kto posiada zdolność głębokiego przejmowania się losem innych ludzi — aż po ostateczne konsekwencje. Oznacza to miłość łatwą do ludzi jasnych, prostych, nieskomplikowanych, którzy przychodzą sami, skłonni przyjąć radę, kierownictwo, pomoc, ale oznacza też niełatwą miłość do ludzi trudnych, nietypowych, przeraźliwie samotnych, udręczonych, „smutnych tak, że aż Bogu smutno”, których nie można przekonać i pocieszyć, takich, że dla jednego z nich trzeba więcej dobroci i serca niż dla dziewięćdziesięciu dziewięciu prostych i nieskomplikowanych. Poprzez osobowość kapłana przyzywają siebie wzajemnie dwie otchłanie: Bóg i świat — i pragną tego samego: życia ofiarnego, zaangażowanego, czystego, twórczego, wycelowanego poza siebie i własne sprawy. Wszystko: mózg, serce, nerwy,

czas, spokój księdza powinny być dla innych. Tu naprawdę, „kto by stracił życie swe dla mnie, znajdzie je” (Mt 16, 25).

Przejmująco pisał o tym Teilhard de Chardin:

Każdy kapłan, dlatego że jest kapłanem,
poświęcił swe życie dziełu zbawienia powszechnego.
Jeśli jest on świadomy swej godności,
nie może już żyć dla siebie,
lecz żyć musi dla całego świata,
na wzór Tego, którego ma reprezentować dzięki
namaszczeniu.

W miarę mych sił, p o n i e w a ż j e s t e m
k a p ł a n e m,
pragnę od tej chwili być pierwszym w uświadamianiu
sobie umiłowań, poszukiwań i cierpień świata;
pierwszym w szukaniu, wżywieniu przyjaznych uczuć,
w trudzeniu się;
pierwszym w rozwijaniu się i poświęcaniu —
bardziej ludzkim i szlachetniej ziemskim niż jakikolwiek
sługa tego świata...

(przekład Wandy Sukiennickiej)

Ten tekst był pisany prozą. W ten sposób przepisał go dla mnie z przypisów do *Środowiska Bożego* jeden z moich studentów przygotowujących się do kapłaństwa. Bardzo się ucieszyłem, że tak spontanicznie odczytał to jako poezję.

Mówiąc o tym, że ludzkość bardziej niż kiedykolwiek przypomina dzisiaj stos ofiarny, a jej wspaniała ekspansja duchowa i techniczna przygotowuje ją do przeistoczeń, konsekracji i ostatecznego zjednoczenia z Bogiem, Teilhard ukazuje kapłaństwo jako najwyższy akt człowieczeństwa. Nie można tu nie przypomnieć innego w i d z ą c e g o, Norwida:

Człowiek to kapłan bezwiedny i niedojrzały.

Już on czuł, że kapłaństwo może być tylko jednym: człowieczeństwem świadomym i dojrzałym, czującym życie i świat wszystkimi nerwami duszy. Jeszcze raz posłuchajmy Teilharda:

Kapłani!

Nigdy nie byliście bardziej kapłanami niż obecnie,
bardziej włączeni we współczesność
i bardziej związani z trudami i znojem swego pokolenia;
nigdy bardziej aktywni,
nigdy bliżsi istoty swego powołania...

(przekład Wandy Sukiennickiej)

Czy to jest rzeczywiście istotą powołania? Potwierdził to najwyższy ziemski autorytet chrześcijaństwa, papież. Paweł VI w przemówieniu do kleryków, wygłoszonym 4 listopada 1963 roku, mówił o znalezieniu swego powołania przez wsłuchiwanie się w głosy rozbrzmiewające w świecie. Świat jest pełen głosów, wśród nich może młody człowiek dosłyszeć i odróżnić „jeden głos o najbardziej szczególnym akcencie, tajemniczy, ale nie pozwalający się pomylić z jakimkolwiek innym, surowy i słodki równocześnie, łagodny i potężny, głos cichy i tajemniczy, który jakby dręcząc rozbrzmiewa wewnątrz i który rozbrzmiewa na zewnątrz jakby uspokajając, poprzez zaufanie do pogodnej i autorytatywnej rady, do wezwania, które interpretując ten głos wewnętrzny nazywa go głosem Bożym i ukazuje, że jest on właśnie zwrócony do młodzieży, nie bojącej się rzeczy wielkich, a wzdragającej się raczej rzeczy złych i przeciętnych; głos, który jest równocześnie zaproszeniem i rozkazem, głos prosty jak westchnienie i głęboki jak dramat, głos Chrystusa...” Usłyszenie tego głosu prowadzi do nawiązania dialogu z Tym, który mówi. „Wy wiecie — powiedział papież — jak się ten dialog nazywa. Nazywa się: powołanie”. Powołaniem jest jednak jeszcze coś: mianowicie łaska dosłyszenia innych głosów, „błagających głosów świata, głosu niewinnych dusz, głosu cierpiących, głosów ludzi pozbawionych pokoju, pociechy, nie mających przewodnika, pozbawionych miłości...”

Kapłaństwo nie może być dzisiaj szukaniem życia spokojnego, pełnego ładu, ustalonego porządku, konformizmu, sojuszu z silnymi i dobrze myślącymi. Skończył się u nas „sojusz dworu z plebanią”, o którym pisał Witos. Pozostał tylko jeden sojusz: z ludem. Ale i tu pamiętać trzeba, że dokonuje się on na innej niż dyktowana przez

ziemskie wyrachowania zasadzie: „Kto jest z ludem, ten ludowi nie schlebia” — powiedział Żeromski.

„Zostaliście wciągnięci w dramat zbawienia świata” — przypomniał papież przyszłym kapłanom. W dramat, nie w sielankę. Może powołanie dało już nam spróbować gorzkiego smaku niepopularności niezawinionej, niezrozumienia. Może wbrew usposobieniu musieliśmy stanąć nie po stronie większości, złożonej z ludzi zacnych, poważnych, przyzwoitych i „pobożnych”, lecz po stronie mniejszości lub nawet pojedynczego człowieka, zaszczonego przez tę zbiorowość na śmierć w imię moralności lub religii, „aby wyświadczyć przysługę Bogu”.

Bardzo taktownie krytycy filmowi piszący z pozycji laickich nie zwrócili uwagi na fakt, że znakomity film Petera Fleischmanna *Sceny myśliwskie z Dolnej Bawarii* zaczyna się sekwencją ukazującą niedzielną mszę. Bawarscy „katolicy szanowni” uczestniczą pod przewodnictwem swego proboszcza w sumie niedzielnej. Ta sama wspólnota chrześcijańska osaczy wkrótce tak okrutnymi szyderstwami i nienawiścią chłopaka oskarżonego o homoseksualizm, że skatuje on dziewczynę w ciąży. Film zakończy się jednak pogodnym kiermaszem i tańcami w bukolicznej aurze, podczas których pod wodzą wójta i zacnego duszpasterza, popijających piwo, weselą się wszyscy z oczyszczenia atmosfery pod względem moralnym: zbroczenie zostanie, jak można się spodziewać, skazany na dożywotne więzienie, a rozpustna dziewczyna i jej nieślubny płód zostały już zapewne pogrzebane, co jest wszak rozwiązaniem jeszcze bardziej definitywnym i uspokajającym.

„Zostaliście wciągnięci w dramat zbawienia świata” — Paweł VI nie tylko powiedział te słowa, ale we wstrząsający sposób je ilustruje swoim życiem, swoją działalnością, swoją wrażliwością. Czy przyjrzelśmy się kiedyś uważnie, na dużej fotografii, obecnemu papieżowi? Przyjrzyjmy się tej udręczonej, spalanej niewidzialnym ogniem twarzy. Pomoże to nam zrozumieć, do czego został wybrany z ludzi ten najwyższy kapłan Kościoła Jezusa Chrystusa. Zobaczmy, jak on się uśmiecha: rzadko kiedy można zobaczyć coś równie bolesnego. Ten człowiek nie tylko czuje się

odpowiedzialny za Kościół taki, jaki jest i w tej chwili musi być, ale poczuwa się także do tego, by swoją działalnością, pracą i udręką dopełniać „czego nie dostaje cierpieniem Chrystusowym”, żeby za tę cenę pomagać światu.

„Nowy zaciąg...” Co roku, na przełomie maja i czerwca, w większości diecezji polskich odbywają się święcenia. W mniejszych i większych parafiach ludzie cieszą się, że dostaną nowego księdza. Rzadko gdzie można przeżyć to, co u nas; to, co sam przeżyłem odprawiając z lękiem i poczuciem niegodności pierwszą mszę: siłę, jaką daje będący obok tłum ludzi, zespolonych nabożeństwem. Pamiętam, jak w czasie rekolekcji przed święczeniami ojciec Bratek, jezuita, człowiek wielkiej świętości, mówił nam ze łzami: ludziom u nas brak tylu rzeczy (było to w roku 1952), ale do jednego mają absolutne prawo, jedno muszą otrzymać: dobrych księży.

„Nowy zaciąg” dłońmi, na których jeszcze nie obeschło krzyżmo, ścisła ręce kolegów, żegna się z belframami, pakuje walizki. Wyjazd na wakacje — ale już inne, choć wszystko jest tak samo. Jest początek lata, zboża już się zaczynają kłosić. Wkrótce będą żniwa.

Na Pomorzu nowo wyświęceni zostają z reguły kierowani do parafii wiejskich. Chyba pozwala im to odnaleźć siebie w kontakcie z ludźmi żyjącymi w bardziej naturalnym środowisku, pozwala okrzepnąć i nabrać sił w świecie rządzącym się prawami starszymi od ludzi.

„Żniwo wprowadzie wielkie, ale robotników mało — mówi Pan Jezus. — Proścież tedy Pana żniwa, aby wysłał robotników na żniwo swoje” (Łk 10, 2-3). Niektórzy z nich może po raz pierwszy przeżyją na wsi radosny i poważny korowód pór roku, który zacznie się dla nich od środka: od lata, właśnie od żniw.

Może dostrzegą w tym wielką metaforę czasu, życia i powołania?
Jakże to pisał Iwaszkiewicz?

Kłosa pochylone
kłosa z podniesioną głową
na tle obłoku bielutkiego
kłosa jak plecy skaczących z trampoliny
kłosa owsiane jak strusie pióra
kłosa zbiorowisko przestraszonych
poddających się ufnie
kłosa śmierci
kłosa życia
Jutro będą żniwa.

CZAS KOŚCIOŁA

Rzekł król
sługom swoim:
«Idźcie więc
na rozstajne drogi
i zaproście na ucztę
wszystkich,
kogo tylko spotkacie»



Rzym nie leży na wzgórzu, ale na pagórkach, których jest więcej niż siedem. Płowe, rozleniwione jesiennym upałem miasto grzeje się w słońcu. Za każdym razem, nieodmiennie, budzi zachwyt swoją dojrzałością, trwaniem, ciągłością. Żadna ruina nie jest tutaj martwa, żaden wątek nie został tutaj przecięty, nic nie skończyło się tutaj definitywnie. W przeciwieństwie do Grecji, gdzie starożytność skończyła się jakby ucięta nożem, tu wszystko jest jej dalszym ciągiem. Tu widać, że czas człowieka jest czasem otwartym.

To miasto przeszło jednak niejedną klęskę. Jego mury — *Wergiliuszowskie alta moenia Romae* — nie były w stanie zagwarantować mu przetrwania. W chwilach najtragiczniejszych Rzym bywał miastem otwartym, jak w roku 1944; pamiętamy jeszcze film *Roma città aperta*.

Największe swoje zwycięstwo odniósł Rzym nie w momencie posiadania najpotężniejszej siły militarnej i związanej z nią możliwością ekspansji, lecz w momencie fizycznej słabości. Barbarzyńcy sforsowali jego mury, jakby w celu otwarcia drogi temu, co te mury w jakimś sensie ograniczały i więziły, a co wyzwolone i zuniwersalnione miało nadać najgłębszy ton kulturze europejskiej. Zwyciężając Rzym, barbarzyńcy ulegli r z y m s k o ś c i, łacińskości już wtedy związanej z chrześcijaństwem, którą początek epoki nowożytnej miał wynieść daleko poza granice Europy.

To miasto wiecznie młode — nigdy nie mogę się oprzeć wrażeniu, że jest to najmłodsze miasto w Europie — położone na pagórkach, otwarte w stronę morza i łądu, wydaje mi się wielką metaforą nie tylko kultury łacińskiej, ale i chrześcijaństwa, które obrało sobie stolicę tutaj, „gdzie nawet Chrystus jest Rzymianinem”. Chrześcijaństwa porównanego przez swego Założyciela do miasta położonego na wzgórzu i do świecy płonącej na świeczniku.

To wszystko przychodzi na myśl, gdy się patrzyło na Rzym soborowy, otwarty dla wszystkich bez wyjątku. Obrady „parlamentu Kościoła” toczyły się przecież w obecności innowierców, od drugiej sesji począwszy brali w nich udział świeccy audytorzy, tajemnica soborowa uległa ograniczeniu — wydaje się, że wszystkie te zjawiska wyniknęły ze zrozumienia tego właśnie obrazu Kościoła, podobnego do miasta zbudowanego na górze.

Kościół nie może się ukryć, będąc miastem wzniesionym na wzgórzu. Kościół nigdy nie chciał być tajną organizacją. Może dzisiaj — powie ktoś — Kościół nie może się ukryć, bo jest go dużo,

bo ma rozbudowaną organizację i miliony wyznawców, bo prowadzi tysiące instytucji, ale nie było tak w pierwszych wiekach chrześcijaństwa. To prawda, że pierwsi chrześcijanie gromadzili się na nocnych zebraniach, poświęconych liturgii czy modlitwie. Zbierali się jednak nocą nie dlatego, że lubili ciemności, choć tak przypuszczano i nazwano ich *latebrosa et lucifuga natio* — ludźmi mrocznymi i uciekającymi przed światłem, lecz przeciwnie, jakby pędzeni dziecinnym lękiem przed ciemnością, by nie byli sami wobec nocy, o której to porze zresztą, jak się spodziewali, przyjdzie Pan. Wiedzieli, że zostali powołani do tego, by żyć w świetle, i modlili się nocami, „by światło znów weszło nad nimi” — jak pisze św. Cyprian Kartagińczyk, to światło będące odbłaskiem światła przyniesionego przez Chrystusa, Słońce Sprawiedliwości. Chcieli żyć na powierzchni, przebywać na placach, ulicach, w urzędach, termach i na stadionach, jak o tym pisali w swoich apologiach, chcieli żyć w słońcu.

Minęły setki lat i chyba zapomnieliśmy, jaki był wewnętrzny klimat pierwotnego chrześcijaństwa, skoro z taką niefrasobliwością odgrazamy się niekiedy, że jesteśmy gotowi zejść do katakumb. Tak można było jeszcze mówić w czasach — powiedzmy — Sienkiewicza, kiedy archeologia chrześcijańska stawiała pierwsze kroki. Dziś wiadomo już dokładnie, że Kościół w starożytności nie żył w katakumbach. Katakumby były podziemnymi cmentarzami i kult w nich ograniczony był do uczt żałobnych. Życie sakramentalne Kościoła krzewiło się w domach prywatnych (*domus ecclesiae*), a skoro tylko powstawały po temu możliwości — w bazylikach.

Zejście do katakumb to zejście do podziemnego cmentarza. Trudno o bardziej złowrogi symbol. Bez względu na to, czy chcemy, czy nie, bez względu na zagrożenia i lęki, powołani jesteśmy, by stanowić miasto wzniesione na wzgórzu, z daleka świecące w słońcu.

Jerozolima w czasach Chrystusa była miastem warownym, otoczonym murem. Broniły jej wieże. Ponieważ egzekucji nie wolno było dokonywać w obrębie miasta, Chrystus został z niego wyprowadzony i ukrzyżowany poza murami, na wzgórzu, *extra civitatem*. Urodził się także poza miastem.

Strach, największy wróg wolności. Paroksyzm strachu wśród apostołów po aresztowaniu Chrystusa, po Jego śmierci. Zabarykadowany wieczernik — „z obawy przed Żydami”. Zmartwychwstały musiał przedostać się przez zamknięte drzwi. Gdyby nie zstąpienie Ducha mocy, chrześcijaństwo do dziś pewnie nie opuściłoby wieczernika.

Wielu współczesnych katolików zapewne przyklaskiwałoby takiej postawie: poza wieczernikiem był świat wrogi, bezbożny, pełen grzechów, kryjący niezliczone możliwości błędzenia. Trwanie w zaryglowanym Kościele w atmosferze niezłomności — to postawa bezpieczna.

Pół biedy, gdyby Kościół odgraniczał się murem od zła i niewolności panującej w świecie, sam stanowiąc oazę ducha ewangelicznego. Mur jednak, zbudowany dla obrony od zewnątrz, pozostaje murem, gdy nań patrzeć od wewnątrz. Każdy mur ma dwie strony. W społeczeństwach zamkniętych, zaryglowanych, defetystycznych zaczynają z przerażającą prawidłowością działać prawa socjopsychologiczne, charakterystyczne dla oblężonych cytadeli.

Wizja Kościoła jako oblężonej twierdzy przywołuje odpowiednią atmosferę wewnętrzną, domaga się wprowadzenia stanu wyjątkowego. Wprowadzenie go ogromnie upraszcza sytuację: wyjątkowa sytuacja, a więc wyjątkowe środki, wyjątkowe ograniczenia, wyjątkowe wzmocnienie władzy, wyjątkowy terror. Każdemu można zamknąć usta argumentem szkodliwości — nie obiektywnej, broń Boże, skądże, lecz wyłącznie *hic et nunc* — jego

wypowiedzi, które mogą zostać wykorzystane przez wrogów. Taktyka zostaje podniesiona do rangi najwyższej z cnót, etyka sytuacyjna zaczyna — zrazu nieśmiało — podsuwać różne nader praktyczne rozwiązania.

Czy w Kościele, w jakichkolwiek warunkach, może zapanować atmosfera stanu wyjątkowego?

Zacznijmy *ab ovo*: czy Kościół powstał w warunkach wyjątkowych czy normalnych? Jego Założyciel, szykanowany przez całe życie przez władze rzymskie i przywódców żydowskich, zginął zamordowany. Ten sam los spotkał dziesięciu z Jego dwunastu towarzyszy. Pierwsze gminy rozwijały się w warunkach odpowiadających w pełni naszemu wyobrażeniu o stanie wyjątkowym: dyskryminacje, prześladowania, konfiskaty mienia, deportacje, aresztowania, wyroki śmierci. Istnienie naszej religii wisiało na włosku, zależało, po ludzku patrząc, od tego, czy przeżyje tę sytuację kilkunastoosobowa garstka ludzi. Było dramatyczniej i gorzej niż kiedykolwiek później, zagrożenie było całkowite, bezpośrednie, fizyczne.

W tym czasie zostały spisane Ewangelie i Dzieje Apostolskie. Czy w tych księgach odbiła się owa dramatyczna, najzupełniej wyjątkowa sytuacja? Czy jest w pismach Nowego Testamentu atmosfera zagrożenia, klimat getta, psychoza oblężonej twierdzy, czy jest w nich zaciekłość, jakże pożyteczna w walce?

Czy poza opisem zabarykadowanego wieczernika — zabarykadowanego do momentu zstąpienia Ducha Świętego, bo od tej chwili Kościół otwiera się na świat — znajdziemy w Nowym Testamencie jakiś inny symbol stanu oblężenia? Czyż wszystkie te księgi nie oddychają świeżym powietrzem otwartych na przyszłą historię przestrzeni? Czy nie są dokumentem wolności, pogody, nadziei?

Oblany morzem niezrozumienia, wrogości, czy nawet otwarcie prześladowany, Kościół poniósł w świat dobrą nowinę, która miała z niego uczynić wyspę wolności.

Oportet haereses esse. Mówi się czasami, że herezje — koniec końców — miały i swój dobry efekt: dzięki nim uściślano i precyzowano naukę Kościoła. Bardzo ładnie, ale cena tych uściśleń wydaje się nieco wygórowana: płacili ją wyrzuceni za burtę ludzie błędzący czy też uwiedzeni przez doktrynerów. I wewnątrz, wewnątrz Kościoła zachodziły bolesne zmiany. Zapominając, że *abusus non tollit usum*, Kościół niejednokrotnie wychodził ze zwycięskiej walki z herezją z twarzą stężalą i zaciętą, uszczuplając wewnętrzne wolności, które — jak twierdzili opatrznościowi mężowie — były przyczyną herezji.

To właśnie było największym triumfem herezji, że ich duch jednostronny, sekciarski potrafił się przesaczyć do wnętrza walczącego z nimi na zewnątrz Kościoła i zakazać jego krew nietolerancją, porażać Kościół w jego misji głoszenia zbawienia, będącego wyzwoleniem.

Luterański chorał *Ein' feste Burg ist unser Gott*: „Bóg jest naszą twierdzą”. Wiatr, który niósł te słowa, łopotał chorągwiami wojen religijnych XVI i XVII wieku. Reformacja była wielkim upomnieniem się o wolność chrześcijańską, przypomnieniem, że jej ostatnią twierdzą jest sumienie. Luter miał powiedzieć na sejmie w Wormacji: „Tak jak tutaj stoję, niech mnie Bóg osądzi, ja nie mogę inaczej”. Ale i wtedy wolność chrześcijańska została zdradzona: wydano ją książętom. Geografia miała stanowić o religii, władca o wierze swoich poddanych. Zasada *cuius regio, eius et religio* okazała się zresztą mądra i praktyczna.

Tak to już początek nowożytności po zniszczeniu uniwersalizmu średniowiecza ufortyfikował religię chrześcijańską, podzieloną wedle pańszczyźnianej zasady: *religio glebae adscripta*. Religię zaczęto utożsamiać z terytorium czy narodem, a Boga — z twierdzą. Bóg wprawdzie pozostał ten sam ponad wszystkim, po obu stronach wszystkich granic, murów i barykad, ale ludzie z coraz większą wprawą czynili z Niego na własny użytek zasadę podziału.

Wolność — także w Kościele — może być zagrożona z dwóch stron: są ludzie, którzy mają apetyt na cudzą wolność, i ludzie, którzy boją się ciężaru własnej wolności. Erich Fromm poświęcił temu zagadnieniu książkę pt. *Ucieczka od wolności*. Przypomnijmy sobie zresztą choćby Wielkiego Inkwizytora Dostojewskiego: ludzie w ogromnej większości akceptują tych, co zgodzili się znosić za nich ciężar wolności i odpowiedzialności. Psioczą na nich, ale przeważnie nie kwapią się z odbieraniem im władzy. „Otchłań przyzywa otchłań” — jak mówi Psalmista: infantylizm (choroba wieku) rządzonych warunkuje paternalizm rządzących. I na odwrót, ku ogólnemu (chyba?) zadowoleniu.

Wolność. Dorośli bez niej się duszą, dzieciom rozrywa ona słabe płuca. Komu wolność, komu? Wolność, czyli „każdemu to, na czym mu mniej zależy”?!

Wspominam spotkanie z księdzem Hansem Küngiem w Rzymie, 6 października 1963 roku, na przyjęciu ku czci Jean Guittona. Guitton na fotelu pomiędzy dwoma kardynałami, dwóch innych z boku na kanapie. Purpura, fiolety, łańcuchy. Ambasador francuski. Ksiądz Gauthier z Nazaretu, budujący własnoręcznie domy dla Arabów, w strasznie pomiętych spodniach, bez koloratki, w czarnej koszuli. Bracia z Taize. Rozmowa z księdzem Karlem Rahnerem.

Küng na pytanie, czy by się nie wybrał do Polski, mówi o swojej delikatnej w tej chwili sytuacji... pewnie w wyniku odczytów amerykańskich. Jerzy Turowicz, obecny na sali, wyglądał jak mógł ich przekład, który ukazał się w „Tygodniku Powszechnym” pt. *Kościół i wolność*, ale i tak rzecz była za mocna, nie wszystkim się podobała. Komu się może dziś podobać pisanie o wolności? Zadzierzysty Küng z bujną blond czupryną nie wyglądał jednak na zmartwionego. Ma chłop odwagę, swoją drogą.

Pojechać do Stanów i tam, gdzie Sobór sprowadza się do innowacji liturgicznych, powiedzieć to, co powiedział...

Zarzucono mu, że obnażył słabości Kościoła. Objawił ich chyba nie więcej, niż to obejmuje program nauczania historii Kościoła na poziomie licealnym. A zresztą, powiedzmy sobie raz szczerze: kto ma mówić o słabości Kościoła jak nie katolicy? Czy szynostów obchodzą te rzeczy bardziej niż nas? Wydaje się, że na świecie zacznie być lepiej, gdy każdy zajmie się swoimi słabościami. Niech katolicy zajmą się swoimi grzechami przeciwko wolności i tolerancji, a na przykład ateści swoimi. Będzie to i przyzwoiciej, i kulturalniej, i przede wszystkim skuteczniej... bo bliższa koszula ciału, bo diagnozy będą dokładniejsze, skąd i możliwość terapii większa, jako że na własnym podwórku ma się mimo wszystko szersze możliwości działania.

„Człowiek walczący upodabnia się czasem do przeciwnika. Jeżeli w walce z totalizmem używa się środków właściwych totalizmowi, to niepostrzeżenie przekształca się własną sprawę. W walce z potworem można samemu stać się potworem. W ten sposób nawet gdy odniosło się zwycięstwo, przegrało się bitwę, ponieważ stworzyło się dla samego siebie królestwo potworów. Gdyby miało się zdarzyć, że to, o co się walczy na zewnątrz, zostało wewnątrz pogrzebane, walka byłaby pozbawiona sensu”. (Karl J a s p e r s, *W walce z totalitaryzmem*, „Confluence” 1954).

Kiedy piszę te słowa, Sobór, nazwany przez Jana XXIII nowym Zesłaniem Ducha Świętego, trwa. Drzwi wiecznika, dawniej lekko zamknięte, są dziś otwarte. Kto chce, może zajrzeć do wnętrza Kościoła. Miasto położone na wzgórzu jest bardziej niż kiedykolwiek widoczne i otwarte. Czas wielkich na-

dziei. W pierwszym tygodniu drugiej sesji znienacka zarządzenia dotyczące Teilharda de Chardin i zakaz sprzedaży książki Kaisera *Inside the Council*. Byliśmy właśnie w księgarni kościelnej, mieszczącej się vis á vis biura prasowego Soboru...

Kościół ma obowiązek walki z błędem. Tylko czy nie wystarczyłoby w takim jak ten przypadku po prostu zajęcie stanowiska, wykazanie pomyłek czy punktów niebezpiecznych, czy nie wystarczyłaby polemika? Czy na słowo nie wystarczy odpowiedzieć słowem, a na książkę — książką?

Uważamy za krzywdzącą niesprawiedliwość, gdy na katolickie kazania, książki czy artykuły odpowiada się gdzieś w podobnie bezceremonialny sposób — ale czyż są różne miary, różne reguły gry, różne moralności? Dopóki w naszym oku tkwi choćby najmniejsze źdźbło, nie mamy moralnego prawa krzyknąć o belce w oku przeciwnika.

„Dziś, gdy wolność jest tak boleśnie zagrożona z zewnątrz i z wewnątrz, Kościół bardziej niż kiedykolwiek musi dążyć do tego, by — w wolności — był gościnnym domem dla wszystkich ludzi dobrej woli”. To cytat z Kūnga. Kapitalna szansa Kościoła: *qui potest capere capiat*, nie upominać się w kółko o swoją wolność, wytrzymać nawet, żeby nie mówić o wolności religii, kultu itd. Mówić po prostu o wolności człowieka i jego sumienia, która wszystkie te wolności zawiera.

Na tym polegało wielkie odkrycie Jana XXIII, że w encyklikach swoich mówił nie tyle o sytuacji katolika, chrześcijanina czy nawet człowieka wierzącego, co o sytuacji i prawach człowieka w ogóle. Jan XXIII ukazał przedkonfesjonalny charakter Kościoła. Okazał wielkość serca, której świat zawsze od chrześcijaństwa się spodziewał, na którą — podświadomie może — czekał. Papież zobaczył po prostu człowieka. Nie można nie przypomnieć tutaj Norwida:

... Dewocja tylko tego nie postrzegła,
Że za kościołem c z ł o w i e k o ratunek woła,
Że kona - że ażeby krew go nie ubiegła,
To ornat drze się w pasy i związuje rany...

Dla Kościoła bije godzina szczególnej próby i niepowtarzalności szansy: przemówienia do świata nie tylko w imieniu Boga, ale i w imię człowieka, upominając się o jego prawa.

To nie może być gest zewnętrzny, taktyczny, obliczony na chwywanie dusz. Do Kościoła, tak niebywale przez Sobór otwartego, zaglądamy dziś miliony oczu. Jakże łatwo mógłby się Kościół spotkać z radą: „Lekarzu, ulecz samego siebie”, gdyby nie zdobył się na stworzenie autentycznego klimatu Ewangelii, na danie ludziom wewnątrz Kościoła świadomości wyzwolenia i wolności: „Chrystus was odkupił, nie bądźcie niewolnikami ludzi”. Ten wewnętrzny klimat chrześcijaństwa przekona nieporównanie więcej ludzi niż wszystkie lakiernicze wysiłki tanich apologetów.

Człowiek wyzwolony przez chrześcijaństwo, człowiek wolny w Kościele, nie może swojej wolności lekko zachować na swój własny użytek, jak sługa, co zakopał biblijny talent ze strachu przed panem. Wolność zawsze posiada sens dynamiczny, jest zaraźliwa. Nie może się ukryć miasto położone na wzgórzu. Przyzwyczajając swoje dzieci do wolności i jej ciężaru, wyrażającego się w odpowiedzialności, Kościół spełni wobec świata swój obowiązek matki i nauczycielki. Przewycięzenie infantylności jednostek i całych społeczeństw jest nakazem chwili — on bowiem jest najlepszym sojusznikiem totalizmu.

To wszystko czynić musimy z największą szerokością serca — do kogóż jak nie do Kościoła, do nowego i wolnego Jeruzalem, odnoszą się te słowa proroka, które czytamy w liturgii święta Trzech Króli: „Wszyscy oni zgromadzili się, przyszli do ciebie... zadziwi się i rozszerzy serce twoje”. Ta szerokość serca nakazuje „drzeć ornaty”, rozdzierać przez wieki narosłe czy najmilsze przyzwyczajenia, jeśli tym kosztem można opatrywać rany — także tych, co krwawią poza Kościołem.

Bo jest dziś na pewno wielu takich, co nie będąc katolikami, ani nawet chrześcijanami, patrzą na Kościół z nadzieją. Dla których nasze miasto na wzgórzu jest miastem ostatniej ucieczki.

Ale jak to jest: być w Kościele? Niewierzący wyobrażają sobie ten stan jako sytuację bezkonfliktową, spokój wypływający bądź ze zjednoczenia z Bogiem, bądź z bezmyślności i wygody. Rzeczywiście, obydwie te sytuacje bywają udziałem katolików. Drugą kategorią nie będziemy się tu zajmować, a co do pierwszej... Bóg w równej mierze zdaje się darzyć łaską pokoju i niepokoju, Chrystus równie stanowczo zapowiadał pokój i miecz. Można w Kościele doświadczyć wiele pogody i radości. Kiedyś dane mi to było przeżyć naiwnie, ale namacalnie: kiedy po latach odprawiania nabożeństw w nielicznych i siłą rzeczy anemicznych ośrodkach polskiego rozproszenia za granicą byłem po raz pierwszy w kaplicy rodzimego seminarium: grzmot głosów, młodych, silnych. Zbiorowość, wspólnota — Boże, jakże ciągle jesteśmy kuszeni przez potrzebę „siły”... Można jednak doznać w Kościele samotności i cierpień boleśniejszych niż gdzie indziej. Niechże opowie o tym wielki teolog i człowiek, któremu Bóg nie oszczędził swego czasu tego rodzaju doświadczenia, ojciec de Lubac:

„W Kościele są słabości, jest zmieszanie boskiego z ludzkim. Ludzie zadają sobie nawzajem cierpienia.

„Wzajemne pragnienie dobra, tego samego dobra — nie przeszkadza godzinom tragicznym.

„Są możliwe rany głębokie, nie mające analogii w doświadczeniach czysto ludzkich, bo w tej społeczności jedni mają możliwość dotknięcia drugich aż do miejsca wewnętrznego połączenia ducha z umysłem. Istnieje władza tak silna i dogłębna, że nie wystarcza jej znieść nawet z cierpliwością, ale trzeba przyjąć, i to dobrowolnie, to, co ze strony innej władzy byłoby gwałtem. Bo to aż tam — idzie posłuszeństwo katolickie. [...]

„Możemy być niezrozumiani. W łonie Kościoła nawet — możemy cierpieć prześladowanie. Wtedy pozostają nam: cierpliwość i miłujące milczenie. Trzeba myśleć, że Kościół nigdy nie daje nam lepiej Chrystusa jak w momentach męki. Będziemy dalej Mu służyć naszym świadectwem wiary.

„Doświadczenie może być bardziej ciężkie, jeżeli przychodzi nie przez złośliwość ludzi, ale przez istnienie jakiejś sytuacji: bo wtedy nie wystarczy zapomnienie o sobie czy wybaczenie innym. Bądźmy jednak szczęśliwi, bo Ojciec widzi w ukryciu. W ten sposób będziemy mieć udział w Wielkim Piątku. Bądźmy szczęśliwi, bo w ten sposób okupujemy ceną krwi swej duszy doświadczenie wewnętrzne, które może się okazać skuteczne, gdy będziemy podtrzymywać brata słabnącego..., będziemy mogli mu mówić za św. Janem Chryzostosem: Nie odchódź od Kościoła! Żadna potęga nie ma siły. Twoja nadzieja — to Kościół. Twoje zbawienie — to Kościół. Twoja ucieczka — to Kościół” (*Meditation sur l'Église*).

I jeszcze raz to samo doświadczenie, tym razem w ujęciu katolika świeckiego. Mauriac w *Block-Notes*, w „Le Figaro Litteraire” z soboty 27 lipca 1963 napisał: „Miarą naszej wierności dla Kościoła jest to, co potrafimy wycierpieć w Kościele i przez Kościół”.

Trzeba jednak pomyśleć choć czasem o tym, ile przez nas cierpi Kościół, czyli wspólnota wierzących, ta wielka, powszechna, i małe wspólnoty chrześcijańskie, których jesteśmy członkami. Był tego świadomy książę humanistów, Erazm z Rotterdamu, gdy pisał: „Dlatego znoszę ten Kościół, dopóki nie zobaczę lepszego, Kościół zaś zmuszony jest zapewne również znosić i mnie, dopóki sam lepszy się nie stanę”. Za wiele nadziei związaliśmy w epoce posoborowej ze sprawą zmiany struktur, zbyt mało wysiłku kładziemy w zmienianie ludzi, przede wszystkim samego siebie. Uwierzyliśmy, że przemiany dokonają się głównie w wyniku przesuwania ołtarzy i ambon, a nie w wyniku przesunięć w głowie i sercu pojedynczego człowieka i ludzi ku ludziom.

Nowa wizja Kościoła — nowe ukształtowanie kościoła. Świeccy i duchowni stoimy wokół ołtarza i przez ołtarz, który symbolizuje Chrystusa, patrzymy sobie w oczy. Nawet starzy księża nagle przekonują się do nowej liturgii, co więcej, mówią, że raz zacząwszy, nie czują się już dobrze, gdy przyjdzie im odprawiać dawnym sposobem, tyłem do wiernych. Ludzie spragnieni rozstrzygnięć z a s a d n i c z y c h irytowali się, że Sobór zaczął od reformy liturgii. A to nie było ani naiwne, ani spowodowane pragnieniem uniknięcia wielkich spraw. Kryła się w tym wielowiekowa mądrość, którą w pełni potwierdzają doświadczenia psychosocjologiczne. Każda zmiana, każda rewolucja musi być związana z działaniem symbolicznym. I oto tak powoli, niepostrzeżenie, zaczynają się zmieniać postawy ludzi w Kościele.

Patrzymy sobie w oczy, duchowni i świeccy. Trzeba „zachować twarz”, a może zdobyć? Jawi się z nową natarczywością problem u c z c i w o ś c i w K o ś c i e l e. W dobie, kiedy tym, co naprawdę gorszące, jest nieszczerłość, obłudność, zakłamanie, triumfalizm, fasadowość, lakiernictwo, upominamy się o ludzką twarz chrześcijaństwa. To, co ludzkie, nie jest gorszące. „Jest bardzo niebezpiecznie — pisał w roku 1963 w „Etudes” ojciec R. Rouquette w związku z papieżem Janem XXIII — marzyć o Kościele złożonym z aniołów, rządzonym przez anielskich ludzi. Mityczny kult jednostki nie pomaga posłuszeństwu, wręcz przeciwnie. Grozi nam wtedy odrzucanie przełożonych po prostu ludzkich, o zwykłej inteligencji i względnej świętości”. Jest rzeczywiście coś głęboko demokratycznego i słusznego w fakcie, że w Kościele, podobnie jak w Szwajcarii, istnieje swoisty — proszę mnie dobrze zrozumieć — kult przeciętności. Jakże straszliwą miarę wymagań przykładają do innych ludzie niezwykli, o ponadludzkich właściwościach, nawet święci, jakże niektórzy z nich odbijają od jednego pod tym względem wyjątku: od Jezusa.

Być w Kościele z pokorą. Nie mamy żadnego prawa tu być, poza tym, które daje nam krew Jezusa. Jesteśmy zaproszeni na ucztę.

Rzeczywistość Kościoła odbija po dziś dzień to, co Jezus powiedział w przypowieści o zaproszonych na ucztę. Są w tej przypowieści trzy kategorie ludzi: pierwsza — to zaproszeni i godni, ci, co powinni być, posiadający wszelkie kwalifikacje towarzyskie i moralne. Ci często w ogóle nie przychodzą, nie zależy im na zaproszeniu. I bez niego czują się dostatecznie uhonorowani. Druga — to „ubodzy, ułomni, chromi i ślepi”. Jezus mówił to, żeby przeciwstawić się choćby qumrańczykom, którzy wymagali od kandydatów do swojego bractwa zdrowia i doskonałości fizycznej. Jezus, który interioryzował zagadnienia, miał tu pewnie na myśli słabości moralne. On jeden z wielkich mistrzów ludzkości nie brzydził się grzesznikami, gromadził nieudaczników. Oni mają prawo być w Kościele, jak chorzy w szpitalu. Tylko nigdy nie powinni zapominać, skąd, z jakich dołów wyprowadziła ich łaska, a tymczasem iluż wynosi się ponad braci. Wreszcie trzecia kategoria: ci pozbierani „z dróg i opłotków”, „p r z y m u s z e n i” przez Boga. Także ci, co urzeczeni Kościołem krążą wokół niego, nie mogąc się zdecydować na krok decydujący: Simone Weil, Bergson, Koniński, Werfel... Pewnie o takich ludziach między innymi myślał Pascal, gdy pisał: „Nie szukałbyś mnie, gdybyś mnie już nie posiadał”. Wielu z nich przewyższa swoim poziomem duchowym nas, którzy jesteśmy wewnątrz. To też powinno uczyć pokory.

Wolność w Kościele oznacza także prawo do posiadania prawdy i prawo dzielenia się nią z innymi. Oznacza to prawo do informacji — możliwie pełnej, nie spreparowanej infantylnie *ad usum delfini* — i prawo do krytyki. Niewiele jest rzeczy równie złowrogich dla jednostek i społeczności jak bezkrytycyzm. Krytyką samego siebie jest każdy rachunek sumienia, każda spowiedź. W liturgii będącej szkołą życia chrześcijańskiego istniała zawsze spowiedź powszechna. Żaden organizm społeczny nie może na dłuższą metę żyć bez prawdy. Naturalną konsekwencją przemilczeń, nieszczerości i kłamstw musi być apatia i obumieranie.

Wszystko staje się wtedy nieautentyczne i co gorsza, nie można uruchomić żadnych sił działających na rzecz odnowy. Chrystus mówił: „Prawda was wyswobodzi”. Może kiedyś doświadczyliśmy paradoksalnego przeżycia: powitania z uczuciem ulgi jakiejś strasznej prawdy. „Już się stało — pomyśleliśmy — i to jest tylko tyle. Już nic gorszego stać się nie może”. Poczuliśmy, że od tej chwili atmosfera musi zacząć oczyszczać się. Może było nam dane doświadczyć, że nie można poderwać ludzi, wyrwać ich z obojętności i niewiary w sens działania, dopóki nie powie się im po prostu prawdy. Dopóki się tego nie zrobi, wszystkie zmiany na lepsze przyjmowane są z rezerwą, wyczekująco.

Rzadko kiedy w ciągu wieków naszej historii ceniliśmy, Polacy, krytykę. Przenosiliśmy „miłą nieprawdę”, jakiej domagali się Izraelici od swoich proroków, nad jasne określenie sytuacji, woleliśmy mdłą i powierzchowną zgodę narodową niż obraz istniejących różnic. W gorzkiej „fraszce” zatytułowanej *Zdrowy sąd* pisał o tym Norwid:

Oj! zasługuje na wielką naganę,
Kto k a l a gniazdo własne — ale taki,
Co widzi, ile gniazdo jest skalane,
To mi dopiero łotr, to lada jaki!...

A w Kościele? Pius XII w przemówieniu wygłoszonym 17 lutego 1950 roku postulował powstanie publicznej opinii i krytyki wewnątrz Kościoła, pomimo tego za jego pontyfikatu panowała ciągle zasada „wyciszania problemów”. Kompromisy i niedomówienia były i na Soborze, temu też można zawdzięczać burzliwą atmosferę ostatnich lat, która dopiero obecnie stopniowo się uspokaja.

Mimo wszystko jednak od Soboru sytuacja się zmieniła. Dotychczas Kościół uprawiał krytykę raczej *ad extra*, na użytek zewnętrzny, co świadczyło dobrze o jego altruizmie, bo szło przecież na to sporo cennej energii. Teraz, bardziej egoistycznie, zaczął myśleć o sobie. Może wtedy jakaś nowa Anna de Noailles nie będzie już mogła napisać: „Katolicyzm to moja teściowa”.

Warto by zrobić kiedyś rachunek sumienia z tego, jaki stworzyliśmy sobie wizerunek Kościoła, który często przekazujemy

innym. Czy przypomina on oblubienicę z *Pieśni nad pieśniami*, czy raczej starą damę, co siedzi na kanapie i ma za złe? Czy chrześcijaństwo w naszej realizacji i naszym przekazie jest wspaniałą przygodą z Bogiem, ryzykowną i trochę szaloną, czy nudną rutyną, tępym szablonem, praniem mózgow w letniej wodzie święconej? Czy w naszym przeżywaniu i głoszeniu Kościoła jest poezja? Przecież Chrystus był poetą. Czy chrześcijaństwo jest dla nas pierwiastkiem dynamizującym umysł i serce, odświeżającym wizję świata, poszerzającym wyobraźnię i pogłębiającym wrażliwość o nowe wymiary?

Szczególnie młodzież nie może znieść sztywnej maski, którą jej pokazujemy wmawiając, że jest to twarz Kościoła. Przychodzi tu znowu na myśl dwunastoletni Dawid, nie z Biblii, tylko nasz znajomy z *Golebich piór* Updike'a. Mam na myśli jego doświadczenie z Biblią i Kościołem (nie pocieszajmy się, że protestanckim); otóż, jak powiada Updike, Dawid „nigdy przedtem sam nie czytał Biblii. A zmieszał się, gdy go matka na tym przyłapała, bo nie cierpiał całego aparatu pobożności. Zatechłe kościoły, piskliwe hymny, brzydkie nauczycielki ze szkoły niedzielnej i ich głupia literatura — nienawidził w nich wszystkiego oprócz tego, że niosły obietnicę, obietnicę, która w najbardziej przewrotny sposób — jak gdyby najbrzydsza starucha w mieście dostała królewicza na męża — czyniła możliwymi wszystkie dobre, realne rzeczy: zabawy i żarty, i dziewczęta o wysokich piersiach”.

Czy to nie przypomina jakoś wizji Eliota zawartej w jego eklezjologicznym *Hipopotamie*, co to

Stanie się bielszy ponad śnieg
W dziewic męczeńskich tkliwym kole,
Gdy w miazmatycznej starej mgle
Prawdziwy Kościół utkwi w dole.

(przekład Jerzego Zagórskiego)

Pomyślmy, w jak zrzędnym, „mającym za złe” opakowaniu szła nieraz w świat Ewangelia. Jaki w efekcie musiała rodzić obraz Kościoła: zadufanej w sobie społeczności żyjącej w getcie, związku

zawodowego zbawionych, jedynej tratwy na falach potopu, obleżonej twierdzy. W dobie Soboru przyszło przejrzenie. Zrozumielśmy, że świat nie jest cały chrześcijański, choć wyrosliśmy w przekonaniu, że Kościół ogarnie wkrótce wszystkich, że jest to tylko kwestia czasu. A tymczasem ogromna część ludzkości żyje poza Kościołem widzialnym, a sam Kościół znajduje się — jak w czasach apostoelskich — w sytuacji diaspory, która, nie zapominajmy, jest sytuacją dynamiczną i o p t y m i s t y c z n ą: wszystko jest tu związane z nadzieją i przyszłością, podczas gdy Kościół „socjologiczny”, statyczny, pożerany jest ciągle lękami, czy i o ile kurczy się jego strefa wpływów.

Norwid — ten miał wizję Kościoła! I jak tu nie wierzyć w profetyzm poezji? Już w roku 1851 pisał do „petersbursko-wiedeńskich papistów”:

Gdybyście wiarę mieli, to już dawno
Widzielibyście, że glob jest Kościołem,
Który ma oną bazylikę sławną
Piotrową - niby ołtarzem i stołem...
Ale wam trzeba K o ś c i ó ł w o ł t a r z w c i s n ą ć
I zamknąć - i straż postawić przy grobie,
Żeby za prędko nie mógł Bóg wyblysnąć...

Dopełnieniem, wyjaśnieniem tego tekstu nie może być nic innego, jak definicja Vaticanum II: *Ecclesia sacramentum salutis totius mundi* — „Kościół jest sakramentem zbawienia całego świata”. Nie musi on objąć całego świata, by ocalić świat. Wszystkie chleby świata nie muszą być konsekrowane, żeby świat został zbawiony. Królestwo jest podobne do ziarna, fermentu, zaczynu, świecy na świeczniku, miasta na wzgórzu. My jesteśmy materią tego sakramentu. Tworząc Kościół, jesteśmy awangardą tych wszystkich, którzy idą ku zbawieniu.

W stosunku do Kościoła trwa ta sama atmosfera, która towarzyszyła Chrystusowi historycznemu: jego egzystencja i jej interpretacja budzi zgorszenie. Złożony jest z prawdziwych ludzi, nie z aniołów. Można go oglądać bardzo z bliska, bez żadnego dystansu. Jest szarpany paroksyzmami świata. Tymczasem zgodnie z wymogami etykiety powinien się zachowywać jak królowa podczas rozruchów w *Balkonie* Geneta: być niewidzialnym, nieruchomym, nieuchwytnym.

Siła i słabość Kościoła: „Ilekoć niedomagam — pisze św. Paweł — tylekoć jestem mocny” (2 Kor 12, 10). Przeczytajmy sobie wstrząsające kazanie Bonhoeffera po dojściu hitlerowców do władzy, gdy mówił o ironii Boga w stosunku do siły militarnej Gedeona. Z trudem zebrana garstka Hebrajczyków była dowodem, że Gedeon w gruncie rzeczy nie ufa Bogu, bo chce się posłużyć „środkami bogatymi”. Bóg powiedział mu: „Nie zwyciężysz, bo zbyt liczny jest lud przy tobie” (Sdz 7, 2).

Kościół nie może być wiecznikiem sprzed godziny dziewiętej, twierdzą, „Zamkiem” Kafki, „Urzędem” Brezy. Siła Kościoła to nie siła instytucji, administracji, nadzoru i represji. Siłą Kościoła jest: ufać Bogu.

Ach wolność, ach potęga, moc i blask Kościoła... ileż to rodzi pokus! Odsunąć, wyeliminować słabych, nieudolnych, skompromitowanych, zorganizować wszystko rozsądnie. A tu — ukrzyżowany jako przestępca Założyciel i pierwszy papież, który wyparł się pod przysięgą, że nie ma z Nim nic wspólnego.

Jak bardzo musimy wydorosnąć, by umieć dźwigać to, co jest podstawowym doświadczeniem życia, także w Kościele: niepewność. Właśnie nieumiejętność wytrzymywania sytuacji chwiejnej równowagi, która jest jedyną normalną sytuacją człowieka, rodzi fanatyzm, wynikający z potrzeby oparcia się o cokolwiek, choćby tym czymś miał być własny krzyk. To chyba Lacordaire

mówił o *fanatisme par besoin de stabilité*. Krucjaty organizują ludzie, którzy chcą zagłuszyć własne wątpliwości, to oni domagają się zawsze zwierania szeregów, czystek i „wprowadzenia porządku”, to oni mają wizję Kościoła jako gigantycznych koszar żandarmerii. A tymczasem Kościół złożony jest z grzeszników i nie jest Kościołem ludzi idealnych. Przychodzi mi tu na myśl rodzina, którą poznałem swego czasu w Rio de Janeiro. Kiedy pewnego razu rozmawiałem z jednym z bardzo dobrze wychowanych synów, już dorosłym, powiedziałem mu, że to jest cudowne wyrosnąć w tak zdrowej, katolickiej rodzinie. Odpowiedź zaskoczyła mnie:

— Właśnie, nasza rodzina. Nie jest dobrze wyrosnąć w takiej idealnej rodzinie. Trudno jest z tym żyć. Ja sam nie wiem, jak zacząć własne życie, jak wydorosnąć. Boję się małżeństwa, że moja rodzina nie będzie na miarę mojego domu rodzinnego.

Myślę, że jest wielką siłą uświadomić sobie własną słabość i nie karmić się złudzeniami. Nasza pokorna słabość modli się za nami do Boga. Może będzie nam dane, jak tyłu naszym współwyznawcom, należeć kiedyś do Kościoła mającego sukcesy ziemskie. Ale to bywa niebezpieczne. Różne są sytuacje Kościoła w różnych krajach. Tak było już za czasów św. Pawła Apostoła, który pisał z gorzką ironią do Koryntian:

„Tak więc już jesteście nasyceni, już opływacie w bogactwa. Zaczęliście królować bez nas! Otóż tak! Nawet trzeba, żebyście królowali, byśmy mogli współkrólować z wami. Wydaje mi się bowiem, że Bóg nas, apostołów, wyznaczył jako ostatnich, jakby na śmierć skazanych. Staliśmy się bowiem widowiskiem świata, aniołom i ludziom; my głupi dla Chrystusa, wy mądrzy w Chrystusie, my niemocni, wy mocni; wy doznajecie szacunku, a my wzgardy” (1 Kor 4, 8-10).

„Wszyscy zgorszycie się mną tej nocy” — mówił Jezus w ogrójcu. Są Kościoły „dnia” i „nocy”. Na pewno większą rzeczą niż marzyć o przynależności do Kościoła „dnia”, pełnego blasku i chwały, wolnego, bezpiecznego i triumfującego na ziemi, jest głęboka solidarność z Kościołem słabości i cierpienia, który musi

walczyć ze sobą o świętość i godność, Kościołem odważnym, otwartym i szczerym, mężnie stojącym po stronie bezsilnych i prześladowanych, Kościołem, który potrafi, jeśli trzeba, wyjść „poza miasto” drogą dźwigającego krzyż Jezusa, niosąc na sobie Jego hańbę, gorszącą silnych i mądrych tego świata.

CZAS ZBAWIENIA

Rzekł Dawid Filistynowi:
«Ty idziesz na mnie
z mieczem, dzidą i oszczepem,
ja zaś idę na ciebie
w imię Jakwe zastępów
Boga Izraela»



Ostatni dzień czerwca 1963 zaczyna się tuż za Salzburgiem, skąd ekspres „Wiedeński Walc” odchodzi kilka minut przed północą. Za oknami jest ciemno i wietrzno, podczas gdy w brewiarzu, w lekcjach jutrzni, „zebrawszy Filistyni wojska swe na walkę, zeszedli się do Socho Judy i położyli się obozem między Socho i Azeką na granicach Dommim. A Saul i synowie Izraela zebrawszy się, przyciągnęli do doliny Terebintu i ustawili wojsko do bitwy przeciw Filistynom. A Filistyni byli na górze z jednej strony, a dolina była między nimi” (1 Sm 17, 1-3).

Góry za oknami zaczynają się dźwigać ciężko w mroku jak uwertury Wagnera. Czym, jak nie promenady Goliata, który znakomicie pasowałby do jakiejś wagnerowskiej opery z owym rynsztunkiem, tak dokładnie pod względem materiału i wagi opisanym w tym 17. rozdziale Pierwszej Księgi Królewskiej: „Przyłbica miedziana na głowie jego, i w karacenie łuszczastą się ubierał, a waga karaceny jego pięć tysięcy syklów miedzi była; i nakolanki miedziane miał na goleniach, a puklerz miedziany zakrywał ramiona jego. A oszczepisko oszczepu jego było jako nawój tkacki, a grot oszczepu jego miał sześćset syklów żelaza” (1 Sm 17, 5-7).

Przez pięć dni przechadza się tak ów „mąż bękart” i lży struchlałych Izraelitów.

— *Sie sind ein böser Mensch!* — krzyczy jedna pani na drugą. Poszło im o otwieranie okna.

W drugiej lekcji, która przed reformą Jana XXIII stanowiła lekcję drugą i trzecią, zaczyna świtać nadzieja: jest już tutaj mowa o Dawidzie, choć nic jeszcze nie zapowiada roli, jaką ma on odegrać w tej wojnie. W tym roku nie dowiemy się o tym w ogóle: jutro będzie uroczystość Krwi Chrystusowej, do której takie nabożeństwo żywił zmarły papież, a pojutrze święto Nawiedzenia Matki Boskiej, przypominające to niedzielne popołudnie w Ain Karim, wśród wzgórz i cyprysów, które pierwsze na świecie słyszały Magnificat. Tak więc jutro i pojutrze lekcje będą świąteczne. Normalnie pojutrze przypadłoby czytanie finału tej opowieści. Goliat zarzy ogłuszającym śmiechem olbrzyma, „wysoki na sześć łokci i piędź” (1 Sm 17, 4), tym razem — ostatnim razem — na widok Dawida, niosącego kij pasterski, procę i pięć białych kamyków z potoku. Tak bowiem uzbrojony, a raczej tak bezbronny Dawid „wyszedł przeciw Filistynowi. Lecz Filistyn szedł, krocząc i przybliżając się przeciw Dawidowi (ileż w tym opisie nieubłaganego, mechanicznego patosu — tak opisywać by można atak czołgów), a giermek jego przed nim. A gdy Filistyn wejrzał i obaczył Dawida, wzgardził nim, bo był młodzieńczyk rudy i piękny na wejrzenie... I przeklinał Filistyn Dawida przez bogi swoje” (1 Sm 17, 42-43).

Istotnie kontrast między dwoma przeciwnikami musiał być tak wielki, że aż śmieszny. Tajemnica „słabości Boga”, o której pisze

św. Paweł w 1 Liście do Koryntian, była wówczas równie niepojęta jak dzisiaj.

Ciemno i duszno. Już drugą noc tak jadę, mijając granice państw i światów. Cóż wiemy o tym, co dojrzewa nocą, coź wiemy, o czym śnią nocami ludzie. Może Goliat już nie śpi i opatruje z giernkiem zbroję, może Dawid budzi się i zasypia znowu niespokojnym, gwałtownym snem młodości, z którego jednak obudzi się spokojny i ufny, niepomny koszmarów i majaków?

Bezbronni dobrzy ludzie śpią tu i tam, któż czuwa nad ich snem? Jak bronić ich nocą? Jak bronić ich przed nocą?

Nienadaremnie noc i jej sprawy stały się obsesją współczesnej literatury. Krytyka wyłuskała trafnie i podniosła znaczenie epizodu ze „strażą nocną” w odznaczonej *Prix International de Littérature* powieści Carlo Emilio Gadda *La cognizione del dolore*, pisanej jeszcze przed wojną i w pierwszych latach wojny.

Ale nasze noce są ciemniejsze od włoskich, po dziś dzień:

Ja w domu swoim
w dziesięć lat po wojnie
gdy nocą
słyszę kroki
wiersz przerywam
mam chwilę strachu
ciągle idą po mnie
od lat piętnastu
idą w nocy po mnie...

— pisze Różewicz, poetycki świadek współczesności w Polsce. Trzeba przyjechać do Polski, by zrozumieć, że opętanie tematyką wojenną, obozową i więzienną w naszych filmach i powieściach, nasza nieustająca *Stacheldrahtkrankheit*, czyniąca nas na kulturowym rynku europejskim „nudziarzami z Messyny” (był taki człowiek, który przeżył trzęsienie ziemi w Messynie; do końca życia

nie mówił o niczym innym, tylko o tym trzęsieniu) — nie jest pozą lub koniecznością pozapsychologiczną. Może nasi młodzi są już wyzwoleni spod tego ciężaru pamięci — jeden z moich studentów pomylił się na egzaminie, zamiast „obozy koncentracyjne” powiedział „obozy wędrownie” — w zakurzonej audytorium zapachniało wakacjami, ten zapach przesłonił na chwilę unoszący się stale nad Polską, choć rozcieńczony przez czas odór krematoriów...

W polskiej wsi
śpiącej
pod warkoczem jesiennych deszczów
którą widziano od lat wielu
przez jasny opłatek zbożnych pól
przez tęczę ludowych pasiaków

[...]

W jesienną noc gdy huczy wiatr
i czarne łubiny złocą się w deszczu
i kałuże wody są martwymi oczami nieba

[...]

Z kręgu naftowej lampki
w taką noc został wyprowadzony
młody człowiek w lnianej koszuli,
który nie dokończył wieczerzy
jeden z trzech
strzelił mu między oczy
w jasne czoło.

Upadł w błoto
i leżał tam rozkrzyżowany,
a ludzie, którzy go zabili
odeszli w ciemność.

Do dziś, każdej nocy boimy się, że mogą wrócić, że Goliat wyciągnie w noc jasnowłosego i bezbronno Dawida.

Gdyby Dawid został zabity przez Goliata między Socho i Azeką, pozostałby na wieki młody. Historia jego byłaby może jeszcze piękniejsza, jego odwaga samotna i bezbronna okryłaby go może jeszcze patetyczniejszą chwałą pokonanego. Pozostałby symbolem sprzeciwu, beznadziejnej walki z przemocą. Byłby się odradzał w tysiącach chłopców patrzących nieulekłe w oczy Goliatów. W książce Anny Seghers *Umarli pozostają młodzi* jest w zakończeniu scena, kiedy hitlerowiec rozpoznaje z przerażeniem w twarzy mordowanego chłopca twarz młodego robotnika, którego śmierć opisana jest na pierwszych kartkach... Nie wie, że jest to syn tamtego, który zginął z jego ręki, widzi przed sobą zmartwychwstałą młodość, która nigdy nie będzie po jego stronie, która zawsze będzie przeciw Goliatom.

Jest noc i tysiące Dawidów, zmęczonych pierwszym wakacyjnym dniem, wędrówką, słońcem i wodą, tańcem i miłością, śpią w górach i nad brzegami mórz. Pokolenie beztroskie, pokolenie „obozów wędrownych” jest sobą najbardziej w czasie wakacji. Rozleniwieni, przepaleni słońcem, mogący pozwolić sobie na wszystko, mający — przynajmniej w Europie Zachodniej — bardzo dużo pieniędzy, olśniewający zarówno na plaży, jak i na dancingu, są przedmiotem utyskiwań i oskarżeń o bezideowość ze strony starszego pokolenia. Ale ja bym tam razem z nimi podziękował czcigodnemu starszemu pokoleniu za większość ideologii i typów ideowości, jakie nam raczyło pozostawić w spadku. Wolę z nimi słuchać płyt z *juke-boxu* niż czytać te ideowe traktaty, z których wylęgło się całe diabelstwo naszego wieku. Książd F. Maire przypomniał w atrykule *Le règne de l'incohérence* („Le Courrier” 6/7 lipca 1963) postać jednego ze starszych panów, francuskiego generała Massu, bezkompromisowego gaullisty, który trzymał przy pomocy swoich spadochroniarzy w szachu algierską Casbah. W tych czasach jego podkomendni dopuszczali się wyrafinowanych tortur na aresztowanych Algierczykach. Generał pokrywał to swoim autorytetem, jeśli — jak pisze ks. Maire — do tego nie zachęcał.

Potem wskutek lekkomyślnie udzielonego pewnemu niemieckiemu dziennikarzowi wywiadu generał wrócił do Francji, gdzie został dowódcą okręgu wojskowego w Metz, należącego do najważniejszych w kraju. I tu zaczęła się historia, przypominająca ogromnie walkę Dawida z Goliatem i rzucająca jaskrawe światło na współczesny konflikt pokoleń. Młody rekrut, Alain Zarudian-ski, odkomenderowany do 6^e *groupe de repérage* w Hettange-Grange (Moselle), podlegającej generałowi Massu, zgłosił się do swego dowódcy, pułkownika Albafouille, i oświadczył, że wiedząc o torturach, które działy się za wiedzą czy wolą generała, nie będzie prezentował broni w czasie przeglądu, jakiego dowódca okręgu ma dokonać w jednostce.

Odpowiedzią było 30 dni aresztu. Żołnierz z końcem maja napisał list do ministra wojny, w którym oświadczył, że uważa za hańbiące dla każdego Francuza oddawać honory generałowi, który torturował jeńców. Domagał się również oddania swojej sprawy przed sąd, grożąc strajkiem głodowym. Dodał również, że z enuncjacji kapitana Estoup w sierpniu 1962 roku wynika, że rozkazy torturowania były wydawane przez generała osobiście.

Tymczasem w czerwcu rada ministrów pod przewodnictwem generała de Gaulle nadała (z datą wsteczną, od 1. VI.) generałowi dywizji Massu tytuł generała armii (*général de corps armée*, z czterema gwiazdkami).

W połowie czerwca matka żołnierza, który od siedemnastu dni przeprowadzał strajk głodowy, zgłosiła się do ministerstwa wojny, prosząc o przeniesienie syna do jednostki nie podlegającej generałowi Massu. Prośbę jej poparło dwóch znanych pastorów, profesorowie uniwersytetu itd.

16 czerwca komitet obrony Alain Zarundianskiego ogłosił, że minister Messmer przeniósł go do Cherbourga, wyjmując go tym samym spod władzy generała Massu.

Pozostawmy na uboczu to wszystko, co się jeszcze w tej sprawie działo, jak władze republiki wyobrażały sobie pogodzenie awansu generała z przyznaniem racji szeregowcowi. Nie o to w tej chwili idzie. Ileż pociechy, że są tacy młodzi ludzie, jak szeregowiec Alain, o takim wyczuleniu moralnym i o takiej odwadze. Na pewno Alain jest

człowiekiem o niezwykłej sile charakteru, ale wyobrażam sobie, że po tym wszystkim, gdy przyjedzie do domu, zmiesza się na powrót z tłumem rówieśników w *blue-jeansach*, na który starsze i nierównie bardziej ideowe pokolenie będzie patrzyło z góry i z przyganą. „I oblókł Saul Dawida w szaty swoje, i włożył hełm miedziany na głowę jego, i ubrał go w karacnę. Przypasawszy tedy Dawid miecz jego na szaty swoje, jął próbować, czy będzie mógł zbrojno chodzić, bo nie miał zwyczaju. I rzekł Dawid do Saula: Nie mogę tak chodzić, bo nie mam zwyczaju. I złożył je...” (1 Sm 17, 38-39).

Dzięki temu, że zawsze chodzą w cywilu i nie lubią zbroi i pióropuszków, Dawidowie niczym się na oko nie wyróżniają. To nie ułatwia zadania Goliatom.

Jaka więc jest młodzież współczesna? Pewnie najwięcej racji mają ci, którzy mówią po prostu: inna. Dopisując tę kartkę do tekstu pisanego w roku 1963, mógłbym już wskazać na zgoła obszerną literaturę, która w ciągu ośmiu ostatnich lat próbowała ująć w jakieś krytyczne syntezy młodzieżową „przeciwkulturę”. To słowo *counter-culture* wymyślono też niedawno, już na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych w USA. Tam zresztą chyba najostrzej, bo najwyraziściej, rysuje się zagadnienie młodzieżowe. Przede wszystkim młodzież kontestuje ustalone modele, które mechanizują życie i wciskają je w szablony i stereotypy. Kwestionuje życie dla zysku, kult techniki, szowinizm, nietolerancję. Nie wierzy w doświadczenie dorosłych, które sprowadza się do konformizmu i obłudy.

Wynotowując to, nie mogę się oprzeć, jak pewnie i wielu innych, wrażeniu, że nie są to sprawy nowe. Taka powinna być młodzież. Któż to powiedział, że jeśli nie jest się rewolucjonistą w wieku lat dwudziestu, to w wieku czterdziestu lat będzie się świnią. Przecież już za naszej pamięci Albert Schweitzer zaklinał ludzi, by jako dorośli postępowali zgodnie z tym, co myśleli, gdy mieli lat kilkanaście. Dziś jednak w Stanach Zjednoczonych i Europie Zachodniej ten należący do zjawiska czasu zamkniętego rewolucjonizm młodych

posiada cechy świadczące, że związany jest tym razem z otwartym procesem historycznym. Wygląda na to, że to zjawisko nie przemija w miarę starzenia się młodych, lecz nabiera rozległości, pogłębia się, powoduje dołączanie się dorosłych, zwłaszcza ze sfer intelektualnych i uniwersyteckich.

Amerykański profesor prawa, Reich, pisze: „Nowa świadomość wyłoniła się jak kwiat przeciskający się przez betonowy chodnik. Dla tych, którzy już byli niemal przekonani, że trzeba się pogodzić z brzydotą i złem, jest zachętą do płaczu lub śmiechu. Tym, którzy myśleli, że świat został nieodwołalnie zamknięty w szkłe i plastyku, i bezpłodnym kamieniu, wydaje się, że zazieleniło się w Ameryce”.

Tym, co napawa nadzieją, jest też fakt, że młodzież na całym świecie zaczyna być do siebie podobna w pragnieniu uczciwości, szczerości i prawdy. Może będzie nam dane, jak Mojżeszowi przed śmiercią, zobaczyć z wysokiej góry rysujący się w dali niewyraźny zarys świata bardziej ludzkiego i bardziej braterskiego, do którego pewnie sami już nie wejdziemy, ale na rzecz którego powinniśmy rzucić wszystkie siły, całe zaangażowanie, także chrześcijańskie.

Jest coś wspaniałego, że tak myślą młodzi ludzie z różnych krajów, którzy otrzymali różną formację. Nigdy się nie spotkali, nigdy się może nie zobaczą — a jednak są zdumiewająco jednomyślni w tym, co dotyczy zasadniczych spraw międzyludzkich, ci młodzi, którzy dzisiaj żyją, uczą się, śpiewają, walczą.

Swego czasu ucieszyłem się wierszem radzieckiego poety, Eugeniusza Jewtuszenki *Na moście*:

Na moście nad Sekwaną szklaną
chłopiec z dziewczyną
— nikt poza tym —
sami
nad blaskiem lamp i planet,
ponad szaleńczym zgiełkiem świata.

Gdzieś tam upadły właśnie rządy,
gdzie indziej
— ktoś przemawia górnie,
lecz ich to
— tutaj —
nie obchodzi,
tak jak Sekwany wody chmurne.
Stoją bez pieszczot
i bez słowa,
płaszczem okryli się przed deszczem,
jakby ktoś w celofanie schował
dar ziemi,
ziemi dni jutrzejszych.
Daj, Boże, nam
nie skarby, domy,
i nie gniazdeczka mdłej czułości,
lecz pozwól
— w każdej świata stronie —
stać —
dwojgu —
na wysokim moście.
Na moście wpiętym trwale w niebo,
na moście
świętych prawd i zasad,
na moście, co nad czas się sklepia,
i nad podstępem,
fałszem,
zdradą.

(przekład Krzysztofa A. Węgierskiego)

Jak przy czytaniu lub słuchaniu wierszy i piosenek Bułata Okudźawy doznałem przeżycia bliskości i braterstwa. Ucieszyłem się tym bardziej, że to pisał ktoś z naszego Wschodu i pisał za granicą, na Zachodzie, kto umiał tak spojrzeć na obcych sobie rówieśników i podnieść miłość dwojga młodych do rangi manifestu.

Nie pamiętam już, z jakiej okazji papież Jan XXIII opowiadał pewnego razu historię o Goliacie i Dawidzie. Wskazał wówczas na jej rangę metafory walki, jaką w dziejach groza i przemoc prowadzą z młodością i nadzieją. Zdarzenie to, pokonanie Goliata przez Dawida, ilustrowało jego optymistyczną tezę o przyszłości świata, potwierdzało jego nadzieję przenoszącą nieustannym wysiłkiem mózgu i serca na drugą stronę morza rozpaczy. Tylko wielcy święci i wielcy artyści naszych czasów mieli równie przerażającą wizję świata jak ów człowiek, którego płytki i powierzchowni obserwatorzy uważali za dobrodusznego i pełnego niezmaconej pogody staruszka, opowiadającego dowcipy i anegdoty.

Nie zapomnę nigdy leż Jana XXIII w czasie jednego z kazań u Świętego Piotra, gdy mówił o prześladowanych. Tak załamuje się głos ludziom, którzy nie mają nic prócz słowa, by ratować tych, których kochają. Rozdzierająca bezsiła miłości... A jednak to życie było dowodem jej mocy, która zwycięża wszystko. Byli na pewno papieże zręczniejsi, ale od dawna nie było na Stolicy Piotrowej takiego geniusza serca, który zaatakował świat zastygły w równowadze nienawiści i strachu z najbardziej niespodziewanej strony: mierząc w serce.

Nawet niektóre prawicowe dziennikarzyny i przemądrzali duchowni rozumieją kiedyś, że miłość, która pożerała tego człowieka, nie była ani naiwnością, ani słabością, ani krótkowzrocznością, tak jak nie była taktycznym chwytem. Dzięki temu właśnie obezwładniła ona świat, rozładowała wiele trujących go nienawiści. Żadnemu z papieży nie udało się w tak krótkim czasie zmienić stosunku świata do chrześcijaństwa i Kościoła, czego owoce będą rosnać i dojrzewać z każdym rokiem. Nikt się już pewnie nie zapyta, ile papież ma dywizji.

Ta miłość była silna jak śmierć. Dlatego pewnie jego agonია trwała cztery dni. Ofiarował ją za Sobór i za pokój, za to, co uważał za najpotrzebniejsze dla Kościoła i ludzkości. Nawet swoją śmiercią służył Kościołowi — nad trumną którego z papieży podniósł się

podobny płacz wszystkich ludów? Może ona miała zapoczątkować przezwyjęcie resztek uprzedzeń i nienawiści?

Przecucie, a potem i pewnośc rychłej śmierci nosił od początku swego krótkiego pontyfikatu.

„Papieże imieniem Jan prawie zawsze rządzili bardzo krótko” — powiedział już 28 października 1958 roku, a obejmując swoją katedrę na Lateranie, 23 listopada tegoż roku, przepraszał słuchaczy: „Wybaczcie, drodzy bracia i synowie, wybaczcie waszemu biskupowi, waszemu nowemu papieżowi obfitość uczuć i słów... nie mamy prawa spoglądać przed siebie, jakby się ścieliła przed nami daleka droga...”

Może właśnie ta świadomość uciekającego czasu sprawiła, że encykliki jego: *Mater et Magistra* i *Pacem in terris* — nie były spóźnione o sto czy dwieście lat, ale wyprzedzały współczesność co najmniej o pół wieku.

Umieć tak odejść, jak odszedł Jan XXIII w połowie Soboru, który przyspieszył, jakby bojąc się o jego losy. Odejść bez słowa skargi. „Był człowiek posłany od Boga, a Jan mu było na imię...” (J 1, 6). Podobno czytając te słowa ostatniej Ewangelii w czasie mszy, odprawianej przy łożu konającego papieża, ksiądz Capovilla płacząc wskazał obecnym oczyma Jana XXIII. Papież wybrał to imię nie tylko ze względu na Jana Ewangelistę, ale i Chrzciciela. Działalnością swoją gotował drogę następnemu i przyszłym pontyfikatom. Rzadko który papież dziedziczył taką atmosferę powszechniej sympatii jak następca Jana XXIII.

Jan Chrzciciel wtrącony do więzienia, czekający na śmierć, gdy usłyszał o cudach Jezusa, posłał do Niego uczniów. W tym, co Mu mieli przekazać, nie było ani słowa o Janie, o jego sytuacji, żadnej prośby o ratunek, mieli tylko zapytać i sprawdzić, czy Jezus jest Mesjaszem.

W tym pytaniu zabrzmiał po raz ostatni głos człowieka, który nazwał się „głosem tego, który woła na pustkowiu: Drogę prostujcie Panu” (J 1, 23). Najmniejsza chyba ambicja: być tylko głosem,

przemiąć jak słowa, ucichnąć bez cienia żalu, skoro zostało wypowiedziane to, po co się przyszło na świat.

W trzecim czytaniu jutrzni zawarta jest homilia św. Ambrożego o Ewangelii niedzielnej, wziętej z 5. rozdziału św. Łukasza. Chrystus poucza z łodzi Piotra na jeziorze Genezaret. Musiało się to dziać w jednej z tych małych zatoczek, łódź oddalona była nieco od brzegu, głos niósł się po wodzie, a potem wznosił ku amfiteatralnie siedzącym na brzegu ludziom. Cudowny potem połów, sieci aż rwą się od obfitości ryb, obydwie łodzie zanurzają się po burty. Odpowiedź Jezusa: „Nie lękaj się, odtąd już ludzi łowić będziesz” (Łk 5, 10). Czegóż się Piotr zląkł? Widocznie tego cudownego połowu, tej obfitości, nadmiaru. To wielka sztuka nie bać się w Kościele wielości, różności, cudownej niepodobności do siebie ludzi, nie żądać od Pana Boga, żeby wszystko, co wpada w sieci, było typowe, posortowane, zapakowane w skrzynki i gotowe do transportu do nieba (te wszystkie okropne rybackie anachronizmy to pewnie skutek pobytu w którejś niedzielę w Kuźnicy i Jastarni). Ach, ta tęsknota do absolutnego porządku w Kościele — są takie kościoły, których porządek aż przeraża, człowiek nie śmie wejść, żeby go nie naruszyć, błota nie nanieść — ten katolicki *drill!* Są przecież i tacy, którzy by chcieli, by Kościół „był straszny jak wojsko ustawione porządnie”, tak porządnie, żeby nawet oddech w nim był podporządkowany masowym ćwiczeniom gimnastycznym. Ojciec Couturier nazywał to wzdychaniem do totalizmu. Jak to dobrze jednak, że Kościół jest tak konserwatywny, gdyby bowiem szybciej i łatwiej podporządkował się tak zwanemu duchowi czasu, ładnie byśmy w nim wyglądali.

Znowu lato, „miłościwe lato” — czy pamiętacie to staropolskie określenie kościelnego roku jubileuszowego? Ostatni raz wspomniano je nam w roku 1950. Co roku lato jest wybawieniem

dla milionów ludzi. Co roku wychodzimy z „domu niewoli”, z miejsca, do którego przykuwają nas nasze całoroczne obowiązki, i wyruszamy na spotkanie z morzem lub górami.

Wołaj głośno na chwałę Panu, cała ziemi,
uderzcie gromką pieśnią,
radujcie się,
grajcie,
grajcie Panu na cytrze,
na cytrze i dźwięcznej harfie,
na trąbach i dźwięcznych puzonach

[...]

Niechaj huczą morza wraz z tym, co zawierają,
i cały świat, i jego mieszkańcy,
a strumienie niech klaszczą w dłonie
i góry niech się wspólnie radują
przed Panem...

— wzywa nas Psalm 98 w przekładzie Romana Brandstaettera.

Ludzie wakacyjni są inni niż ludzie całorocznici. Dlatego myślę, że wczasy są jakąś zapowiedzią, a zarazem eksperymentalnym dowodem na to, że zbawienie jest możliwe. Spodziewam się, że coś z wakacyjnej aury, oczywiście w ogromnym powiększeniu, będzie w niebie.

Pascal wprawdzie radził „siedzieć w spokoju i w izbie”, a Tomasz à Kempis stwierdzał, że ilekroć wyszedł między ludzi, tym mniejszym wrócił człowiekiem, my jednak pozwolimy sobie tutaj być innego zdania. Trzeba wychodzić z domu i przebywać z ludźmi. Lepiej: spotykać ludzi. Bardzo to było ładnie, kiedy 2 lipca było właśnie święto Nawiedzenia Matki Boskiej i odwiedziny Jej u Elżbiety wyglądały jak znakomita uwertura do wakacji, które są wyjściem z własnego domu i pójściem do innych ludzi. W dodatku w Jastarni był wtedy odpust i symbolizm tego wydarzenia bił w oczy jak lipcowe słońce.

Pan Jezus sam posłał pewnego razu swych uczniów na wakacje, nakazując: „odpocznijcie maluczko”, czym niektórzy z ich

następców przejęli się nazbyt może gorliwie. Warto też przypomnieć sobie, co mówił o potrzebie patrzenia na kwiaty i ptaki. Mówił o tym po to, aby nas nauczyć bezinteresownego stosunku do świata i przyrody. Pozwólmy sobie zauważyć, że zachętę do patrzenia na kwiaty i ptaki w sposób bezinteresowny można skierować tylko do człowieka. Zachęta ta skierowana w pierwszym przypadku na przykład do krowy, a w drugim — na przykład do kota, byłaby po prostu prowokacją. Natomiast człowiek — i tego nas pewnie chciał nauczyć nasz Pan — może patrzeć na świat po prostu po to tylko, żeby się nim zachwycić, a przez to wymłodzić na duszy.

Oczywiście, powtórzmy, do kontemplacji i zachwytu są zdolni tylko l u d z i e. Istoty człowiekopodobne, w tym niestety i spora jeszcze część Lechitów, ma do przyrody żywej i martwej stosunek nieco inny:

Jak się żywe napatoczy,
nie pożyje se, a juści.

Piszę: Lechitów, bo zjawisko to zdaje mi się mieć korzenie w bajecznej prehistorii Słowian. Bo chyba nie z czego innego, a z konieczności walki z otaczającą i przygniatającą nasze plemię puszcza pełną dzikich i okrutnych niedźwiedzi pozostał nam dziedziczny imperatyw nakazujący bezmyślnie na prawo i lewo wycinać drzewa, zrywać liście, kwiaty, łamać krzewy, deptać trawę, zatrucić wodę, zaśmiecać piasek. Trzeba o tym przypominać także w kontekście obowiązków religijnych, skoro samo zjawisko wczasów rozbudowało się znacznie szerzej i szybciej niż świadomość związanych z nim zagadnień kultury bycia.

Zaiste, wakacyjny stosunek do życia objął cały świat. Apogeum w a k a c y j n o ś c i rozpoczęło się w latach sześćdziesiątych naszego, skądinąd bynajmniej nie nazbyt wypoczynkowego, stulecia. Coraz więcej jest na świecie ludzi, którzy pracują cały rok z myślą o wakacjach. Planują, studiują mapy, oszczędzają, by przez dwa czy kilka tygodni móc pożyć innym, piękniejszym, bardziej niezwykłym życiem.

Adolf Rudnicki pisał kiedyś o niesamowitości wakacji, spędzanych w mieście wyludnionym przez lato. Nie spotyka się nikogo ze znajomych, nikt nie odbiera telefonów, których numery znamy na pamięć. Ale ma to i swoje dobre strony: pewnie ostatnią szansą spędzenia samotnych wakacji jest pozostanie w mieście. Wakacje ascetyczne, prawie klasztorne. Świata tyle, co poza oknami. Anteny telewizyjne na sąsiednich dachach wyglądają jak narysowane przez Buffeta, zwłaszcza jeśli dzień zdarzy się biały lub szary (prawdziwe dni wakacyjne są błękitne) i posłuży im za tło.

W tym samym czasie powstają jednak nowe miasta, których nie ma na mapie. Jeszcze kilka lat temu campingi nie rzucały się tak w oczy jak dziś. W górach, nad morzem, w pobliżu jezior i nad rzekami, często w pobliżu atrakcyjnych miejscowości wypoczynkowych, powstają gęsto zabudowane osiedla z namiotów. Przeważają kolory niebieski i pomarańczowy. Przypominają się dawne obrazy batalistyczne, przedstawiające wojenne pochody czy oblężenia miast.

Choć miłe dla oka kolorystycznie, bywają campingi czasami zupełnie zdrowymi piekielkami („piekło to inni” — Sartre), choć za granicą spotykałem campingi, gdzie nie wolno było mieć aparatu radiowego i od godziny dziesiątej wieczorem obowiązywała bezwzględna cisza.

Visitez la Pologne. Latem nie tylko sami Polacy stają się miłsi i pogodniejsi — z wyjątkiem kiedy muszą jechać pociągiem czy autobusem, zjeść obiad w restauracji, napić się wody sodowej, przenocować itp. — ale nawet ich kraj, dotknięty wakacjami jak ręką dobrej wróżki, nabiera piękna i egzotyki. Nawet tam, gdzie nie ma zupełnie krajobrazu, różnorakie zielenie drzew i łąk oraz ugory pól tworzą nieoczekiwaną scenografię. Gorąco powoduje impresjonistyczną wibrację powietrza. Mocne światło odmienia pejzaże. Małopolskie miasteczka ogłuszone upałem wyglądają

jak miasteczka hiszpańskie. Rynki są olbrzymie, domy niewysokie i jasne, w osowiłych kościółkach pachną wniebogłosy lilie. Senne psy i koty upozowane na sfinksy czuwają nad rozpalonymi pustyniami podwórek i ulic.

Nawet pesymistyczny Kohelet, którego zapewne dla kontrastu czytywało się w brewiarzu w sierpniu, przyznaje: „I poznałem, że nie ma nic lepszego niż weselić się i za życia swego czynić dobrze”. To wszystko wydaje się łatwiejsze latem. Wracamy do radości, do prostych radości, których pełna jest przyroda, od której, co tu dużo mówić, coraz bardziej odstawiamy.

Przypomina się góralska pieśniczka śpiewana nad morzem, którą dedykuję Bronkowi Dembowskiemu:

Hej zál mi, hej zál mi, zál,
com sie tak duzo ucył,
hej głowa wyłysiała,
hej brzusek se wypuczył.

Może i dziś jeszcze lato i wakacje wydają się niektórym karnodziejom czasem rewindykacji dokonywanej przez świat, ciało i szatana. Dawniej to biedne ciało, rozdzielane co nieco na plaży, bywało tematem numer jeden przedwakacyjnych kazań. Bezpośrednio o duszy myślano wtedy jakoś mniej. A jednak nie tylko ciało korzysta z dobrodziejstw powietrza, słońca i wody. Wakacje są nie tylko świętem ciała; wielu ludzi właśnie podczas nich ma czas na odkrywanie własnej duszy i tego, co się w niej dzieje. Dla wielu wakacje są czymś w rodzaju rekolekcji. Rekolekcjonistami bywają góry, morze, jeziora... „Tu są małe górki — pisze do mnie ktoś — małe poletka owsa i żyta pomiędzy lasem wciśnięte w zbocza, rozległa dolinka i co krok inny krajobraz: jar, pole, lasek, krzaki na zboczu. Patrę, patrę i zaczynam powoli móc się modlić, a to zawsze początek powrotu do ludzi”.

Bo i jakże można patrzeć na góry i nie przypomnieć sobie psalmu: „Podniosłem oczy moje ku góróm, skąd przyjdzie wspomo-

zenie moje”. Pagórki przypominają o „pożądaniu wzgórz wiekuis-tych” — z tego poetycznego wezwania litanii do Serca Jezusowego. Morze to kaznodzieja wszechstronny: majestatyczny, groźny — ci, którzy po nim żeglują, poznają potęgę Boga — nie gardzący czasem pogodną anegdotką: tak jest w Psalmie 103, który powinien służyć za modlitwę wakacyjną. Jest tam między innymi mowa o potworze morskim, Lewiatanie, który w Wulgacie stworzony został przez Pana Boga do zabawy, a wedle nowego przekładu, filologicznie ścisłego, ale pozbawionego poezji — papież Jan XXIII bardzo tego przekładu nie lubił — smok ten powołany został do istnienia, aby się bawił w morzu.

A plaża? Plaża to nie tylko miejsce, gdzie diabeł ma młode — jak mawiał pewien mój przezacny i kochany profesor — ale i przypomnienie ogromnie ważnej i potrzebnej chrześcijaninowi właściwości: „Dał też Bóg Salomonowi mądrość i roztropność bardzo wielką i szerokość serca jak piasek, który jest na brzegu morza...”

Sama znowuż golizna, która tyle gromów ściągała na plaże *in illo tempore*, powinna nas przygotowywać na Sąd Ostateczny (tak, tak!), przypominając, że bardziej niż na plaży roznegliżowanymi widzi nas zawsze Pan Bóg:

„Wszystko bowiem jest nagie i otwarte przed Jego oczyma” — jak mówi Psalmista.

Rozszerzają się serca i otwierają się oczy, i zaczyna się szukanie dawno utraconych wartości. W małych, niepozornych kościółkach spotyka się — nie tylko w charakterze zwiedzających — ludzi, którzy zazwyczaj u siebie w domu nie naprzykrzają się Panu Bogu. Gazdowie czy rybacy budują się widokiem przystępujących do Komunii świętej „ludzi miasta” — i na odwrót.

Na całym świecie Kościół dostrzegł problem wakacyjny. Specjalne formy duszpasterstwa, autobusy-kaplice wyruszyły na spotkanie wczasowiczów. U nas przy środkach najzupełniej ubogich dokazać można bardzo wiele: króciutkie (to absolutny warunek)

komentarze do mszy świętej porannej i wieczornej, od czasu do czasu dłuższa konferencja typu teologia plus życie, dyżury w konfesjonale, umożliwienie czytania ksiązek religijnych (mądrych ksiązek, nie cikliwych czy bigoteryjnych) — oto kilka z możliwych do realizacji punktów programu duszpasterskiego parafii, gdzie są wczasowicze. W Kuźnicy jako bibliotekarkę zaangażowano samą Matkę Boską: przy Jej ołtarzu umieszczono księgozbiorek, z którego można korzystać na miejscu, w kościele. A ludzie w czasie wakacji czytają więcej niż zwykle, pożyczają książki między sobą, od księży. Ileż przy tym rozmów, dyskusji, ile czasu na samotne zamyślenia. Gdyby jeszcze dodać wszystkie spowiedzi — nieraz po wielu odbywanych latach, wszystkie powroty, wszystkie wyprostowania życia, mielibyśmy jakiś zarys tego, czym dzisiaj mogą być wakacje.

W Ewangelii dzisiejszej mszy słowa Piotra: „Wynijdź ode mnie Panie, bom jest człowiek grzeszny...” Pokora przyszłego papieża, przerażonego nadmiarem spraw Bożych, które zaczynają się dziać w jego życiu. Człowiek spotykający się z Bogiem, a więc przede wszystkim człowiek w Kościele, o ile nie oślepnie od nadmiaru światła i nie wpadnie w rodzaj — oto *contradictio in adiecto* — nadprzyrodzonej pychy, musi poczuć się zakłopotany i zawstydzony rozrzutnością Boga. Ślepy i chromy, sprowadzony z opłotków, musi zauważyć, że brak mu nie tylko szaty godowej, ale że wszystkie jego naturalne sprawiedliwości są jak łachman. Nic chyba tak nie sprzyja odkryciu w sobie grzesznika, jak wejście i pobyt w Kościele. Każda msza, każdy sakrament odbija nas jak w zwierciadle. Gdybyśmy nawet przez chwilę zapomnieli, że jesteśmy grzesznikami, przypomną nam o tym s p r a w i e d l i w i wewnątrz, a nawet, co dziwniejsze, z zewnątrz Kościoła. Nie tylko bowiem od wewnątrz, ale i z pozycji zewnętrznych, najodleglejszych, odmawia się grzesznikowi prawa do miejsca w Kościele. Gdyby można było wyrzucić wszystkich grzeszników za burtę łodzi Piotrowej, ileż zyskałaby ona sympatii, ileż uciszyłoby się burz

— tak jak się to stało po wyrzuceniu w morze Jonasza, który — i jakież to przejmujące — pochłonięty na trzy dni i trzy noce przez morskiego potwora, miał się od tej chwili stać symbolem Chrystusa...

Grzesznik — cóż to za zjawisko irytujące, cóż za niewygodny człowiek. Powiedzmy sobie szczerze: pomimo przeciwnie świadczących pozorów grzesznik nigdzie nie jest dobrze widziany. Na każdej społeczności, organizacji czy partii widnieje niewidzialny napis: grzesznikom wstęp wzbroniony. Nawet Związek Graczy w Kręgle nie chce tolerować w swoim łonie notorycznego alkoholika, każdy klub pobędzie się z uczuciem ulgi człowieka nie-normalnego.

Dla współczesnych Katonów najbardziej jednak irytujący jest widok grzesznika w Kościele. Grzeszny katolik, świecki, a zwłaszcza duchowny (Aleksandrem VI straszymy pewnie dzieci) — cóż to za gratka! Jakże to można wykorzystać, jak smakowicie opisać!

Na miłość l u d z k ą, bo tak wam przecież o człowieka idzie, drodzy laicy moralisci, powiedzcie, gdzie ma się podziać grzesznik, gdzie wreszcie jest dla niego miejsce? Można się wczuć w wasze obrzydzenie i podniosły wstręt, z jakim traktujecie grzeszników, ale powiedzcie, dokąd ci ludzie mają pójść? Do diabła?!

Można pojąć wasze pragnienie komfortu moralnego i chęć obracania się wyłącznie w dobrym towarzystwie, ale nie miejcie za złe Kościołowi, że nie kopie grzeszników, że się nimi nie brzydzi. My nie możemy inaczej, Kościół jest właśnie od tego, jest dla grzeszników, oni są wszyscy nasi, skoro nikt do nich nie chce się przyznać, już Chrystusa nazywano „przyjacielem celników i grzeszników”.

Grzesznik jest w Kościele właściwym człowiekiem na właściwym miejscu — tak jak chory jest na miejscu w klinice czy w poczekalni u lekarza. Oczywiście, nie pozostawia się go samemu sobie i czasami ma on może wrazenie, że się nad nim wszyscy znęcają, od Pana Boga począwszy. Bo, rzecz jasna, Kościół nie poprzestaje na pokropieniu go wodą święconą i pozostawieniu go w półdrzemce, w czasie której mógłby spokojnie obrastać w pleśń, kołtuństwo, samozadowolenie. Słowo Boże jest jak miecz,

tnący aż do rozdzielenia ducha od duszy. Słusznie powiedział Newman, że poza Kościołem doktryny są twarde, a życie miękkie, a w Kościele jest dokładnie na odwrót.

Ludzie, którzy w Kościele posługują grzesznikom, muszą wiedzieć, że posługują swoim braciom, mającym te same prawa. To nie może być żadne „znížanie się”, dyrygowanie z pozycji siły i wyższości. To jest odnalezienie siebie i innych w uwarunkowaniu natury ludzkiej, cudownie stworzonej i jeszcze cudowniej naprawionej, która decyduje o współ-życiu i współ-czuciu w Kościele, świętej społeczności grzeszników.

Pojedynek w dolinie pomiędzy Socho i Azeką można by również ująć w kształt konfliktu pomiędzy grzesznikiem a sprawiedliwym. W psalmach Dawidowych pełno jest gorzkiego porównywania siły i powodzenia grzeszników ze słabością i klęskami sprawiedliwych. Ba, żeby tak można było już dziś, jak to robimy z rozpoczętą powieścią, której dalszy ciąg nie daje nam spokoju, zajrzeć od razu na koniec, przeczytać zakończenie życia, zobaczyć ostateczny finał istnienia sprawiedliwych i grzeszników, bylibyśmy ostrożniejsi w robieniu przepisów Panu Bogu.

Wracając do Goliata i Dawida, w gruncie rzeczy w tym pojedynku między Socho i Azeką powinno nam być żal raczej Goliata. Tej nieszczęsnej górze cielska przypadła rola najnie wdzięczniejsza. Wszystko zdaje się wskazywać na to, że był to jakiś „pożyteczny idiota”, jakaś ówczesna filistyńska *Wunderwaffe*, zdalnie — przez ukrytych w obozie sztabowców — kierowana. Muskularny olbrzym o ptasim mózdzku nie stanowi przecież rzadkości, po dziś dzień. Chyba nie bez kozery nazwali Niemcy swój zdalnie kierowany, wypełniony materiałem wybuchowym mały czołg, jakim posługiwali się w czasie powstania warszawskiego, jego właśnie imieniem. Przyczajeni na barykadach warszawscy chłopcy patrzyli, gdy z chrzęstem gąsienic zbliżał się do nich, patrzyli jak Dawid na Goliata, gdy „szedł, krocząc i przybliżając się”.

W pojedynku między Socho i Azeką, wbrew proporcjom militarnym, szanse obu przeciwników były jednak nierówne, zwłaszcza gdy idzie o perspektywy historyczne: Goliat tylko na pięć dni wkracza do Biblii, wkracza do historii. Potem zniknie na zawsze jako symbol bezmyślnej, tępej siły. Miał szczęście czy też nieszczęście, że trafił właśnie na Dawida: szczęście, bo związany z nim uszedł zapomnieniu, nieszczęście, bo był pierwszym, choć nie ostatnim z tych, co ujrawszy Dawida stracili głowę.

Nie tylko Jonatan i Michol, nie tylko towarzysze broni i przyjaciele, ale cały naród miał się w nim zakochać. Nawet nie czytając dalszego ciągu jego historii, już wtedy, na dolinie między Socho i Azeką można było zauważyć, że piękny, silny i odważny poeta był tylko pozornie słabszy w starciu z ponurym filistyńskim bękartem. Bo Dawid był już wtedy muzykiem i poetą — nadwornym wprawdzie, ale pełniącym najzaszczytniejszą rolę spośród możliwych ról nadwornego artysty: sztuką swoją wypędzał z władcy złego ducha: „A tak, kiedykolwiek duch Pański zły porywał Saula, brał Dawid harfę i grał ręką swą; i pokrzepiał się Saul, i lżej mu bywało, bo duch zły odchodził od niego” (1 Sm 16, 23). Miał to zresztą później nieomal przyłacić życiem: król rzucił w niego oszczepem, by grającego na harfie przywoździć do ściany...

Pomimo tego, a może wskutek tego, życie jego było od początku wielkie, tragiczne i namiętne, wszystko w nim miała owinąć poezja i miłość, nawet jego rozpacz, grzechy i żal za nie będą miały w psalmach barwę i dźwięk najszlachetniejszego metalu. W sferze religijnej osiągnie nie tylko godność pomazańca Bożego i proroka, ale otrzyma obietnicę, że z jego rodu wyjdzie Zbawiciel.

Nie, nie był taki biedny i mały nawet w starciu między Socho i Azeką, choć taki zjawia się w poprzednim, 16. rozdziale Pierwszej Księgi Królewskiej: „I rzekł Samuel do Izaja: «Nie obrał Pan z tych». I rzekł Samuel do Izaja: «A czy to już wszyscy synowie?» On odpowiedział: «Jeszcze został mały i pasie owce». I rzekł Samuel do Izaja: «Poślij, a przywiedź go, bo nie siądziemy do stołu, aż on tu przyjdzie». A tak posłał i przywiódł go; a był rudy i wdzięczny z wejrzenia, i pięknej twarzy. I rzekł Pan: «Wstań, pomóż go,

bo ten jest!»” (11-12). Nie był taki, gdy szedł prawie nagi i bezbronny na znak, „żeby poznała wszystka ziemia, iż jest Bóg w Izraelu i żeby poznało wszystko to zgromadzenie, że nie mieczem ani oszczepem wybawia Pan...”

Wszystko to zgromadzenie szaleje z radości: *Evviva il papa!* Sąsiad — nie wiadomo, skąd: z dołu, z góry czy z boku, wygląda na to, że w ogóle nie z tego domu i nie z tej ulicy — przychodzi, żeby przyciszyć telewizor, wcale zresztą niegłośno nastawiony...

Zgromadzenie na placu Świętego Piotra, które co chwila z innej strony chwytają kamery, krzyczy i klaszcze. Są oczywiście, katolickie miecze i oszczepy, zbroje i halabardy, pióra, koronki, futra, purpura i złotogłów, drogie kamienie i złoto — przez Spisową Bramę wytacza się na plac „wszystka chwała córy królewskiej”, cały watykański splendor, na który trzeba patrzeć pobłaźliwie, boć zawsze to trochę koloru przydaje naszemu coraz bardziej bezbarwnemu światu.

Paweł VI niesiony na *sedia gestatoria* na widok tłumu zrywa się na równe nogi. Przestraszeni *sediarri* zatrzymują się, podobny odruch nie zdarzył się chyba żadnemu papieżowi od czasu wprowadzenia tego „najniewygodniejszego krzesła świata”. Papież siada i niesiony teraz przez plac błogosławi i szerokimi gestami, od których odzwyczail nas poprzedni pontyfikat, pozdrawia tłum.

— *Pater Sancte, sic transit gloria mundi* — błysk i dym spalonych pakułów. Paweł VI zamiera przez chwilę w bezruchu z dłońmi na kolanach. Potem znowu uśmiecha się delikatnie i nieśmiało do ludzi, choć przez ten czas nie zniknie mu z twarzy jakiś rys cierpienia.

Koronację Jana XXIII przeżywałem w bazylice watykańskiej. Widziałem, oczywiście, nieporównanie mniej niż dzisiaj w telewizji i może dlatego zapamiętałem z niej na zawsze tylko Jana XXIII, niesionego ponad głowami ludzi, i ścisnęło mi się serce nad samotnością papieża, którego wosi się tak wysoko, żeby pamiętał, że jest najwyższym na ziemi pośrednikiem.

Gdy po raz trzeci, wśród dźwięków orkiestr i krzyku tłumów Paweł VI usłyszał te same słowa przestrogi o przemijaniu chwały świata, pochylił głowę. W starożytnym Rzymie, w czasie triumfów, na wozie triumfatora stał z tyłu niewolnik, który co chwila powtarzał mu do ucha: „Pamiętaj, że jesteś śmiertelny”.

Po *Tu es Petrus* papież szybko podchodzi do ołtarza, tak że kardynał protodiakon ledwie za nim nadąża. *Capella Sistina* śpiewa *Introit* mszy koronacyjnej, gdzie jest mowa o przymierzu między Bogiem a ludźmi i gdzie zawarty jest wiersz z Psalmu 131: „pomnij, Panie, na Dawida...” Następują trzy modlitwy *super Pontificem*, czytane przez kardynałów Masellę, Pizzardo i Tisseranta. Następnie papież siada na krześle i pierwszy diakon, kardynał Ottaviani, wkłada mu paliusz, który prefekt ceremonii apostolskich, arcybiskup Dante poprawia, a wreszcie zdejmuje i nakłada jeszcze raz, prawidłowo, przypinając go do fanonu trzema złotymi szpilkami. Gdyby nie było monsignora Dante, byłoby jeszcze trudniej być papieżem niż jest, zwłaszcza w dziedzinie liturgicznej.

Po okadzeniu ołtarza papież zasiada na tronie, który umieszczony jest w drzwiach bazyliki, i odbiera homagium kardynałów. Każdy całuje jego pierścień przyklękając. Kardynał Cicognani, sekretarz stanu, jest pierwszym, z którym papież wymienia pocałunek, kardynał Copello całuje papieża w oba policzki, co staje się potem prawie regułą. Ojciec święty z każdym zamienia kilka słów. Kardynał Spellman obejmuje papieża lewą ręką, kardynał Wyszyński po wymienieniu pocałunku z papieżem odchodzi uśmiechnięty. Kardynał Ottaviani składa hołd jako pierwszy spośród kardynałów diakonów, zamienia z papieżem kilka zdań, po czym, często pogodnie się uśmiechając, zajmuje na powrót miejsce po prawej stronie tronu. Dziewięćdziesięcioletniemu kardynałowi Migone pomaga zejść i wejść dwóch prałatów; najdłużej ze wszystkich rozmawia z papieżem kardynał Bea.

Potem składają hołd przedstawiciele opatów, biskupów i kapituły Świętego Piotra. Paweł VI nie pozwala się całować ani w kolano, ani w stopę.

Teraz papież ma chwilę czasu, aby obetrzeć pot z czoła i poprawić piuskę — w Rzymie panuje tego dnia upał sięgający niemal 40°. Jedynej, ale za to niespodziewanej ochłody zaznali znajdujący się w pobliżu obu wodotrysków, które, wyłączone od początku uroczystości, znienacka uruchomiono w czasie mszy.

Po *Introicie*, *Kyrie* i *Gloria* papież odśpiewał modlitwę ze mszy *in die coronationis*, modlitwę za samego siebie, żeby mógł przewodzić Kościołowi słowem i przykładem i dojść wraz z wszystkimi, którzy mu zostali powierzeni, do zbawienia wiecznego.

Następnie kardynał, pierwszy diakon, poprzedzony przez ceremoniarzy i *mazzieri*, przez audytorów Roty i adwokatów konsystorialnych, trzymając w dłoni ferulę udaje się do ołtarza, przed którym klęcząc intonuje litanie koronacyjną, powtarzając trzykrotnie *Exaudi, Criste* — „Wysłuchaj, Chryste”, na co asysta odśpiewuje: „Panu naszemu Pawłowi, przez Boga ustanowionemu najwyższemu biskupowi i powszechnemu papieżowi — życie!”

Na każde wezwanie litanii, w czasie której wymienia się imiona różnych świętych, chór odpowiada *Tu illum adiuva* — „Wspomóż go”.

Lekcja śpiewana jest po łacinie. Jest ona wyjęta z 1 Listu pierwszego papieża świata: „Piotr, apostoł Jezusa Chrystusa, do wybranych, przybyszów rozproszenia w Poncie, Galacji, Kapadocji, Azji i Bitynii... łaska i pokój niech się w was pomnożą...” Ileż się od tego czasu zmieniło: na placu Świętego Piotra, który od VIII wieku nie był świadkiem koronacji — koronacje odbywały się wprawdzie na balkonie bazyliki, ale nie na placu, jak dziś — jest reprezentowany cały świat. Dziewięćdziesiąt sześć misji nadzwyczajnych reprezentuje rządy i wielkie organizacje międzynarodowe. Są też — i widać, jak trwale okazuje się dzieło Jana XXIII — przedstawiciele „braci odłączonych”, tak protestantów, jak pra-

wosławych, których Bóg na równi z nami „odrodził przez zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa do nadziei żywej...”. I jest naprawdę w tej chwili tak, jak w tym czytaniu: „W tej myśli optywacie w wesele, choć trzeba wam jeszcze przez czas krótki posmucić się w przeróżnych pokusach...”

Grecką i łacińską księgą Ewangelii niesie się procesjonalnie do tronu papieskiego. Diakoni trzymają je wysoko jak monstrancje; towarzyszy im sześciu akolitów ze świecami.

Ewangelia mszy koronacyjnej, ilustrowana olbrzymim arrasem wiszącym nad tronem papieskim, mówi o nadaniu przez Chrystusa władzy Piotrowi. Greckim ewangeliarzem papież błogosławi zebranych.

W przemówieniu Pawła VI występuje na pierwszy plan obraz Kościoła „wolnego i ubogiego, którego postawa jest postawą matki i nauczycielki, pełnego miłości do wiernych synów, postępującego z szacunkiem, zrozumieniem, cierpliwością, zapraszającego serdecznie do siebie wszystkich, którzy są jeszcze od niego oddaleni”.

Mówiąc o Kościołach wschodnich, papież posługuje się językiem francuskim, którym ich przedstawiciele przemawiali na pierwszej sesji Soboru. Mówi o już istniejącej jedności wszystkich chrześcijan, jedności polegającej na wierze i miłości do Chrystusa, jedności wszystkich naznaczonych pieczęcią chrztu. Stwierdza wreszcie pozorną areligijność nowoczesnego świata, w rzeczywistości przenikane go przez Ducha i przez łaskę, „wzdychającego do sprawiedliwości, aspirującego do postępu, który byłby postępem nie tylko technicznym, ale ludzkim, do pokoju, który byłby nie tylko zawieszeniem wrogich działań między narodami czy klasami społecznymi, lecz prowadziłby do współpracy ludzi i narodów w atmosferze wzajemnego zaufania”.

Po krótkich alokucjach w językach angielskim, niemieckim, hiszpańskim, portugalskim, polskim i rosyjskim msza toczy się dalej. Po podniesieniu widać, że zapalono nie tylko reflektory, ale i latarnie na *Via della Conciliazione*.

Capella Sistina intonuje antyfonę *Korona złota na głowie jego...* Papież w mitrze wraca na tron, obok którego sztandar Kościoła katolickiego trzyma chorąży, markiz Patrizi Naro Montoro. Kardynał Tisserant odmawia krótką modlitwę, żeby nowy papież owocnie rządził Kościołem. Wreszcie punkt kulminacyjny uroczystości: kardynał Ottaviani jako protodiakon wkłada tiarę na głowę Pawła VI. Flesze reporterów jak błyskawice zapalają na niej sine błyski, wydobywając utajony dramatyzm tej chwili.

Papież siedzi przez chwilę bez ruchu, z zamkniętymi oczami. Dopiero po chwili podniesie się, żeby udzielić błogosławieństwa Miastu i Światu. Czuje się w tej chwili pewnie nie tyle ojcem książąt i królów, o czym była mowa w formule koronacji, ile zastępcą Chrystusa, który umarł za wszystkich ludzi.

Sześć lat temu kończył jeden ze swoich odczytów słowami: „Będziemy kochali swoją ojczyznę i będziemy kochali ojczyznę innych ludzi. Będziemy kochali katolików, będziemy kochali schizmatyków, protestantów, anglikanów, indyferentnych, muzułmanów, pogan, ateistów... Będziemy kochali tych, którzy z nas drwią, którzy nami gardzą, którzy są nam przeciwni, którzy nas prześladują... Będziemy kochali naszą epokę, naszą cywilizację, naszą technikę, naszą sztukę, nasz sport, nasz świat...”

Telewizja, telefotografia i film wzbogacają dziś ikonografię papieżstwa o nową twarz. Jeszcze dziś, a najpóźniej jutro świat zobaczy Pawła VI w tiarze podarowanej mu przez Mediolan, średnio-wiecznej w kształcie, dyskretnie nowoczesnie zdobionej. Złośliwi nowi diecezjanie papieża z miejsca porównali ją do sputnika, pewnie sami mediolańczycy zrewanżowali się uwagą, że podczas gdy Mediolan złożył papieżowi w darze kilka milionów na walkę z głodem na świecie, rzymianie zdążyli już złożyć kilka setek próśb o zapomogi.

Prasa pełna jest zdjęć kardynała, arcybiskupa, pralata, księdza, studenta i chłopca, który właśnie został papieżem. Spośród zdjęć arcybiskupa Montiniego zwracają uwagę dwa. Pierwsze datowane

jest 6 stycznia 1955 roku. Był to dzień, kiedy arcybiskup Montini jechał z Rzymu objąć rządy swojej diecezji. Granicę jej przekraczał na Ponte Lombardo. Tego dnia padał deszcz. Arcybiskup zatrzymał samochód i nie zwracając uwagi na tłum oficjeli świeckich i duchownych uklęknął i pocałował mokry asfalt, pierwszy kawałek terytorium swojej diecezji.

Nigdy nie widziałem zdjęcia biskupa całującego ziemię. Zdaje mi się jednak, że rozumiem ten gest, w którym nie było nic teatralnego. Każdy ksiądz z prawdziwego zdarzenia tęskni za pracą duszpasterską, za tym, żeby być proboszczem, żeby być księdzem nie tylko przy biurku czy na katedrze, ale w konfesjonale i na ambonie, żeby być bezpośrednio dla ludzi, żeby widzieć z bliska ludzi, dla których pracuje. Na Ponte Lombardo sfotografowano chwilę spełniania się tych marzeń i tęsknot w życiu jednego księdza.

Drugie zdjęcie jest wesołe i gdyby je reprodukowano w pewnym dostojnym, bizantyjskim kraju leżącym nad Wisłą, na pewno wywołałoby ono fale zgorszeń duchownych i świeckich. Jego Ekszelencja Najprzewielebniejszy Ksiądz Arcybiskup Montini we fioletach, w rokicie, mucecie, z krzyżem na piersiach robi rundę honorową samochodem na stadionie Vigorelli w Mediolanie z okazji jakiegoś święta sportowego młodzieży katolickiej. Na głowie ma — *horresco referens* — śmieszoną czapeczkę kolarską z daszkiem.

Thuny *fucini* i robotników z ACLI, z których wielu pamiętało go pewnie w tej czapeczce, wiwatuje dzisiaj na cześć swojego dawnego asystenta, swojego arcybiskupa, swojego przyjaciela, którego w tiarze niosą dziś *sediarii*, pod baldachimem, z egipskimi pióropuszcami po bokach.

To dobry znak, że papież od wielu, wielu lat pracował wśród młodych i z młodymi, zwłaszcza że robił to z własnej woli, nie z rozkazu. Nie można też zapomnieć, że Paweł VI, licząc wówczas sześćdziesiąt pięć lat, był bardzo młodym papieżem. To bardzo

dobrze, bo starzejący się świat potrzebuje młodości; młodości potrzebuje także Kościół.

Paweł VI podjął z miejsca dzieło Soboru, które ma przynieść właśnie odmłodzenie Kościoła, używotnienie go i zbliżenie do życia. Jan XXIII obudził ogromne nadzieje — Paweł VI w swojej homilii koronacyjnej powiedział, że spełnienie tych nadziei uważa za swój obowiązek i zaszczyt.

Janowi XXIII zarzucono rozbrojenie chrześcijaństwa, tak jakby w Ewangelii królestwo niebieskie zostało porównane do twierdzy, a nie do miasta położonego na wzgórzu. Jeżeli sytuacja świata przypomina dziś pole walki między Socho i Azeką, to doprawdy nie jest powołaniem Kościoła ani papieża występować w roli Goliata. Niewątpliwie w ciągu dziejów Kościoła niejednokrotnie był on właczany w zbroję, uważał, że powinien wkładać hełm miedziany i karacnę królewską, i próbował, czy będzie umiał zbrojnie chodzić, b o n i e m i a ł z w y c z a j u.

„I rzekł Dawid do Saula: Nie mogę tak chodzić, bo nie mam zwyczaju. I złożył je...”

Pokusa sięgnięcia po miecz dotknęła Kościół w osobie pierwszego papieża w ogrójcu; tam, gdzie Chrystus miał konać w samotności i z samotności, Piotr dobył miecza z pochwy przeciwko wrogowi zewnętrznemu. Takich ciemnych chwil w historii Kościoła miało być jednak więcej. Okazało się także, że Goliat może być w Kościele także do użytku wewnętrznego, że może mieć katolicką przyłbicę, katolicki puklerz i katolicki oszczep po to, by rozprawić się z bezbronny Dawidem, mającym po swojej stronie tylko młodość i nadzieję, a powołanym do świadczenia, „że nie mieczem ani oszczepem wybawia Pan”, i w celu przypomnienia, że w Ewangelii mówi się niewiele i bez sympatii o „środkach bogatych”.

Kościół ubogich... dla Pawła VI nie będą te dwa słowa sloganem homiletycznym. W czasie jakiejś zbiórki zdjął po prostu z palca pierścień biskupi i wrzucił do puszeki.

— Ekscelencjo, przecież pierścień...

— Nie trzeba się przywiązywać do rzeczy — powiedział półgłosem arcybiskup Montini.

Szansą Dawida było to, że nie dźwigając na sobie kosztownej i ciężkiej zbroi, był zwinniejszy i szybszy od swego przeciwnika. Stając do zapasów człowiek ubrany jest w gorszej sytuacji od nagiego.

Są znaki wskazujące na to, że za pontyfikatu Pawła VI Kościół, jak za Jana XXIII, pozostanie Kościołem skierowanym do ubogich, do tych, którym się nie powiodło, do tych wszystkich, którzy będąc przykładem nieudanego życia potrzebują bardziej od innych dobroci, wyrozumiałości, miłości: arcybiskup Montini piszący list do służącej odbywającej karę więzienia za dzieciobójstwo, odwiedzający ex-księdza żyjącego w samotności i opuszczeniu na rzymskim przedmieściu, potwierdza takie nadzieje. Jeden z jego czynów miłosierdzia nazwał „Paris Match” gestem poety: przed sześciu laty, przed świętami Bożego Narodzenia, arcybiskup Montini wpłacił milion lirów na konto miejskiego lombardu, chcąc w ten najdelikatniejszy chyba w świecie sposób spowodować, żeby na święta powróciły do domów najuboższych różne osobiste przedmioty i pamiątki, zastawione pod naciskiem nędzy.

Capitulum z niesporów, które są już z jutrzejszego święta Najdroższej Krwi: *Christus assistens Pontifex...* Chrystus został najwyższym kapłanem przez własną krew.

Na ekranie telewizora papież w tiarze, z zaczerwienionymi oczami, uśmiechnięty do wiwatującego tłumu. Będą padali przed nim na kolana, czcili go, słuchali, podsuwali różne przepisy na rządy Kościołem, kochali, krytykowali, rozumieli i nie rozumieli. Jedno jest także pewne, że będzie za swoje najwyższe kapłaństwo i pośrednictwo płacił ceną straszliwą, że świat będzie się odkupiał także jego krwią i cierpieniem, może w większej mierze niż cierpieniami innych chrześcijan, powołanych, by dopełniać, czego nie dostaje cierpieniem Chrystusa, żeby krzyż nie był pusty.

Mój Boże, tak nie powinno się kończyć opisu koronacji papieża — powinien tu być jakiś akord triumfalny, coś o sile Kościoła, albo o tym, że papież nie umiera.

Co wieczór umiera cały świat. Jest już ciemno, gdy wracamy do domu. Palą się latarnie i neony. Jest wieczór ostatniego dnia czerwca. Ciężki jak każdy wieczór. Przeżyć wieczór to znaczy trochę umrzeć. *Completorium* brewiarzowe, ostatnia godzina modlitwy liturgicznej, jest jakąś formą *commendationis animae*, modlitwy za konającego, odmawianej na własny użytek.

Zaczyna ją wzruszający wiersz, modlitwa wszystkich, którzy raz jeszcze nie zdążyli się dzisiaj nawrócić, którym jeszcze raz zabrakło na to sił: *Converte nos Deus, salutaris noster* — „Nawróć nas, Boże, zbawienie nasze...”, Ty sam nas nawróć.

Psalmy Dawidowe usiłują nas uleczyć *a terrore nocturno*, wybawić z lęku przed ciemnością, nicością i śmiercią, przed nocami, które w naszym stuleciu są bardziej porą trwogi niż miłości.

Liturgia wprowadza nas w noc jak w agonię, ale w agonię odbarwioną z przerażenia. W *responsorium* powtarzają się słowa Chrystusa: „W ręce Twoje polecam ducha mego”, przeplatając się z odpowiedzią: „Odkupiłeś nas, Boże prawdy”. Mieć świadomość odkupienia... wtedy można by powtarzać spokojnie słowa Symeona żegnającego świat: „Teraz, o Panie, według słowa Twego uwalniasz sługę Twego w pokoju, bo ujrzały już oczy moje zbawienie Twoje” (Łk 2, 29).

Każdego dnia oglądamy jakiś fragment dokonującego się zbawienia. Każdego dnia między jakimś Socho i nieznaną Azeką Bóg wybawia jakiegoś Dawida, nie mającego w oczach ludzi żadnych szans ocalenia.

To właśnie pozwala dalej żyć i sprawia, że nasz świat nie jest światem ginącym, choć nieustannie wchodzi w noc, porę Goliatów.

CZAS UMIERANIA
I ŻYCIA

Tak bowiem Bóg
umiłował świat,
że Syna swego
jednorodzonego dał,
ażeby każdy,
kto weń wierzy,
nie zginął,
ale miał życie



Już jesień. Ulegając pozornemu przyspieszeniu, przemijanie świata staje się bardziej widoczne. Cień drugiego brzegu, o którym pisał przed laty Słonimski, staje się niemal dotykalny. Zbliżają nas do niego wszystkie pory roku, ale jesienią, dzięki nieprzewyciężonym atawizmom, odczuwamy to najsilniej. Odwieczne problemy życia i śmierci stawia przed nami pora najpiękniejszych barw, czas zbierania owoców.

5 września. Mógłby dziś być wspaniały letni dzień, gdyby nie poranek — po ostro wygwieżdżonej nocy — bardzo chłodny.

Na drodze jest już upał, ale nad rzeką, w miejscach zacienionych, zimna rosa aż do południa zlepia zwaloną, nigdy nie koszoną trawę. Na moim brzegu pachnącym tatarakiem i miętą, gdzie wiklinę oplatają powoje i zdziczały chmiel, jest jeszcze bardzo wcześnie: słońce jest na drugim brzegu. Trzeba się tam przepawić niosąc nad głową ubranie, brodząc po szyję w lodowatej wodzie.

Po drugiej stronie brzeg jest wysoki i trzeba się skrabać po korzeniach podmytej przez rzekę olszyny, żeby dostać się na trójkątną łąkę, odciętą jak wyspa od wzgórz i ściernisk przez drzewa, krzaki i wysokie pokrzywy. Słońce. Upał. Ziemia sucha jak pieprz. Wśród długiej zczesanej przez wiatr trawy nie brak ździebeł złocistych i szarych, jakby zieleń okryła się siwizną. Nie chcę tego jednak położyć na karb jesieni, lecz wielomiesięcznej suszy, bo przecież jeszcze jest lato. Różnorakie zielenie brzmią dookoła jak triumfalna muzyka. A może to po prostu wiatr szumiący w olchach i szeleszczący w trzcinach. Kwitną jeszcze dziurawiec, krwawnik, powój i jedna spóźniona ostrężyna. Słychać głosy ptaków; brak tylko kukułki, która nie mogła się nauczyć kukania i tak śmiesznie jąkała się na wiosnę. Lato. Słońce. Napęlić się nim na zimę, na wszystkie niepogody, na wszystkie smutki. Póki jeszcze trwa lato...

Kiedy jednak przerywam na chwilę lekturę i leżąc w trawie, patrzę na łąkę, zauważam *Mane Tekel Fares*, wypisane ponad zapachami, dźwiękami i barwami: ponad wszystkimi ziołami drgają wyschnięte szkielety ostów i dzikiego kopru. Oto zapowiedź, oto zwiastuny — pomyślałem *Lato było ogromne*, ale zostało już ugodzone i jego śmierć zwiastuje taniec srebrnych duchów umarłych roślin ponad łąką spaloną upałem, drżącą od muzyki owadzych skrzydeł.

Dopóki nie wymrą ludzie, którzy pamiętają, każdy wrzesień będzie porównywany do tamtego. W tym roku bezchmurne, słoneczne pogody szczególnie żywo przypominają tamten miesiąc sprzed dwudziestu pięciu laty. Ćwierć wieku...

to przecież tyle, ile może wynieść życie człowieka. Iluż ludzi nie dożyło nawet tego wieku, zamordowanych przez wojnę, która się wtedy zaczęła. Młodzi żołnierze, robotnicy, studenci ginęli pod tym samym słońcem, od którego ciemniały ich twarze w czasie ostatniego lata, nad brzegami spokojnych rzek i cichych jezior. Lato wtedy nie skończyło się w sierpniu i ci, którzy wówczas ginęli pośrodku życia, umierali w połowie lata:

Kiedy się wypełniły dni
i przyszło ginąć latem,
prosto do nieba czwórkami szli
żołnierze z Westerplatte.
A lato było piękne tego roku.

Od niepamiętnych czasów ludzie przyzwyczajeni byli, że na wojnie ginie młodzież, że żołnierze zabijają żołnierzy. W czasie tej wojny, pierwszej wojny totalnej w historii świata, wszyscy mogli zabijać wszystkich. Śmierć została zdemilitaryzowana, stała się zjawiskiem zupełnie cywilnym, policyjnym, politycznym.

Tu, na Pomorzu, gdzie piszę te słowa w dwadzieścia pięć lat od wybuchu wojny, polityczna, hitlerowska śmierć zadomowiła się dopiero po przejściu frontu, kiedy ludzie mówili do siebie: przeżyliśmy najgorsze.

13 września miał miejsce pierwszy masowy mord na Kociewiu: w lesie szpęgawskim. Potem dalsze, aż do stycznia. Na pierwszym miejscu księża i nauczyciele. Księży z tej diecezji chełmińskiej miało zginąć wtedy i później w obozach przeszło trzystu. Nie sposób pisać o wszystkich, których Bóg powołał do dania tak straszliwego świadectwa o kapłaństwie, o chrześcijaństwie, o człowieczeństwie.

Oto jedno z nich, przypadkowo znalezione w książce noszącej tytuł: *Szpegawsk, z martyrologii mieszkańców Kociewia*, wydanej w Gdyni w roku 1959 przez Związek Bojowników o Wolność i Demokrację. Na stronach 243-245 znajduje się w niej protokół z przesłuchania w Sądzie Grodzkim w Starogardzie dnia 20 grudnia 1947 roku świadka Franciszka Gołuńskiego:

„Dom mój znajduje się w odległości około 200 metrów od plebanii w Suminie. Mniej więcej dnia 13 października 1939 r. około godziny 12 w nocy usłyszałem przejeżdżający koło mnie samochód, który oddalił się w kierunku plebanii. Około godziny pół do drugiej usłyszałem, że ktoś zaczął się dobijać do drzwi. Gdy otworzyłem, zobaczyłem podejrzanego Wiecherta, który miał w ręku broń i ubrany był w mundur podobny kolorem do tego, jaki nosiło przed wojną Wojsko Polskie. Obok niego zauważyłem podejrzanego Egona Sieverta, który był ubrany w rewerendę, futro czarne po księdzu oraz biret, tak że na pierwsze wrażenie ludzaco podobny był do księdza. Gdy otworzyłem drzwi, to pies mój wyskoczył i ugryzł Wiecherta w but. Wiechert chciał za to psa zastrzelić, jednakże na moją prośbę odstąpił od tego, a ja musiałem zapłacić mu tytułem odszkodowania kwotę 50 zł. Żądali oni ode mnie, bym dał im moich koni do wyciągnięcia samochodu, którym oni jechali, a który znalazł się w rowie przydrożnym. Gdy ja zwróciłem się do Sieverta słowami: «Co pan chce ode mnie, panie Sievert» — zauważyłem, że Sievert zmieszał się nieco, po czym więcej się on już nie pokazał.

„Gdy krótko potem wyszedłem przed dom, zauważyłem siedzącego na schodach księdza proboszcza Krzyżanowskiego, który był proboszczem w parafii sumińskiej. Jak zauważyłem, na pierwszy rzut oka, to ksiądz Krzyżanowski był bardzo zmaltretowany i pobity: na twarzy był skrwawiony, brak mu było pięciu zębów i kilkakrotnie wymiotował, a jak później zauważyłem, wymiotował krwią. Wdałem się w rozmowę z księdzem Krzyżanowskim, który mi się zwierzył, że Wiechert i Sievert zajechali do niego, zbili go, wybili mu przy tym kilka zębów, przemocą wlewali mu wódkę czystą do ust, mimo że on w ogóle wódki nie pił, przy czym wódkę tę przywieźli z sobą. Ponadto kazali mu się rozebrać do naga, chodzić na klęczkach, a ponadto kazali się rozebrać do naga gospodyni i służącej i ustawili ich pod ścianą. Oprócz tego — mówił mi ksiądz Krzyżanowski, Wiechert i Sievert nakłaniali go i przymuszali, by w ich obecności dokonał stosunku cielesnego ze swoją gospodynią. Doradzałem księdzu Krzyżanowskiemu, by skorzystał z chwilowej nieuwagi Sieverta i Wiecherta i żeby zbiegł im. Na to jednak ksiądz Krzyżanowski odpowiedział,

że gdyby udało mu się zbiec, to by za to zabrali mnie i moją całą rodzinę. W ten sposób przesiedział ksiądz Krzyżanowski na schodach kamiennych do wpół do piątej rano”.

Co myślał przez pół nocy, czekając na świt, czekając na śmierć ten ksiądz dygocący z gorączki i zimna na schodach domu, którego nie chciał swoją ucieczką narazić na nieszczęście? Ale widać, że swojej roli nauczyli się nie tylko mordercy. Przed wojną Sievert był drogerzystą, a młody Wiechert służył nawet w wojsku polskim, w 2 pułku szwoleżerów; gestapowskiego fachu uczyli się w domu, w Starogardzie. Mordercy przygotowywali się od dawna do swojej roli. To jednak, co dławi ze wzruszenia, to niepojęty w wymiarach ziemskich fakt, że w ciągu kilku minut czy godzin ich ofiary, zwykli cywilni ludzie, dojrzewali do bohaterstwa. Zło przygotowywało się od dawna, ale **d o b r o n i e d a ł o s i ę z a s k o c z y ć** i okazywało się silniejsze od lęku przed torturami, od chęci życia **z a w s z e l k ą c e n ę**. Na wpół obłąkany od nocnych widziadeł dowódca starogardzkiego Selbstschutzu SS-Mann Drews opowiadał, że „Polacy umierali zachowując taką godną postawę, że musiał to podziwiać”. Godna postawa... Czy tu rzeczywiście szło o to? Ksiądz Krzyżanowski nie myślał o tym zapewne. Tyle wiedział już o odpowiedzialności zbiorowej, że nie uciekał, ponieważ wtedy musieliby zapłacić za to jego ludzie, jego parafianie. Nie wiadomo, czy mu przyszedł wtedy na myśl werset z Ewangelii, który w tej chwili sprawdzał się dosłownie: „Dobry pasterz życie swoje daje za owce swoje” (J 10, 11). I jeżeli owej nocy drżał nie tylko z zimna, ale i z trwogi przed dalszymi torturami i śmiercią, to nawet tym był podobny do Człowieka, który przed wiekami, pewnej nocy, samotny w obliczu męki, pocił się krwawym potem.

„Bo widzisz, w pewnym sensie Trwoga jest jednak córką Bożą, odkupioną w noc Wielkiego Piątku. Nie jest ona piękna — o nie! To wyszydzana, to znów przeklinana, odrzucana przez wszystkich... A jednak niech cię to nie myli: ona jest u wezłowia każdej agonii,

to ona wstawia się za człowiekiem”. To zdanie z *Radości* dał Bernanos za motto *Dialogom karmelitanek*. W tym dramacie o męczeństwie, honorze, odwadze i lęku powiedział: „Cokolwiek by się stało, liczymy tylko na ten rodzaj odwagi, której Bóg udziela z dnia na dzień i jakby po groszu. Ta właśnie odwaga nam przystoi, odpowiada najlepiej pokorze naszego stanu. Może byłoby zbytym zuchwalstwem prosić Boga o nią. Lepiej prosić Go pokornie, by strach nie doświadczał nas ponad nasze siły, byśmy odczuwały tylko upokorzenie, jakie z niego płynie, nie dając mu się jednak popchnąć do jakiegoś nagannego czynu. Rozróżnienie między trwogą a odwagą, gdy się je rozpatruje z owego ogrodu Getsemani, gdzie w Najgodniejszym Sercu Naszego Pana została przebóstwiona wszelka ludzka trwoga, wydaje mi się niemal zbędne i one obie ukazują się nam jako zbytłowne świcidelka”.

To prawda. Z całej pielgrzymki do Ziemi Świętej najbardziej wstrząsnęło mną Getsemani. Co wieczór przychodziłem się modlić nad białą skałą, wznoszącą się odrobinę ponad posadzkę kościoła Agonii.

Całowałem tę skałę jak nie całowałbym żadnego żywego człowieka. Modliłem się przeciwko samemu sobie. Ale lęk, z którym przyjechałem, pozostał tam, i kiedy wyszedłem do ogrodu, gdzie ziemia wydawała się trędownata od pokurczonych cieni oliwek, po których ściekała księżycowa pełnia, poczułem, że jestem wolny. Czując się lekki jak po wielkim płaczu, szedłem w zupełnej samotności przez arabską noc, mijając miejsce męczeństwa świętego Szczepana, i dalej Drogą Krzyżową, aż do domu.

Dziś, po przejściu wojny totalnej, zachwiała się wiara w to, że każdy ma prawo umrzeć własną śmiercią. Śmierć została odpersonalizowana i urzeczowiona. Akcesoriami śmierci współczesnej i jej atrybutami stał się zespół rzeczy: szklanych, stalowych, plastikowych. Umierając najzupełniej pokojowo, w domu czy szpitalu, umiera najczęściej nie człowiek, a przypadek kliniczny. Chcąc dziś przedstawić śmierć, nie można namalować czy wyrzeźbić

kościotrupa czy wychudłego przeraźliwie człowieka. Trzeba by przedstawić jakąś r z e c z, przedmiot, aparat służący do wykrywania jej obecności.

Mówiąc w roku 1970 w Warszawie u Wizytek, zastanawiałem się nad sensem medycyny. Muszę wyznać, że my, księża, mamy w stosunku do lekarzy kompleks niższości. Albert Schweitzer będąc pastorem, został lekarzem, żeby jak mówił, móc działać „bez żadnego gadania”. Jezus też był lekarzem... co więcej, Jezus wskrzeszał zmarłych. To prawda, a jednak i Łazarz, i młodzieniec z Naim w końcu musieli umrzeć. Pacjent ratowany z pomocą najwyższych umiejętności lekarskich, wyciągany z agonii heroicznym wysiłkiem, też wreszcie musi umrzeć. Czymże więc jest medycyna? Myślę, że w najgłębszym, ostatecznym sensie jest z n a k i e m tego, co w pełni i definitywnie uczyni Bóg, „dla którego wszystko żyje”, który chce uratować od zagłady wszystkich.

Śmierci współczesne przychodzą przeważnie nie w porę, dezorganizują, przerażają. Czy jednak naprawdę jest to zjawisko XX-wieczne? Przecież już sto lat temu pisał Norwid *Na zgon śp. Józefa Z.*:

— Dlatego to w Epoce, w której jest więcej

R o z ł a m a ń — niżli D o k o ń c z e ń...

Dlatego to w czasie tym, gdy więcej

Jest R o z t r z a s k a ń — niżeli Z a m k n i ę ć;

Dlatego to na teraz, gdy więcej jest daleko

Ś m i e r c i — niżeli Z g o n ó w:

Twoja śmierć, Szanowny Mężu Józefie,

Doprawdy, że ma podobieństwo

Błogosławionego jakby uczynku!

— Może byśmy już na śmierć zapomnieli

O chrześcijańskim skonu pogodnego tonie

I o całości żywota dojrzałego...

Może byśmy już zapomnieli, doprawdy!...

Widząc — jak wszystko nagle rozbiega się

I jak zatraskuje drzwiami przeraźliwie —

Lecz mało kto je zamknął z tym królewskim wczasem i pogodą,

Z jakimi kapłan zamyka Hostię w ołtarzu.

Media vita in morte sumus — „Pośrodku życia w śmierci jesteśmy”. To nie jest dobre tłumaczenie, ale jak to wyrazić: umieramy w połowie życia; choć zanurzeni w życiu, jesteśmy chorzy na śmierć; jest w nas połowa życia i połowa śmierci...

Związek życia ze śmiercią wysysa siłę z życia, ale odwrotnie: życie krzewi się dzięki śmierci. Przechodzenie ustawiczne śmierci w życie odbywa się nie tylko na płaszczyźnie przyrodzonej w organizmach i cywilizacjach, ale i w porządku łaski: *tuis enim fidelibus, Domine, vita mutatur, non tollitur* — życie chrześcijanina ulega w chwili śmierci przemianie, a nie zagładzie.

Mówi się, że najtrudniej jest uwierzyć we własną śmierć; jak wiadomo, doświadczenie poucza nas, że zawsze umierają inni. Czy to nie zastanawiające, że więcej trzeba wysiłku, by uwierzyć we własną śmierć (jako zjawisko definitywne) niż w życie (poza-grobowe)?

Kariera artystyczna śmierci się skończyła: sztuka, która tyle jej ma do zawdzięczenia (starożytne cmentarze, mauzolea, grobowce, sarkofagi — w związku z tym malarstwo i rzeźba), po predylekcji średniowiecznej i barokowej najwyraźniej unika jej współcześnie. Nie tylko dlatego, że śmierć jest dziś zjawiskiem bardziej antypatycznym niż dawniej (był u nas taki czas, że pisanie o niej było błędem natury ideologicznej), ale i dlatego, że nie sposób wymyślić nową ikonografię śmierci.

W *Tańcach śmierci* i w *Bildern des Todes* Holbeina z 1538 roku każdy stan miał swoją śmierć: papież, cesarz, król, kardynał, cesarzowa i królowa, opat i opatka, szlachcic i kanonik, radny i kaznodzieja, proboszcz i mnich, zakonnica i stara kobieta, lekarz i astronom, bankier i kupiec, żeglarz i rycerz, hrabia i starzec, hrabianka i szlachcianka, kramarz i oracz... Śmierć każdego z nich miała swój własny atrybut i swój własny kształt; czasem zachowywała się pocziwie, a czasem przedrzeźniała i przerażała *moribunda* z małpią złośliwością.

Śmierć Jana XXIII. Choć fizycznie biorąc pod koniec życia, to jednak widziana wtedy, jakby w połowie drogi: *nel mezzo del cammin*. Dlatego ze swojej śmierci uczynił papież Jan dalszy ciąg życia; ją także rzucił na szalę:

— Składam siebie w ofierze na ołtarzu, za Kościół, za Sobór, za pokój.

Przy tym wszystkim miał świadomość nie tylko tamtych wielkich spraw — bo o tym, że umiera, nie mówił, nie był zajęty własnym umieraniem. Zrozumiałem, dlaczego dopiero czytając *Giornale dell' anima*: całe jego życie, wszystkie skrupulatnie odprawiane rekolekcje były przygotowaniem na śmierć. Ale i spraw drobnych: spraw ludzi, którzy go kochali, spraw ludzi, których kochał.

W niedzielę Zielonych Świąt, w przeddzień śmierci, widząc klęczącego w kącie i modlącego się z płaczem księdza Lorisa Capovillę, zrobił znak, że chciałby mu coś powiedzieć. Ksiądz Capovilla zbliżył się i ukląkł przy łóżku. Jan XXIII powiedział:

— Jak już będzie po wszystkim, musisz koniecznie pojechać do matki.

To „po wszystkim” oznaczało: gdy się skończy moja agonია, po mojej śmierci.

Śmierć Kennedy'ego. Dosłownie *media vita*, w środku życia, niespodziewana. Niepojęta także dlatego, że anachroniczna: nie pasująca do epoki, do stylu epoki, do Ameryki życia ułatwionego. Późniejsze wypadki miały dopiero wykazać, że życie amerykańskie potrafi być bardzo drapieżne, że może posunąć się do okrucieństwa. Właśnie pierwszym tego przykładem była śmierć Pierwszego Obywatela Stanów.

Ta śmierć była zupełnie nie w duchu epoki i tego kraju, który znaleźmy przedtem: kraju, dla którego jednym z najważniejszych

problemów było *to have a good time i enjoy yourself*, gdzie przy wszystkim, nawet przy kampanii wyborczej, musiał być *fun*. I oto w tym kraju młodym, nieco dziecinny, stylizującym się na technicolorowy *Disneyland*, ta śmierć gwałtowna, patetyczna, śmierć od kuli, jak na polu bitwy. Śmierć tragiczna, ale heroiczna i tchąca wielkością. W Polsce na wsi mówią jeszcze ludzie, że ktoś miał ładną śmierć.

John Fitzgerald Kennedy zginął w pełni sił, niepokonany, idąc do triumfu, jakim byłby niewątpliwie ponowny jego wybór na prezydenta. W Dallas miał być początek jego drugiej w życiu kampanii wyborczej. Jechał w słońcu — było samo południe — otwartym samochodem, obok pięknej żony, która trzymała w ręku kwiaty. Obydwoje uśmiechali się do ludzi.

Po pierwszym strzale podniósł ręce do twarzy. Pewnie ani on sam, na pewno ani jego żona, ani nikt na trasie przejazdu prezydenckiego orszaku, ani nikt w Ameryce, ani nikt na świecie nie wiedział jeszcze, że zastrzelono prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Ale nie umierał sam. Obok była żona, która chwyciła go w ramiona, gdy osuwał się na podłogę samochodu. W chwilę potem wyczołgała się na bagażnik pędzącego coraz szybciej wozu, by wciągnąć na ratunek policjanta z osłony.

Myszę, że bardzo parafialny, nieco zeszlowieczny i trochę dziecinny model amerykańskiego katolika potrafi doskonale zdać egzamin z heroizmu, jakiego wymagają każde życie i każda śmierć.

Konała w karetce Czerwonego Krzyża, która we mgle, z włączoną syreną, o świcie dotarła do Paryża. Zwłoki okradziono potem z różańca i obrazka świętej Teresy, który kazała sobie podać i który trzymała w agonii. To nie był tylko fetysz, ale jakiś znak wiary, kształt nadziei, dowód miłości. Umierała opuszczona przez tych wszystkich, którym ułatwiała czy w ogóle umożliwiała życiowy start. Ale Théo — w ostatnich tygodniach życia mówiła o nim, że jest małym chłopcem, którego matka jest ciągle

chora — był przy niej, dobry i wierny, i prasa sensacyjna, najwulgarniejsze opium dla ludzi XX wieku, nie mogła sobie użyć w tej godzinie ani na ich miłości, ani na ich małżeństwie, jak to sobie obiecywała.

Kiedy umiera ktoś znany z tragicznie poplątanego życia, czekam zawsze z niepokojem, jaka będzie reakcja pewnej części prasy katolickiej. Coraz rzadziej, na szczęście, pojawiają się komentarze z nutką eschatologicznego triumfu: oto czym się kończy życie nieuporządkowane, niezgodne z naszymi zasadami. Jak by nie umierali — i to nieraz jak strasznie — święci.

Tak było i tym razem. Jakimż — w tym kontekście — poważnym i chrześcijańskim tonem zabrzmiał komunikat Arcybiskupstwa Paryskiego, które wydelegowało kapelana artystów, by na cmentarzu pobłogosławił zwłoki Edith Piaff.

Biednej i tylekroć oszukanej Edith Piaff, której ochrypli głos, której krzyk wołający o miłość, więcej mówił dzisiejszemu światu o potrzebie Boga, niż akademickie rozważania wielu kaznodziejów.

W przegadanych miejscami *Pieśniach* Brandstaettera cudowne zakończenie *Hymnu do Madonny Dobrej Śmierci*, będące parafrazą *Memento homo*:

Wierzymy,
Że powstaliśmy z miłości
I w miłość się obrócimy.
Amen.

Na przesienienie zwłok księży pelplińskich, zamordowanych w Tczewie 20 października 1939 roku, ksiądz Szymon Dreszler skomponował motet *Justorum animae*: „Dusze sprawiedliwych są w rękę Boga...”

Słyszałem tę melodię wiele razy. Ale dopiero gdy w marcu tego roku chór seminaryjny śpiewał ją nad otwartym grobem kompozytora, poczułem z fizyczną pewnością, że jest tak rzeczywiście, że przez śmierć Bóg chwyta dusze w swoje ręce. Dlatego pewnie niektóre agonie są tak ciężkie, bo ten uścisk bywa gwałtowny i bardzo silny. Każda miłość dopełniająca się w ciele zadaje mu cierpienie.

„Dusze sprawiedliwych są w ręku Boga...”, a Chrystus dodał: „... i nikt ich nie wydrze z mojej ręki”. Tyle razy modlimy się przed komunią we mszy świętej: „Nie pozwól mi oddalić się od Ciebie”. Oby Bóg wysłuchał nas nieodwołalnie w godzinę naszej śmierci.

Dlaczego jesień jest najbardziej kolorową, najbardziej bogatą porą roku? Dlaczego zamieranie łączy przyroda z największym przepychem? Antropomorfizując ją można by się zdumiewać, że właśnie w agonii chce najbardziej przykuć naszą uwagę.

— Nie spuszczaaj ze mnie wzroku — powiedział konający ksiądz Kolping do swego przyjaciela — to, co tu teraz widzisz, jest najbardziej w świecie interesujące.

Tym zdaniem rozpoczyna się sławna książka o „psychologii ostatniej godziny”, pióra Fryderyka zur Bonsen, zatytułowana *Między życiem a śmiercią* (*Zwischen Leben und Tod, zur Psychologie der letzten Stunde*, Düsseldorf 1927). Jest w niej mowa o lęku przed śmiercią i o przeczuciu śmierci, o zjawisku wzrostu sił duchowych u umierających, o ostatnich nastrojach, o wrażliwości religijnej i o wielu innych sprawach. To wszystko czyni z tej książki *a standard-work*, nie zdezaktualizowane po dziś dzień. Ale na własny użytek niewiele można się z niej nauczyć i w zakończeniu autor przyznaje: „Każde umieranie jest indywidualne jak życie, jak człowiek i — jak powiada Jean Paul — nie ma żadnego sposobu umierania”. Pomyślałem o płaczącej świętej Teresie z Lisieux:

— Nigdy nie będę umiała umrzeć...

Cmentarz w Żarnowcu. Jak wiele wiejskich cmentarzy, otacza kościół. Leżą na nim ludzie, którzy umarli na lądzie, i tacy, co zginęli na morzu. Otacza go wysoki mur ze średniowiecznej cysterskiej cegły, takiej samej, z jakiej zbudowany jest kościół. Kiedyś pisał Stanisław Kasznica o tym, że umarli pochowani na takich cmentarzach są bliżej żywych, bliżej ich pamięci i wdzięczności. Ale tutaj uderzyło mnie co innego: bliskość kościoła.

„Ilekcroć chciałem zgromadzić syny twoje jak kokosz gromadzi kurczęta...” Tutaj kościół wznosi się nad nimi wysoki, obronny; strzeże małych okwieconych mogilek. Przechodzą tędy ludzie idący na nabożeństwo lub wracający z kościoła, przechodzi Pan Jezus niesiony w procesjach. Umarli jakby brali dalej udział w życiu swojej parafii. Są tutaj przy swoim kościele, gdzie zostali ochrzczeni, gdzie przystąpili do pierwszej spowiedzi i Komunii Świętej, gdzie bywali na nabożeństwach, gdzie odbył się ich ślub, gdzie ich biskup bierzmował, dokąd z trudem dreptali jako staruszkowie, skąd ksiądz wybiegł szybko z ostatnimi sakramentami, dokąd przyniesiono ich trumnę... Potem pochowano ich tutaj, bliźniutko, gdzie cały rok słyhać organy i śpiew, a na świętą Annę odpustowe piszczalki. Są i na pasterce, i na rezurekcji, na roratach i na Gorzkich Żalach...

A ci, co poginęli daleko? Których ciało nikt nigdy nie odnajdzie? Których nie przygarnął żaden cmentarz? O których nikt nie pamięta? Jest przecież ktoś... Nad ich duszami wznosi się obronnym, opiekuńczym gestem matka Kościół. W czasie każdej mszy gromadzi ich pod skrzydłami w *memento* za umarłych. To jest jego największa ambicja, sięgająca poza grób („Śmierć kochanej istoty jest tak straszna dlatego, że odsłania prawdę o naturze miłości, jaką się do niej żywiło. Bo pokazuje, że nie miało się dla niej miłości silniejszej niż śmierć” — pisała Simone Weil), silniejszej od śmierci: „Których mi dałeś, żadnego z nich nie straciłem” (J 17, 12).

Chrystus znał po imieniu wszystkie ludzkie łęki. Znał także ten. Mówił stale o **ż y c i u**, prawie nigdy o śmierci. Mówił, że

przyszedł, żeby ludzie mieli życie, i to jeszcze pełniejsze, jeszcze obfitsze. Sam siebie nazwał życiem. Umarł, żeby zniszczyć śmierć. Dzięki Niemu nikt nie umiera sam i nikt nie umiera naprawdę: „Kto we mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie...” (J 11, 25).

Módlmy się

za tych, co usnąć nie mogą,
za tych, co śmierci się boją.

W połowie lata otrzymałem w Żarnowcu wiadomość o śmierci kolegi. Dziesięć dni wcześniej byłem u niego w Stegnie, gdzie był proboszczem. Już wtedy miał we krwi zarazki tężca, o czym nikt do ostatniej chwili nie wiedział, nie wyłączając jego samego, gdy przyjmował nas mile, wesoło i uczynnie.

Na pogrzeb trzeba było jechać bardzo wcześnie rano. Jurek wstał, żeby sprawdzić, czy się obudziłem, i zrobił herbatę. Cały poprzedni dzień myślałem o tej zagadkowej śmierci i teraz ni stąd, ni zowąd powiedziałem:

— On umarł, a my żyjemy.

Wtedy Jurek poprawił mnie:

— On żyje. To my umieramy.

Jesień liturgiczna, coraz późniejsza, w październiku i listopadzie przynosi niedziele brzmiące jak ostatnie akordy symfonii zbawienia, którą był rok powoli dobiegający kresu. Wkrótce zamknie się jego krąg i warto zastanowić się, co z niego pozostanie. Czytania mszalne lubią mówić o owocobranii, tym jednak, co trwa w pamięci, nie jest obraz spadających z drzew dojrzałych owoców, lecz spadających w Dzień Sądu gwiazd.

Świadomość przemijania wszystkiego towarzyszy nam w tym pochodzie przez jesień, wśród szeleszczących liści.

Kto teraz nie ma domu, nigdy mieć nie będzie.

Kto teraz sam jest, długo pozostanie sam
i będzie czuł, czytał, długie listy będzie

pisał i niespokojnie tu i tam
błądził w alejach, gdy wiatr liście pędzi.

(R. M. Rilke, *Jesienny dzień*,
przekład Mieczysława Jastruna)

„Kto teraz nie ma domu...”, a przecież każdy z nas ma dom: miejsce, gdzie mieszka, pracuje, swoje podwórze, swoją ulicę, swoje miasto czy wieś, swój kraj, swój świat. Co stanie się z naszym światem, który z takim trudem wyprowadziliśmy z chaosu, budując go dla siebie i drugich, z ludzi, z książek, obrazów, rzeczy? Czy zginąć ma to, co wytwarzam, konstruuje, piszę, maluję, rzeźbię? A przyroda, ta wspaniała, którą czasem oglądam, gdy gdzieś dalej wyjadę, i ta uboga, w wazoniku lub za oknem? Przecież to wszystko jest bliskie, jakoś własne, to jest dom, w którym mieszkam.

Czy pociesza nas dostatecznie to, co pisze Apostoł: „Wiemy bowiem, że gdy przybytek tego ziemskiego domu naszego się rozsypie, mamy przybytek od Boga, dom nie rękoma budowany, ale wiekuisty w niebiesiach” (2 Kor 5, 1)? To bardzo ładnie, ale czy mój dom, w którego budowę włożyłem tyle wysiłku, który jest zbudowany z mojego mózgu, mięśni, serca — czy on musi się rozpaść? Ludzie pędzeni nago do obozów hitlerowskich przemycali na wszelkie sposoby strzępki fotografii, jakieś okruchy dawniejszego życia... Ja wiem, że niebo będzie wspaniałe, ale przecież dom ziemski był nie tylko domem zwykłych zjadaczy chleba, lecz także ludzi wielkich i świętych i był domem Jezusa. Jest tu nieraz zimno i straszno, istnieją tu choroby i panuje śmierć, dlatego właśnie „póki ... jesteśmy w tym przybytku, wdychamy uciśnieni, bo nie chcemy, aby go z nas zwleczono, lecz żeby nas przyobleczono w nowy, aby to, co śmiertelne, wchłonięte było przez życie” (2 Kor 5, 4).

Jak dobrze jest przeczytać, kiedy patrzymy na jesień w świecie i w sobie, słowa, które następują potem: „A tym, który nas zdolnymi czyni, jest Bóg, który nam dał zadatek Ducha. Zawsze przeto pełni jesteśmy nadziei wiedząc, że póki przebywamy w ciele, tułamy się daleko od Pana (bo chodzimy w wierze, a nie w widzeniu), ufamy jednak...” (2 Kor 5, 3-8).

Czy my nie łudzimy się tą nadzieją, tak bezsensowną, gdy przychodzi nam patrzeć, jak co roku umierają wokół nas barwy, kształty i wonie? Czy ma jakieś uzasadnienie ufność, że zostaniemy ocaleni, my i nasz świat?

Co mówią najstarsze doświadczenia ludzkości? Zachowały się w mitologii opowiadania o bóstwach umierających i powracających na ziemię. Persefona, córka Demeter, musi przebywać trzy miesiące w Hadesie. Dlatego wówczas na świecie — sądzili Grecy — panuje zima. Powrót Persefony to wiosna, kiedy odżywa ziemia, bo ziemia jest Matką. Taka była treść misterii eleuzyjskich. W Delfach obchodzono na wiosnę, gdy zaczynało przybywać dnia, „zmartwychwstanie” Dionizosa, które czczono wielkimi dionizjami. Wówczas kapłanki śpiewem i tańcem budziły boga.

Jeśli tak patrzyły na zmiany pór roku wielkie mitologie, może zawiera się w tym wskazówka, jak interpretować znane z własnego doświadczenia, a tak przecież nieprawdopodobne ożywianie świata na wiosnę, kiedy zmartwychwstanie ukazuje się nam jakby wpisane w prawa przyrody. To samo odnajdujemy w biologii: bez śmierci nie ma życia. A więc może nasza nadzieja ma jakieś uzasadnienie? Przecież umarło już niemowlę i dziecko, którym byłem, a jednak istnieję, co więcej: musiało przeminąć to, co dziecinne, żebym był dojrzały i trochę mądrzejszy. Ile razy musiałem się „rozlecieć w kawałki”, bo zbyt było już wszystko w moim życiu ustalone i nie rokowało żadnych perspektyw rozwoju. A wydawało mi się wtedy, że kończy się mój cały świat.

Nie tylko to, co czytam w historii, ale i własne doświadczenie mówi mi, że analogiczne prawo przechodzenia przez śmierć do życia i rozwoju panuje w domenie życia społecznego, politycznego i ekonomicznego. Występuje tu ciągle umieranie jednych form i struktur, by mogły powstawać nowe, często doskonalsze.

A w dziedzinie sztuki? Tu absolutną prawidłowością jest, że „co ma żyć w pieśni, musi umrzeć w życiu”. Po śmierci Marii Dąbrowskiej, Andrzej Kijowski pisał na pierwszej stronie „Tygodnika Powszechnego”: „Pisarz umarł, a więc żyć zaczyna”. Co było z Norwidem, Mozartem, Musilem?

Tylko ziarna, które nie chcą umrzeć, zginą naprawdę. Jako ostatecznie dzieło i dar życia trzeba umieć przyjąć śmierć. Nie gorzknąć. Nie przeżywać rozpaczliwie starzenia się, ubytku sił fizycznych czy duchowych — to nie są zwiastuny tragedii, tylko finału dramatu:

Nie stargam cię, ja — uwydatnię

— każe śmierci powiedzieć Norwid.

Zresztą nie idziemy w całkowitą ciemność. Jest tam Jezus, nie tylko Bóg, ale także człowiek Jezus, „najbardziej żywy spośród umarłych”. Są ci, których kochaliśmy po tej stronie życia. Z każdym z nich, czujemy to doskonale, umierała jakaś część nas samych, dlatego to było takie bolesne, ale dzięki temu część naszego serca jest już po tamtej stronie. Żeby się oswoić ze śmiercią (ale nie, broń Boże, żeby w nią uwierzyć) pomyślmy czasem, że żyjemy tylko dzięki śmierci i że otula nas miłość i trud tych, co żyli przed nami. Mieszkamy w zbudowanych przez nich miastach, domach, korzystamy z dokonanych przez nich wynalazków, podziwiamy ich dzieła.

Uroczystość Wszystkich Świętych i Dzień Zaduszny w potężnym skrócie ukazują nam wielorakie powiązanie wieczności z teraźniejszością. W pierwszym z tych dni pada na ziemię blask, w drugim — nadzieja.

Wiara chrześcijańska — słusznie przypominał nam to Joseph Ratzinger we *Wprowadzeniu w chrześcijaństwo* — zna tylko nieśmiertelność całego człowieka, wedle Biblii człowiek nie dlatego jest nieśmiertelny, że jego dusza jest nieśmiertelna, bo niezłożona, jak uczyli Grecy, ale dlatego, że Bóg go osobiście zna, kocha i nie pozwoli mu zginąć. Nieśmiertelność wynika ze związku z Bogiem, z faktu, że ze wszystkich stworzeń na świecie człowiek może być partnerem Boga. „Mieć duszę” znaczy przede wszystkim: być partnerem w dialogu z Bogiem. Tę rangę posiada nawet ten człowiek, który aktualnie z Bogiem nie chce rozmawiać, choć mógłby, jak wszyscy inni.

Mieliśmy może okazję zauważyć na jakiejś audiencji albo podczas przejazdu ważnej osobistości, jak uwaga wszystkich skupia się na

jednej czy kilku osobach, z którymi Bardzo Ważna Osoba zamieniła jakieś zdanie; czują się one podniesione w oczach otoczenia. Z jakiejś czytanej w dzieciństwie powieści z epoki napoleońskiej zapamiętałem słowa: „Cesarz zna tego żołnierza! Cesarz podał mu rękę!”. Człowiek jest właśnie tym, z którym rozmawia Bóg. Człowiek jest tym, kto może mówić do Boga.

Dobrze się stało, że święto Chrystusa Króla zostało przeniesione na sam koniec roku kościelnego. Otrzymało ono znacznie głębszy sens niż ów, jaki upatrywali ci, co wprowadzili je do kalendarza w latach trzydziestych naszego stulecia. Doraźna aktualność polityczna tej uroczystości, powstałej w epoce raczkowania i ząbkowania totalizmów, zdezaktualizowała się. Tymczasem także trochę pogłębiło się rozumienie królestwa, o jakim mówił Przesłuchiwany przez Piłata, który kazał napisać nad Jego głową ukrzyżowaną: „To jest król żydowski”.

Ten moment ewokuje Ewangelia, a równocześnie zostaje ukazana cała historia zbawienia — od Dawida, który zostaje namaszczony na króla w pierwszym czytaniu, po perspektywy nakreślone przez świętego Pawła w czytaniu drugim, gdzie Chrystus zostaje objawiony jako „pierworodny w stosunku do każdego stworzenia, bo w Nim zostało wszystko stworzone. (...) On jest przed wszystkim i wszystko w Nim ma istnienie. I On jest Głową Ciała — Kościoła. On jest Początkiem, Pierworodnym spośród umarłych...” (Kol 1, 15-18).

Tajemnica Przejścia, misterium paschalne ukazuje się tu powszechnym prawem, które w Chrystusie osiągnęło punkt kulminacyjny, pełny sens i jasność. „Zechciał bowiem Bóg, by w Nim zamieszkała cała Pełnia i aby przez Niego znów pojednać wszystko ze sobą: przez Niego — i to, co na ziemi, i to, co w niebiosach, wprowadziwszy pokój przez Krew Jego krzyża” (Kol 1, 19-20).

Aby we mnie zamieszkała pełnia i pokój... Największego bólu doświadczam, gdy nie mogę dodać otuchy ludziom starym i samotnym.

Wiem, że jedyną pociechą jest ta, która w ustach księdza może wydawać się najbardziej tania i banalna: zacząć na serio rozmawiać z Bogiem. W Jezusie spotykamy się z Bogiem i z innymi ludźmi, którzy przez Niego już na zawsze z Nim się połączyli.

W dawnej formacji chrześcijańskiej wielką rolę odgrywała *ars bene moriendi* — sztuka umierania, przygotowania na dobrą śmierć. Czy jednak *memento mori* miało wyłącznie tonację posępną, czy jego celem było tylko przyginanie do ziemi głów, które chciały podnosić się ku słońcu? Może było ono po prostu swoistym postawieniem problemu, któremu Albert Schweitzer poświęcił jedno ze swych kazań wygłoszonych w roku 1907. „Największym zadaniem ludzkiego życia — mówił wtedy — jest zapytać siebie, jak zwyciężyć śmierć. (...) Śmierć panuje na zewnątrz nas — ale ona też panuje wewnątrz nas. Panuje ona w twoim sercu — czy też już ją zwyciężyłeś? Wszyscy winniśmy oswoić się ze śmiercią, aby nie gasiła ona naszego życiowego dynamizmu. Nie jest rzeczą ważną myśleć o niej przez cały czas, o każdej porze. Ale jeśli drogi nasze poprowadzą nas na ścieżkę, gdzie w otaczającym nas horyzoncie rzeczy małe zanikną, a ukaże się w ostrych konturach styk nieba z ziemią, wtedy nie zamykajmy oczu, ale uparcie patrzmy w dal, aby potem znowu podjąć z pokorą naszą łaskę pielgrzyma. Oto właśnie ta obecność śmierci w naszych myślach rodzi w nas prawdziwą miłość życia. Kiedy ją utrwalimy na stałe w głębi naszego serca, potrafimy przyjąć każdy moment naszego życia, dzień czy tydzień, jak cenny podarunek. I kiedy tak potrafimy ofiarować całe nasze życie, odcinek po odcinku, będziemy mogli coraz bardziej rozsmakować się w słodczy tej jedynej wartości”.

Nie dramatyzujmy nadmiernie momentu śmierci. Wiele złego zrobiły tu niedobra i popularna teologia i kaznodziejstwo. Podkreślała ona bardzo silnie wagę momentu śmierci, którego zresztą dziś zupełnie nie można z biologicznego punktu ustalić; stwarzano sugestię, że ta przeważnie nieprzytomna chwila może przekreślić jakość całego życia. Oczywiście, do tego była potrzebna odpowiednio przerażająca wizja Boga, zimnego inkwizytora, który tylko czeka, żeby konający człowiek czymś się jeszcze zdążył

skompromitować, aby potępiając go, w ten sposób zaoszczędzić jedno wolne miejsce w niebie, gdzie przecież, jak zapewniał nas Jezus, jest mieszkań wiele...

Niech jeszcze raz przemówi do nas Norwid:

Owszem — śmierć sama i jej piekiel-krater
Cóż są?... — rzecz wielka lub licha:
W miarę do tego, jak? jaki bohater?
Dopełnił swego kielicha — —

Śmierć jest spotkaniem z Bogiem, który jest miłością i będzie nas sądził z miłości.

Miłość i śmierć — te dwa przeżycia zostały nam dane prawie równocześnie w wieku dojrzewania. Pisał Lechoń:

Pytasz, co w moim życiu z wszystkich rzeczy główną,
Powiem ci: śmierć i miłość — obydwie zarówno.
Jednej się oczu czarnych, drugiej — modrych boję.
Te dwie są me miłości i dwie śmierci moje.

[...]

Na żarnach dni się miele, dno życia się wierci,
By prawdy się najgłębszej dokopać istnienia —
I jedno wiemy tylko. I nic się nie zmienia.
Śmierć chroni od miłości, a miłość od śmierci.

Miłość chroni od śmierci. W filmie Ingmara Bergmana *Jak w zwierciadle* chłopiec pyta ojca o chorą siostrę, którą zabrano helikopterem do szpitala: „Tato, czy Bóg ją ocali, ponieważ my ją kochamy?” To prawda, że miłość oręduje za tymi, których obejmuje. Tak modlił się Chrystus za swoich przyjaciół przed męką. Nieraz jednak nie dowierzamy sile naszej miłości, i słusznie. Wtedy trzeba zaufać, że miłość, którą żywi do każdego człowieka Bóg, jest silniejsza niż wszystkie zagrożenia. To ona unieważnia śmierć.

Ona pozwala iść w czas bez rozpaczy, wstępować w jego fale, które przeważnie nie przypominają jasnych i radosnych rzek naszej młodości. Rzeki listopadowe i grudniowe coraz bardziej znużone płyną powoli, woda zdaje się być coraz gęstsza, wkrótce stężeje w lód. Skostniałe drzewa wyciągną nad nim czarne ramiona. Przejmujący jest smutek zimowych krajobrazów. Ale właśnie na tę chwilę czekają z utęsknieniem dzieci. Zacznie się pora ślizgawek i — gdy spadnie śnieg — sanny. Wkrótce rozpocznie się Adwent i blask samotnej świecy roratniej zacznie zwiastować „ciemną noc, co w jasnościach promienistych brodzi”.

Twarda jest zima, boją się jej ludzie starzy, którzy lubią ciepło. Ale nigdy nie obcujemy tyle z ogniem, ciepłym blaskiem lampy w długie wieczory, z książką i muzyką, podczas gdy za oknami wiatr wieje po świecie i mróz ściska pobielającą ziemię. Ksiądz Antonio Vivaldi napisał na końcu partytury *Czterech pór roku*: „Taka jest zima, a jednak przynosi nam radość”.

ZAKOŃCZENIE

I oto znowu jeden rok życia przewinął się spiralą przez krąg roku kościelnego, który nie jest niczym innym, jak możliwością przeżycia w sposób „zamknięty” otwartego czasu zbawienia. I może tak jest lepiej, że ogromna perspektywa czasu nie ukazuje się nam od razu, lecz odsłania się stopniowo, wpleciona w przytulny krąg świąt i dni pamiętanych z dzieciństwa, z młodości, pełen ludzkiego ciepła, pozbawiony grozy otchłannego przestworu. Powoli czas realizuje nasze istnienie i objawia jego sens. Gdyby czas ludzki był jednak czasem zamkniętym, byłoby coś przerażającego w tym braku perspektywy. Taniec w kole, do upadłego, stał się w literaturze toposem beznadziejności: tak jest choćby w *Weselu* Wyspiańskiego. Mircea Eliade zauważa: „Co się tyczy koncepcji czasu, na jakich zatrzymały się niektóre filozofie historycystyczne i egzystencjalistyczne, warto zauważyć, że czas — jakkolwiek nie dopatrują się w nim «koła» — odzyskuje w tych współczesnych filozofiach groźny aspekt, jaki miał w hinduskiej i greckiej filozofii, wiecznego powrotu. Czas, ostatecznie zdesakralizowany, przedstawia się jako trwanie niepewne i ulotne, wiodące nieuchronnie ku śmierci”.

Marcel Proust, który „poszukiwaniu utraconego czasu” poświęcił swoje genialne dzieło, ukazuje czas jako instrument realizowania się ludzkich przeznaczeń. Czas, „ażeby stać się widzialnym, poszukuje ciała i gdziekolwiek je spotka, bierze w swoją władzę, by służyły jego czarnoksiężskiej latarni”. Ludzie grają

— jak w teatrze, aż do końca, ale czas objawia wreszcie prawdę ich życia, podobnie jak Proust ukazuje wojenne zajęcia pana de Charlus. Czas demaskując staje się sędzią. Ujawniając prawdę, wyzwala i oczyszcza. Jeżeli może skazywać na piekło — jak w przypadku pana de Charlus, może też być jakimś obrazem czyśca.

Otwierając ludzkie perspektywy czas uwalnia od tego, co było ograniczone i zamknięte. Przynosi szansę zmiany. Cytowany na początku książki Lundkvist pytał:

— Czy na wszystko jest już za późno?

I odpowiadał sobie:

— A może nigdy nie jest na ziemi za późno dla nas?

Dopóki jest czas, trwa nadzieja. Dotyczyć ona musi także tego, na co już nie będzie czasu, co będziemy musieli pozostawić nieukończone. Dopiero renesans przyniósł rozumienie estetyczne dzieł nie ukończonych, nazywanych *abbozzato, non finito*. Gdyby nie to, *Jeńcy* Michała Anioła nie byłiby piękni, a jego ostatnie *Piety* nie wzruszałyby nas tak głęboko.

Patrząc na wiele spraw swojego życia, jak Jan XXIII patrzył umierając na niepewne losy dzieła swojego życia, na Sobór powszechny. Wierzyć, że niedopowiedziane tutaj, zostanie dopowiedziane przez innych, pewnie inaczej, może lepiej. Dostrzec, że nieukończone może stać się bratem nieskończonego. To wszystko, cośmy zrobili i co boli jako niezrealizowanie dobra w ludziach czy w sobie; wszystko, co dane nam było przeżyć, zrozumieć, ocalić od zapomnienia — to wszystko jest także przedmiotem chrześcijańskiej nadziei. Jeśli to wszystko trwa w nas. Jeśli my trwamy w Bogu.